

RUDYARD KIPLING

---

**Puk z Pukowej  
Górki**

RUDYARD KIPLING

# *Puk z Pukowej Górki*

TLUM. JÓZEF BIRKENMAJER

I. MIECZ WELANDA

## ŚPIEW PUKA<sup>1</sup>

Widzisz miedzę, co biegnąc przez łąn niewyraźnie  
w wybojach cała się kładzie?  
Tędy wieziono działa, co sprawiły łaźnię  
króla Filipa<sup>2</sup> armadzie!

Widzisz nasz miły młynek, co pilnie i gwarno  
turkoce wciąż nad młynówką?  
Od czasu Księgi Ustaw<sup>3</sup> on tu miełe ziarno  
i płaci czynsze — gotówką!

Czy widzisz — obok dębów zadumanej kępy —  
parów wyschnięty już dawno?  
Tam się — hej! — załamały saksońskie zastępy,  
Harold<sup>4</sup> śmierć poniósł tam sławną!

Widzisz tych równin przestwór, rozległy i gładki,  
co miejskie opasał furty?  
Tu pierzchli Normanowie<sup>5</sup>, gdy Alfreda<sup>6</sup> statki  
przez morskie płynęły nurty!

Czy widzisz naszych pastwisk obszerne pustkowie,  
gdzie wołów pasie się stado?

<sup>1</sup>*Puk* — czarodziejski skrzat z angielskich legend i baśni, psotny, ale życzliwy ludziom, nazywany też Robinem Pocziwcem (*Robin Goodfellow*). [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*Dziła*, co sprawiły łaźnię króla Filipa armadzie — w 1588 r. król Hiszpanii, Filip II Habsburg (1527–1598), wysłał 130 okrętów przeciwko Anglii, chcąc wesprzeć angielskich katolików w walce z anglikanami. Okręty angielskie wyposażono właśnie w nowoczesne uzbrojenie: działa znajdowały się nie tylko na pokładzie, ale i w ładowniach, były mocowane systemem lin i bloczków i sprawniej obsługiwane. Opór Anglików oraz sztormy sprawiły, że do Hiszpanii wróciła zaledwie 1/3 Wielkiej Armady. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*Księga Ustaw* (ang. *Domesday Book*) — księga katastralna, sporządzona na rozkaz Wilhelma Zdobywcy w 1086 r., dokładny spis stanu posiadania mieszkańców Anglii, ich ziemi, budynków, poddanych i bydła. Spis miał służyć głównie przy wyznaczaniu i ściąganiu podatków. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*Tam się załamały saksońskie zastępy, Harold śmierć poniósł tam sławną* — w bitwie pod Hastings w 1066 r. wojska Wilhelma Zdobywcy z Normandii pokonały pospolite ruszenie Saksonów, germańskich mieszkańców Anglii, pod wodzą króla Harolda II Godwinsona (1022–1066). Powodem najazdu był spór o tron angielski, obiecany przez poprzedniego króla m.in. Wilhelmowi, a zwycięstwo ułatwił Normanom potężny najazd wikingów, sprzymierzonych z bratem Harolda. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*Normanowie* — „ludzie północy”, mieszkańcy Skandynawii, ludy północnogermańskie, które od VIII do XII w. najeżdżały, a czasem też podbijały bliższych i dalszych sąsiadów. W XII w. Normanowie kontrolowali Anglię (dokąd przybyli ze swego księstwa w zach. Francji), płd. Włochy i Sycylię oraz 2 tys. km wybrzeża płn. Afryki na wschód od Tunisu, a nawet Antiochię na wschodnim krańcu Morza Śródziemnego. Z czasem ztratili wiarę w Odyń, Thora i innych swoich bogów i wtopili się w społeczeństwo Francji, Anglii czy Włoch, brali też udział w krucjatach. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*Alfred Wielki* (849–899) — saksoński król Wessex, a następnie całej Anglii, którą zjednoczył. Odpierał ataki Normanów z Danii, w końcu przydzielił im prowincję na północy wyspy, nazwaną Danelaw, i skłonił ich do przyjęcia chrześcijaństwa. [przypis edytorski]

Było tu miasto<sup>7</sup> głośne, a w nim ludu mrowie,  
nim Londyn stał się — osadą!

Widzisz nieraz, jak z ziemi ulewa wyorze  
rów jakiś, majdan, częstokół?  
Tu był obóz legionu, gdy Cezar przez morze  
z Galii przyleciał jak sokół!<sup>8</sup>

Widzisz sieć dziwnych znaków, co ledwie że błyszczą  
wśród wzgórków jak majak senny?  
Stawiali je — w obronie swoich horodyszcz<sup>9</sup> —  
ludzie z epoki kamiennej<sup>10</sup>...

Z szlaków zatartych, z grodów, obozów zburzonych,  
z bagnisk (gdzie łąn dziś bogaty),  
z dawnych wojen, przymierzy i sztuk zaginionych  
Anglia powstała przed laty.

Niezwykłe lasy, wody ma ona kraina,  
więc sobie ją upodobaj,  
bo ta wyspa jest wyspą zaklętą Merlina<sup>11</sup>,  
my zaś — pojedziem tam obaj!

Dzieci bawiły się w teatr. Mając za widzów jedynie trzy krowy, grały przed nimi *Sen nocy świętojańskiej*<sup>12</sup> — ile tylko zdołały zapamiętać z tej sztuki. Ojciec przerobił dla nich długą komedię Szekspira na małą komedijkę, a one póty powtarzały ją za ojcem i matką, aż w końcu nauczyły się wszystkich ról na pamięć. Zaczęła od tej sceny, w której tkacz Mikołaj Kłęb z osłą głową na karku wychodzi z zarośli i dostrzega śpiącą królową Czaroludków Tytanię. Potem od razu przeskoczyły do tego miejsca, gdzie Mikołaj Kłęb prosi trzy małe Czaroludki, by go poskrobały w głowę i przyniosły mu miodu; wszystko zaś kończyło się tą chwilą, kiedy to Mikołaj zasypia w objęciach Tytanii. Dan grał kolejno rolę Puka, Kłęba i trzech Czaroludków. Jako Puk, miał za godło rogałą czapkę sukienną, a jako Kłęb — osłą głowę z otrzymanej na gwiazdkę „strzelającej torebki” papierowej, z którą jednakże trzeba było obchodzić się ostrożnie, gdyż darła się nader łatwo. Una

---

<sup>7</sup>Było tu miasto głośne, a w nim ludu mrowie, nim Londyn stał się osadą — fort rzymski Anderitum, wybudowany w III w. n.e. w celu obrony przed Saksonami, przekształcony w średniowieczu w saksoński zamek Pevensey Castle. Osada na miejscu dzisiejszego Londynu istniała prawdopodobnie jeszcze przed kolonizacją rzymską, a rzymski obóz warowny w tym miejscu powstał w I w. n.e. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>Tu był obóz legionu, gdy Cezar przez morze z Galii przyleciał jak sokół — Gajusz Juliusz Cezar (100–44) w czasie wojny galijskiej przeprowadził się ze swymi wojskami przez kanał La Manche w 55 i 54 r., aby ukarać Celtów z Brytanii za wspieranie Gallów. Podczas drugiej wyprawy zdołał pokonać władców kilku plemion i zmusić ich do płacenia kontrybucji, nie zajął jednak żadnych terenów na stałe. Rzymianie podbili pld. część Anglii sto lat później, w 43 r. n.e., i panowali tam do V w., kiedy wyparli ich Saksoni i Anglowie. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>horodyszcz (z ukr.) — gród, warowna osada. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Stawiali je [...] ludzie z epoki kamiennej — na terenie dzisiejszej Anglii w epoce kamiennej (w okresie paleolitu i neolitu) mieszkali najpierw ludzie heidelberscy i neandertalczykowie, a następnie ludzie z gatunku *homo sapiens*. Przez całe tysiąclecia wyspę łączył z Europą szeroki pas ziemi, więc w różnych epokach kolejne ludy trafiały tu w swoich wędrówkach za stadami zwierząt. W ciągu setek tysięcy lat klimat kilkakrotnie się zmieniał, a w cieplejszych okresach łowcy polowali tu na słonie, hipopotamy i nosorożce. Anglicy średniowieczni wierzyli, że pierwszymi mieszkańcami Anglii były olbrzymy, ponieważ ruiny budowli prehistorycznych składały się z ogromnych, bardzo ciężkich bloków kamiennych. Z licznych takich budowli najbardziej znane dziś jest Stonehenge, a w epoce brązu licznie powstawały też mniejsze, „rodzinne” kamienne kręgi. *Znaki na wzgórzach* to także geoglify, ogromne prehistoryczne rysunki na stokach wzgórz, takie jak wojownik Long Man of Wilmington niedaleko Pevensey. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>Merlin — postać występująca w cyklu legend arturiańskich, potężny czarodziej. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*Sen nocy świętojańskiej* — komedia Williama Shakespeare’a, znana dziś w Polsce pod tytułem *Sen nocy letniej*. Jednym z bohaterów tej sztuki jest psotny Puk, zwany też Robinem-Pocziwcem, sługa króla wródek. [przypis edytorski]

grała Tytanię; na głowie miała wianek z ostróżek, a w ręce berło z kwiatu naparstnicy.

Za widownię służyła łąka zwana Długim Wygonem. Mała rzeczulka, zasilająca młyn oddalony o kilka zagonów, skręcała właśnie koło jej naroża, opasując odwieczny Krąg Czarodziejski szerniałej trawy — czyli „scenę” teatru. Brzegi młynówki, porośnięte łożą, leszczyną i kaliną, były doskonałymi kulisami, za którymi ukrywać się mogli aktorzy oczekujący swej kolejki. Ktoś z dorosłych, oglądając ten teren, wyraził się, że sam Szekspir nie mógłby wymarzyć lepszej oprawy dla swego widowiska.

Ma się rozumieć, że dzieciom nie pozwolono urządzić przedstawienia w samą noc sobótkową. Rozpoczęły je przeto wieczorem, zaraz po podwieczorku, gdy po ziemi snuć się poczęły coraz to dłuższe cienie. Kolację wzięli z sobą; złożyły się na nią: jajka na twardo, herbatniki i garstka soli zawiniętej w papierek. Trzy krowy, niedawno wydojone, pasły się pracowicie, a pochrzęst skubanej trawy rozlegał się daleko po całej łące. Młyn właśnie szedł — i rzeczywiście tak dudnił i stukał, jak gdyby ktoś stąpał prędkiem bosymi stopami po gołej ziemi. Na jakiejś furtce ogrodowej kukulka kukała swą urywaną śpiewkę czerwcową, a niestrudzony zimorodek przelatywał ustawicznie od młynówki do małego strumyczka płynącego po drugiej stronie łąki. Senna cisza poza tym panowała wszędzie w parnym powietrzu, przesyconym wonią słodyczy łąkowej i zeschniętej trawy.

Przedstawienie udało się wybornie. Dan pamiętał wszystkie swoje role: Puka, Kłęba i trzech Czaroludków, a Uno nie opuściła ani jednego ze słów Tytanii; przebrnęła szczęśliwie nawet to trudne miejsce, gdzie królowa przykazuje Czaroludkom, by przyniosły do jedzenia Kłębowi „morele, dojrzałe (a może zielone) figi i jeżyny” — przy czym wszystkie wiersze kończą się tym samym rymem. Zachęceni powodzeniem, odegrali całą rzecz trzy razy od deski do deski, po czym zasiedli do zasłużonego spoczynku na wolnym od ostów skrawku Czarodziejskiego Kręgu, by spożyć jajka na twardo i herbatniki. Nagle jednak zerwali się na równe nogi, posłyszawszy jakiś dziwny świst pośród olszyn nadbrzeżnych.

Zarośla rozchyliły się — i oto w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą stał Dan, odgrywający rolę Puka, ukazał się mały, smagły i krępy człowieczek o piegowatej twarzy, na której uwydatniały się skośne, niebieskie oczka, mały, perkaty nosek oraz usta rozdzielone w uśmiechu niemal po same podługowate i spiczaste uszy. Przysłonił dłonią czoło, jak gdyby chcąc się przyjrzeć Pigwie, Kłębowi, Ryjowi<sup>13</sup> tudzież ich kamratom odbywającym próbę *Pirama i Tysby*, po czym głosem basowym, przypominającym porykiwanie trzech krów przed udojem, jął deklamować:

Cóż to za zgrzebne Filipy z konopi  
gwarem swym mącą sen naszej królowej?<sup>14</sup>

Przerwał na chwilę, przyłożył zgiętą dłoń do ucha i mrugając złośliwie oczyma, ciągnął dalej:

Co? Widowisko?! Chętnie będę widzem,  
a w razie czego nawet i aktorem...

Dzieci otworzyły usta w zdumieniu. Tymczasem mały cudak — który ledwie że sięgał do ramienia Danowi — najspokojniej w świecie wstąpił w sam środek Czarodziejskiego Kręgu.

— Wyszedłem już trochę z wprawy — odezwał się. — W każdym razie moją rolę należało grać w ten właśnie sposób.

Dzieci wciąż w osłupieniu mierzyły go wzrokiem — od ciemnobłękitnej czapeczki, przypominającej olbrzymią, wspaniale rozkwitniętą ostróżkę, aż po bosa, kosmate nożęta. Nie mógł już dłużej wytrzymać i roześmiał się.

— Nie patrzcie na mnie tak srogo, moi mili. Jam tu nic nie winien. Czegóż innego mogliście się spodziewać?

<sup>13</sup> *Pigwa, Kłęb, Ryj* — postacie komiczne ze *Snu nocy letniej*, ang.: *Quince, Bottom, Snout*, w polskich przekładach: *Pigwa* (cieśla), *Spodek* lub *Denko* (tkacz), *Ryjak* lub *Ryjek* (kotlarz). Są to rzemieślnicy ateńscy, którzy przygotowują i odgrywają amatorskie przedstawienie na motywach tragedii o Priamie i Tyzbe, wywołując swoją prostotą efekt śmieszności. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *Cóż to za zgrzebne Filipy z konopi gwarem swym mącą sen naszej królowej? Co? Widowisko?! Chętnie będę widzem, a w razie czego nawet i aktorem* — słowa Puka z I sceny III aktu *Snu nocy letniej*. [przypis edytorski]

— Nie spodziewaliśmy się tu nikogo — odpowiedział Dan. — Przecież to nasze własne pole.

— Wasze? — spytał zdziwiony przybysz siadając. — Jakaż więc siła ziemską kazała wam powtarzać aż trzy razy *Sen nocy świętojańskiej* właśnie w wieczór sobótki, w samym środku Czarodziejskiego Kręgu?... I to nie gdzie indziej, ale u stóp... u stóp jednego z najstarszych wzgórków Starej Anglii, zostających pod moją władzą? Jak się zwie ta miejscowość? *Pook's Hill!* A co znaczy *Pook's Hill*? Pukowa Górka! A więc to moje wzgórze, Pukowa Górka! To takie jasne jak koniec mojego nosa!

To mówiąc wskazał na ogołocone z drzew, paprociami porośnięte zbocze Pukowej Górki, zaczynające się od przeciwległego brzegu młynówki i wspinające się ku czerniejącemu w dali lasowi. Poza tym lasem grunt podnosi się dość stromo na wysokość pięciuset stóp, dochodząc na koniec do nagiej płasni Beacon Hillu, skąd roztacza się widok na równiny Pevensey, na kanał La Manche i część Kredowego Pogórza południowej Anglii.

— Na Dąb, Jesion i Głóg! — zaklął się skrzat rechocąc śmiechem nieprzerwanym. — Gdyby to zdarzyło się kilkaset lat temu, już by się tu wszędy koło was wyroili różni Górcy Ludkowie niby pszczoły w czerwcu!...

— Nie wiedzieliśmy, że w tym było coś złego — usprawiedliwił się Dan.

— Złego! He! He! He! — zatrząsł się od śmiechu mały cudak. — Juści, że nie było w tym nic złego. Dokonałiście rzeczy takiej, za której wykrycie dawni królowie, rycerze i uczeni oddaliby korony, ostrogi i księgi. Nie zdołalibyście się sprawić lepiej nawet z pomocą samego Merlina! Wdarłiście się w tajniki gór! Wdarłiście się w tajniki gór! Coś podobnego nie zdarzyło się od tysiąca lat!

Czary

— Myśmy... myśmy nie mieli tego zamiaru — tłumaczyła się Una. — Nie chcieliśmy...

— Pewnie, żeście nie chcieli... I dlatego właśnie się wam udało! Niestety, wzgórze już opustoszały, a Ludek Górski wywędrawał z tych okolic. *Ja* tu tylko pozostałem... samotny! Jestem Puk, najdawniejsza z dawnych istot Starej Anglii... i jestem do waszych usług, o ile zechcecie z nich korzystać. Jeżeli nie życzycie sobie mego towarzystwa, oddałem się bez szemrania na każdy wasz rozkaz.

Przez dobre pół minuty przyglądał się dzieciom, a one nawzajem spoglądały na niego. Przestał już mrugać oczyma — owszem, miał w nich wyraz bardzo uprzejmy, a na wargach zajaśniał dobrotliwy uśmiech.

Una wyciągnęła rękę.

— Nie odchódź — rzekła. — Bardzo nam z tobą przyjemnie.

— Masz tu od nas herbatnika! — dodał Dan, podsuwając mu zmiętoszoną torebkę z zapasami żywności.

— Na Jesion, Głóg i Dąb! — zaklął się znów Puk, zdejmując błękitną czapeczkę. — Mnie też jest z wami nader miło! Sypnij no, Danie, dużo soli na ten sucharek, to przyłączę się do waszej wieczerzy! Będziecie mogli z tego wysnuć pewne wnioski co do mnie. Bo to niektórzy z nas — ciągnął dalej, napchawszy sobie usta — niektórzy z nas czują wstręt do soli, do podków przybitych nad drzwiami, do jagód jarzębiny, do płynącej wody, do zimnego żelaza czy wreszcie do dźwięku dzwonów kościelnych. Ale co Puk, to Puk! A ja jestem Puk!

Zabobony

Starannie strzepnął z kaftana wszystkie okruszynki i uściśnął dzieciom ręce.

— Zawsześmy sobie z Danem mówili — bąknęła nieśmiało Una — że gdyby... gdyby coś takiego się zdarzyło, tobyśmy wiedzieli doskonale, co mamy zrobić... ale... teraz to nam wszystko jakoś inaczej się składa...

— Ona ma na myśli spotkanie z Czaroludkami — wyjaśnił Dan. — Ja bo nigdy w nie nie wierzyłem... przynajmniej od czasu, gdy ukończyłem sześć lat.

— A ja wierzyłam — rzekła Una. — W każdym razie wierzyłam na poły aż do czasu, gdy uczono nas piosenki: *Żegnajcie, nagrody!* Czy znasz piosenkę: *Żegnajcie, żegnajcie, nagrody i baśnie?*

— Czy to o tę piosenkę ci chodzi? — spytał Puk i odrzuciwszy w tył dużą głowę, zaczął od razu od drugiego wiersza:

...Tak skrzętna gospościa rzecz może,  
bo jej się dziś w pracy powodzi tak właśnie,

jak dziewczę leniwej w oborze!  
Bo chociaż wymiecie kominki w izdebkach

(Śpiewaj wraz ze mną, Uno!)

staranniej niż dziewczę służebna,  
nikt przecie nie słyszał, by rano w jej trepkach  
moneta znalazła się srebrna!

Echo rozlegało się po całej łące.

— Widzicie, że umiem tę piosenkę — pochwalił się Puk.

— A potem idzie wierszyk o Kołach Czarnoksiężskich — rzekł Dan. — Gdy byłem mały, wierszyk ten zawsze napępiał mi smutkiem serduszko.

— Zdaje się, że chodzi wam o „Te szlaki kręte, koła zakłęte”? — spytał Puk i zahuczał głosem donośnym niby organy kościelne:

...gdzie trwożna garstka się chowa,  
wszędzie się prawie snuły po trawie,  
gdy żyła Maria królowa<sup>15</sup>.  
Ale niestety, w czasach Elżbiety<sup>16</sup>  
i gdy wziął Jakub<sup>17</sup> koronę,  
wśród łąk i trawisk nie ma już zjawisk<sup>18</sup>:  
snadź pierzchły — w lata minione!...

Sporo czasu upłynęło, odkąd nie słyszałem tej śpiewki... Ale co tu obwijać rzecz w bawelnę? W tej piosence wszystko jest prawdziwe. Ludkowie Górscy wynieśli się stąd od dawna. Jam widział ich niegdyś, gdy pojawili się w Starej Anglii, widziałem też, jak ją opuszczali. Olbrzymy, chowańce, topielce, karły, biesy i chochliki; wodniki, boruty, leszy, zaścienie; wrześniaki, brzeźniaki, pogórcy, skarbniki, bożęta-niebożęta, krasnoludki, planetniki, uroki, upiory, jędze, dziwożony i dziwomęże, psikusy, skrzaty — i ilu, ilu jeszcze ich tam było — odeszli, odeszli precz! Jam do Anglii przybył wraz z dębem, głógiem i jesionem i odejdę stąd dopiero wtedy, gdy dąb, jesion i głóg wyginą w całym kraju.

Dan rozejrzał się po całej łące — zatrzymując kolejno wzrok to na dębie Uny, rosnącym koło tylnej furtki ogrodu, to na rzędzie jesionów osłaniających Wyrzy Staw, do którego odprowadza się wodę młynówki, gdy młyn jest bezczynny, a wreszcie na starym, sękatym glogowcu, o którego pień trzy krowy lubiły czochoać swe karki.

— Jest wszystko jak należy! — zawołał, po chwili zaś dodał: — A jesienią zasadzę tu mnóstwo żołądzi!

— Toś ty chyba bardzo już stary? — zapytała Puka Una.

— Nie jestem stary... ale dożyłem ładnego wieku, jak powiadają ludzie. Tak, napa-trzyłem się już niejednemu! Pomyślcie sobie tylko, że gdy głazy w Stonehenge<sup>19</sup> liczyły sobie niewiele lat istnienia... jeszcze zanim ludzie z epoki kamiennej zbudowali zbiornik wody poniżej koliska Chanctonbury<sup>20</sup>... przyjaciele moi zastawiali co wieczór miskę

Przemijanie

Starość

<sup>15</sup>Maria królowa, własc. *Maria I Tudor* (1516–1558) — królowa Anglii w latach 1553–1558, zwana *Bloody Mary*, ponieważ, będąc gorliwą katoliczką, starała się siłą wykorzenić w swoim państwie protestantyzm (anglikanizm). Córka Henryka VIII i Katarzyny Aragońskiej, żona króla Hiszpanii Filipa II Habsburga. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>Elżbieta I — Elżbieta I (1533–1603), córka Henryka VIII i Anny Boleyn, królowa Anglii w latach 1558–1603. Pod jej panowaniem weszła w pełni w życie reforma religijna rozpoczęta przez jej ojca: kościół anglikański niezależny od Papieża, zarządzany przez monarchę Anglii. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>Jakub I Stuart (1566–1625) — król Szkocji, został królem Anglii po śmierci królowej Elżbiety I jako jej krewny. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>nie ma już zjawisk — według wierzeń ludowych wróżki opuściły Anglię, kiedy katolicyzm został wyparty przez anglikanizm. Opowiada o tym ostatni rozdział książki, *Rójka w Dymchurch*. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>głazy w Stonehenge — budowla z wielkich głazów ustawionych w kręgu, pochodząca z epoki neolitu a. brązu. Przypuszcza się, że była świątynią kultu słońca. Znajduje się w hrabstwie Wiltshire, koło miasta Salisbury, ok. 160 km na zachód od miejsca akcji powieści. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>Chanctonbury Ring — fort ziemny, usypany przez ludzi w epoce brązu, a następnie służący jako obóz rzymski, położony w hrabstwie West Sussex, ok. 60 km na zachód od miejsca akcji powieści. [przypis edytorski]

śmietany dla mnie...

— Och! — krzyknęła Una, klaszcząc w rączki, i skinęła nagle główką.

— Pewno jej przyszedł do głowy jakiś pomysł — wyjaśnił Dan. — Ona zawsze tak się zachowuje, gdy uda się jej wymyślić coś nowego...

— Przyszło mi na myśl... że może byśmy tak zostawiali dla ciebie porcyjkę naszej kaszki? Oczywiście, trzeba by ją wynosić na strych, bo w pokoju dziecinnym zamiarkowano by natychmiast, co się święci.

— Powiedz raczej, w pokoju lekcyjnym — poprawił ją Dan skwapliwie.

Una zarumieniła się, albowiem nie dalej jak z początkiem owego lata zawarli uroczysty układ, że nie będą już nazywali „sali szkolnej” pokojem dziecinnym.

— Złote masz serce, moja droga! — rzekł Puk z podzięką. — Oj, będzie z ciebie za lat parę ładna i mądra dziewczyna! Prawdę mówiąc, to nie potrzebujecie mi zostawiać miseczki z jadłem... ale jeżeli mi kiedy przyjdzie oskoma, bądźcie pewni, że sam was poproszę o jaki kasek.

Wyciągnął się jak długi na wyschniętej trawie. Dzieci położyły się obok niego i poczęły niefrasobliwie wymachiwać w powietrzu bosymi nóżkami. Były za pan brat z nowym znajomym, bo wiedziały, że z jego strony równie nic im nie grozi, jak ze strony starego sadownika Hobdena, z którym szczególnie przyjaźniły się już od dawna. Puk nie zamęczał ich mądrymi pytaniami, nie wyśmiewał się z oślej głowy, ale leżał sobie spokojnie i z jakimś rozrzewnieniem uśmiechał się sam do siebie.

— Czy macie jaki nóż przy sobie? — zapytał w końcu.

Dan podał mu duży nóż o jednym ostrzu (jakim w domu nie pozwalano mu się bawić), a Puk jął wykrawać kawałek darni ze środka Czarodziejskiego Kręgu.

— Co to za... czary? — zapytała Una widząc, że Puk wyważył z ziemi czworogranną bryłę brunatnej gliny, przypominającą wyglądem kawał szwajcarskiego sera.

— To jedna z mych sztuczek czarnoksięskich — odpowiedział Puk wykrawając drugą bryłę ziemi. — Widzicie, moi drodzy, ja nie mogę udzielać wam pozwolenia na wstęp w głąb gór, bo Ludkowie Górscy już je opuścili; ale jeżeli zechcecie przyjąć ode mnie intromisję, to może będę mógł pokazać wam coś takiego, co nieczęsto można oglądać na tej ziemi. Jeżeli kto, to wy zasługujecie na to w zupełności.

— A co to znaczy przyjąć intromisję? — zapytał Dan przezornie.

— Jest to stary obyczaj zachowywany przy kupnie i sprzedaży ziemi. Polega on na tym, że wykrawa się bryłkę ziemi i wręcza kupującemu. Otrzymać intromisję, czyli stać się prawowitym właścicielem gruntu, można dopiero wtedy, gdy dawny właściciel wręczy nowemu dziedzicowi taką, jak ta, bryłkę ziemi...

To mówiąc wyciągnął ku nim obie wykopane grudki.

— Ależ ta łąka i tak jest naszą własnością — odpowiedział Dan, odstępując nieco w tył. — Czy chcesz nam ją zabrać za pomocą czarów?

Puk roześmiał się.

— Wiem, że to wasza łąka, ale... wy też powinniście wiedzieć, że jest na niej wiele rzeczy takich, o których nie śniło się... ani wam, ani nawet waszemu tatusiowi. Co wam szkodzi spróbować? — to mówiąc zwrócił się do Uny.

— Niech tak będzie! Spróbuj! — zawołała.

Dan pozbył się skrupułów i natychmiast poszedł za jej przykładem.

— A teraz jesteście prawnie zaintromitowanymi dziedzicami całej Starej Anglii — jął ogłaszać Puk przeciągłym, monotonnym głosem. — Na mocy prawa Dębu, Głogu i Jesionu wolno wam chodzić wszędzie oraz widzieć i poznawać wszystko, co się wam żywnie podoba albo co ja wam pokażę. Obaczycie to, co dane wam będzie obaczyć, i usłyszycie to, co dane wam będzie usłyszeć, chociażby to nawet zdarzyło się trzy tysiące lat temu; nie zaznacie zasię przy tym ani zwątpienia, ani trwogi. Mocniej! Dzierżcie mocno wszystko, co wam daje.

Dzieci zamknęły oczy — w oczekiwaniu czegoś niezwykłego. Jednakże na przekór oczekiwaniu jakoś nic osobliwego się nie zdarzyło.

— No i cóż? — zapytała Una z rozczarowaniem, otwierając oczęta. — Myślałam, że zobaczymy smoki.

— Chociażby to się zdarzyło trzy tysiące lat temu — powtórzył Puk i zaczął liczyć na palcach.. — O, nie! Niestety, trzy tysiące lat temu nie było smoków w tym kraju.

Obyczaje

— Ależ, jak dotąd, to jeszcze nic osobliwego się nie wydarzyło! — dąsał się Dan.  
— Chwilkę cierpliwości! — uspokajał go Puk. — Nie zmusisz dębu, by wyrósł w rok jeden... a przecie Stara Anglia więcej sobie lat liczy, niżby ich mieć mogło dwadzieścia pokoleń dębów. Usiądźmy znowu i podumajmy trochę. Co do mnie, to nie potrafię objąć myślą więcej jak jedno stulecie naraz.

— Tak, ale ty jesteś Czaroludkiem! — zauważył Dan.

— Czy słyszeliście, bym choć raz użył tego słowa? — zachnął się Puk.

— Nie. Wspominałeś tylko „Ludków Górskich”, natomiast ani słowem nie bąknąłeś o „Czaroludkach” — odpowiedziała Una. — Właśnie mnie to zastanawiało. Co, nie podoba ci się takie nazwanie?

— A czy wam byłoby miło, gdyby was nazywano ustawicznie „śmiertelnikami” lub „istotami ludzkimi”? Gdyby na ciebie wołano „córo Ewy”, a na niego „synu Adama”?

— Wcale by mi się to nie podobało! — odrzekł Dan. — W taki właśnie sposób przemawiają dżinny i afryty w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy*.

— Podobnie i ja się czuję, gdy ktoś w odniesieniu do mnie używa tego słowa... którego ja nigdy nie wypowiem... Zresztą to, co nosi u was ową nazwę, to wszystko istoty urojone, o jakich Ludkom Górskim nigdy nie zdarzyło się słyszeć: jakieś małe bąki o motylich skrzydełkach, spódnickach z gazy, z gwiazdami we włosach i z różdżkami w rękach, przypominającymi trzcinkę, używaną przez nauczyciela w razie potrzeby ukarania złego ucznia lub nagrodzenia dobrego. Umiałbym coś o nich powiedzieć!

— Wcaleśmy nie myśleli o takich istotach — zaprzeczył Dan. — My też nie żywimy do nich sympatii.

— Słusznie! — zawołał Puk. — Czyż więc możecie się dziwić, że Ludkowie Górscy nie chcą uchodzić za jedno z hałastrą tych pstrokatych skrzydlaczy, tych mydlków kiwających różdżkami, tych karmelkowych fircyków! Motyle skrzydełka, he, he, he! Widziałem ci ja imię Huona<sup>21</sup>, jak z drużyną wyruszył z zamczyska Tintagel<sup>22</sup> w kierunku wyspy Hai Brazil<sup>23</sup>, w samą paszczę południowo-zachodniej wichury... gdy piana obryzgiwała cały kasztel, a „Rumaki Wzgórza” stawały dęba z przerażenia. W chwilach gdy cichła wichura, wydostawali się na pełne morze, wrzeszcząc jak rybitwy, a potem cofali się na pięć mil w głąb lądu, zanim zdołali znów stawić czoło wiatrowi. Ładne mi motyle skrzydełka! Była to prawdziwa sztuka czarnoksiężska... najczarniejsza, na jaką mógł zdobyć się czarnoksiężnik Merlin... Czarne głębiny morskie lśniły zielonawą poświatą i białą pianą, wśród której wiły się śpiewające wodnice... a „Rumaki Wzgórza” torowały sobie drogę z fali na falę przy oślepiającym blasku błyskawic! Tak to bywało drzewiej... dawniejszymi czasy!...

— Wspaniale! — zachwycił się Dan, natomiast Una zadrżała z przerażenia.

— O, jakże się cieszę, że już nie ma tych straszyle! — szepnęła. — Ale dlaczegoż to Ludki Górskie stąd odeszły?

— Różne były powody — odrzekł Puk. — O jednym kiedyś wam opowiem, gdy wyjaśnię, jak przyszło do największego ze wszystkich wyrająw<sup>24</sup>. Bo one nie odleciały wszystkie naraz, gromadnie. Odchodziły jeden po drugim kolejno w ciągu wieków. Uchodźcami byli przeważnie cudzoziemcy, którzy nie mogli przywyknąć do naszego klimatu. Ci oddalili się najwcześniej.

— Kiedy to nastąpiło? — zapytał Dan.

— Jakie dwa tysiące lat temu, a może i dawniej. Trzeba wiedzieć, że początkowo byli oni bożkami. Kilku z nich przywieźli tu Fenicjanie<sup>25</sup>, gdy przybijali do tych brzegów,

<sup>21</sup>*Huon z Bordeaux* — bohater średniowiecznych poematów rycerskich, dokonujący bohaterских czynów dzięki pomocy króla wrózek, Oberona. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*Tintagel* — ruiny zamku, należącego dawniej do księztw Kornwalii, w pld.-zach. krańcu Anglii, wg legend *Rycerzy Okrągłego Stołu* w tym zamku urodził się i wychował król Artur. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*Hai Brazil*, ang. *Hy-Brasil* — mityczna wyspa, mająca znajdować się na Atlantyku na zachód od Irlandii. Według legend wylaniała się z mgły tylko raz na 7 lat. Była oznaczana na niektórych mapach w XV i XVI w. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*wyraja* — odlot ptaków na zimę do ciepłych krajów. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*Fenicjanie* — lud pochodzenia semickiego, mieszkający w starożytności w Fenicji (tereny dzisiejszego Libanu) i zajmujący się handlem w miastach nad całym Morzem Śródziemnym. Fenicjanie byli świetnymi żeglarzami i zakładali liczne kolonie, bogate miasta, także nad Atlantykiem na wybrzeżach dzisiejszego Maroka i Hiszpanii, skąd wyprawiali się jeszcze dalej, m.in. do Anglii. [przypis edytorski]



by kupować cynę. Potem tu lądowali Galowie<sup>26</sup>, Jutowie<sup>27</sup>, Duńczycy<sup>28</sup>, Fryzowie<sup>29</sup>, Anglowie<sup>30</sup> — i sprowadzili ich tu jeszcze więcej. Raz po raz jakieś plemię lądowało u tych brzegów albo chroniło się na okręty — a każde przywoziło z sobą swoje bożki. Ale w Anglii stawały się z tych bożąt prawdziwe niebożęta. Ja osobiście skarżyć się nie mogę, bo mi wtedy było nie gorzej niż obecnie. Miska kaszy, kubek mleka i drobne figle płatane wieśniakom, jak teraz, tak i wówczas, wystarczały mi w zupełności do szczęścia. Osiedliłem się tutaj, jak widzicie, i żyłem zawsze za pan brat z ludźmi. Natomiast większa część mych druhów pragnęła nadal być bożkami, mieć ołtarze, świątynie, świątelników i ofiary...

— Czy takie ofiary, o jakich opowiadała nam panna Blake?... Ofiary z ludzi, których palono w plecionkach z łożyny? — zapytał Dan.

— Najrozmaitsze ofiary — odpowiedział Puk. — Jeżeli nie z ludzi, to z bydła, koni, nierogacizny albo z syconego miodu. Ja tam nigdy w tym nie gustowałem. Oj, byłyż uparciuchy i cudaki z tych starych bałwanów! I czy na wiele im się to przydało? Phi! Ludzie, gdy im się lepiej zacznie powodzić, tracą ochotę do robienia z siebie ofiary, ba, nie mają ochoty ofiarować nawet swych koni roboczych. Toteż w czas pewien ludzie poniechali stare bożęta. Dachy świątyń zapadły się, świątynie opustoszały. Nie było rady! Bożęta musiały wygramolić się w świat i żywić się na własną rękę, jak tam który potrafił. Niektóre z nich wieszały się po drzewach albo też kryły się po grobach i jęczały po nocach. Jeżeli tak jęczały dość głośno i długo, udawało się im niekiedy napędzić takiego stracha jakimś biednemu chłopkowi, że okupywał się im kurą albo bryłką masła. Przypominam sobie taką boguńkę, co się zwała Belisama; została ona w końcu zwykłą rusalką wodną kędyś w Lancashire. Miałem też całe setki innych przyjaciół, co niegdyś byli bożkami, potem zeszli do rzędu Ludków Górskich, a w końcu powędrowali sobie w inne strony, bo z tych lub innych przyczyn nie mogli żyć wśród Anglików. O ile sobie przypominam, jedna tylko Stara Istota uczciwie zarabiała na życie od czasu pojawienia się na świecie. Był to Weland<sup>31</sup>, nadworny kowal kilku bożków, których imiona wypadły mi z pamięci; ten ci wykuwał dla nich miecze i włócznie, a podobno szczyił się, iż jest krewniakiem skandynawskiego Thora<sup>32</sup>.

— Czy tego Thora, o którym jest mowa w *Bohaterach Asgardu*? — zapytała Una, która miała w pamięci świeżo przeczytaną powieść pod tym tytułem.

— Być może — odpowiedział Puk. — W każdym razie, gdy nadeszły złe czasy, Weland nie kradł ani nie żebrał, tylko pracował... a ja miałem szczęście wyświadczyć mu pewną przysługę.

— Opowiedz nam o tym! — zawołał Dan. — Ja tak lubię słuchać o dawnych czasach.

Ułożyli się wygodnie na murawie, gryząc żdźbła trawy. Puk oparł się mocno na łokciu i jął opowiadać:

— Zaraz, niech no sobie przypomnę, jak to było... Pierwszy raz spotkałem Welanda w pewien wieczór listopadowy, podczas wielkiej zawiei śniegowej na równinie Pevensey...

— Pevensey? Czy mówisz o tym Pevenseyu za wzgórzem? — zapytał Dan, wskazując ręką na południe.

— Tak jest... tylko że w owych czasach były tam jeno<sup>33</sup> moczary, dochodzące aż do Horsebridge i Hydeneye. Znajdowałem się właśnie na wzgórzu Beacon (wówczas zwał się on Brunanburgh), gdy ujrzałem w dali bladą łunę płonących strzech wiejskich. Poszedłem

<sup>26</sup> Galowie — różne plemiona celtyckie z terenów dzisiejszej Francji osiedlały się w Anglii być może już w VI w. p.n.e. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> Jutowie — plemię germańskie z Jutlandii, które w V w. n.e. po wycofaniu się Rzymian osiadło w Południowej Anglii. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> Duńczycy — tu: Danowie, plemię z pld. Skandynawii, przodkowie dzisiejszych Duńczyków. Najeżdżali oni Brytanię od VIII w. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> Fryzowie — lud germański z Fryzji, z wybrzeży Morza Północnego (dziś tereny Holandii, Danii i Niemiec). [przypis edytorski]

<sup>30</sup> Anglowie — jedno z plemion germańskich, które najechały Brytanię w V w. n.e. Od nich pochodzi nazwa Anglii. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> Weland a. Wolundr (mit. germańska) — boski kowal i złotnik, bóstwo opiekuńcze, bohater wielu legend skandynawskich i anglosaskich. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> Thor (mit. nordycka) — bóg pioruna, rolnictwa, małżeństwa i rodziny. Przedstawiany z młotem w dłoni, na rydwanie ciągniętym przez kozły. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

przyrzec się pożarowi. Jacyś korsarze (zdaje mi się, że należeli do szajki Peofna) puszczały z dymem wioskę położoną na równinie. Na przedzie wielkiej, trzydziestu dwoma wiosłami opatrzonej galery, którą właśnie przycumowali do brzegu, spoczywał posąg Welanda — olbrzymi, czarny kłoc drewniany, przybrany w bursztynowy naszyjnik. Mróz ci wtedy był siarczysty! Z burty statku zwisały sopte lodowe; lód, jak szkliwo, osiadł na wiosłach i powlekł wargi Welanda. Ten, gdy mnie obaczył, począł mi nucić przeciągłą pieśń w swej ojczystej mowie, opowiadając, jak to on będzie panował nad Anglią, a ja będę wachał dym ofiarny jego ołtarzy, snujący się od Lincolnshire aż po wyspę Wight. Puszczałem mimo uszu te jego przechwałki. Napatrzyłem się tyłu najazdom bożków na Starą Anglię, że przestały one wywierać na mnie wrażenie. Pozwoliłem mu wysławiać się do woli przez ten czas, gdy załoga podpałała wioskę, a potem ni stąd, ni zowąd odezwałem się do niego: „Kowalu bożków, oto nadchodzi czas, gdy będziesz w kuźni przydrożnej zarabiał na parę groszy swym rzemiosłem”...

— Cóż na to odrzekł Weland? — spytała Una. — Czy się rozgniewał?

— Zwymyślał mnie brzydko, łypiąc groźnie oczyma, więc odszedłem w głąb łądu, by obudzić śpiącą ludność i przestrzec ją przed niebezpieczeństwem. Mimo wszystko jednak korsarze zdobyli kraj — a Weland stał się nader ważnym i potężnym bożkiem. Miał wszędzie świątynie, od Lincolnshire aż po wyspę Wight, a składane mu ofiary były wprost potworne w swym okrucieństwie. Trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że wołał konie niż ludzi... ale na przekór tym wszystkim końskim czy ludzkim ofiarom wiedziałem dobrze, że nadejdzie taki czas, gdy i on będzie musiał zniżyć się ze swej godności, podobnie jak to uczynili przed nim inni bogowie. Czekałem dość długo... z tysiąc lat może... a w końcu udałem się do jednej z jego świątyń koło Andover, by zobaczyć, jak mu się powodzi. Znalazłem tam jego ołtarz i posąg, nadto kapłanów i zgromadzenie wiernych... a wszyscy, z wyjątkiem samego Welanda i jego kapłanów, wydawali mi się niezmiernie szczęśliwi i zadowoleni. W owych zaś dawnych czasach, trzeba wam wiedzieć, zgromadzenie wiernych czuło się nieszczęśliwe, póki kapłan nie wybrał spośród nich ofiary; przypuszczam, że i wy czulibyście się podobnie na ich miejscu. Gdy rozpoczął się obrzęd, jeden z kapłanów wystąpił naprzód, powłókł jakiegoś człowieka ku ołtarzowi, zamierzył się nań złoconym toporkiem i niby to palnął go w głowę, człowiek ten zaś zwałił się na ziemię, udając, że umiera. Wówczas wszyscy obecni zaczęli krzyknąć: „Ofiara dla Welanda! Ofiara dla Welanda!”

— Co? Ten człowiek nie został zabity naprawdę? — spytała Una. — Nie umarł?

— Ani mu się śniło umierać! Wszystko to odbywało się „na niby”, jak na herbatce dla lalek. Następnie wyprowadzono wspaniałego, białego rumaka, a kapłan obciął mu parę włosów z ogona i grzywy i wrzucił je do ogniska na ołtarzu, krzyżąc: „Ofiara!” Miało to oznaczać, że człowiek i koń zostali zabici na ofiarę. Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, patrząc na widniejącą w dymie twarz nieboraka Welanda. Miał minę skwaszoną, jakby od wielkiego głodu — nie dziwota, bo trudno najeść się do syta, łykając jeno obrzydliwy swąd palonego włosa! Gorzej niżli na herbatce dla lalek!... W każdym razie postanowiłem do czasu nie pisać ani słowa (byłoby nieładnie z mej strony, gdybym mu dokuczał!), więc zaszedłem ponownie do Andover dopiero po upływie kilku stuleci. Nie zastałem tu już ani Welanda, ani jego świątyni; na jej miejscu stał kościół chrześcijański, rezydencja biskupa. Żaden z Ludków Górskich nie umiał mi opowiedzieć, co stało się z Welandem; przeto przypuszczałem, że opuścił Anglię.

Puk przerwał swą opowieść, przewrócił się na drugi bok, znów podparł się łokciem i zamyślił się.

— I wiecie co — odezwał się na koniec. — Było to chyba w parę lat później... na jakie parę lat przed przybyciem Wilhelma Zdobywcy... gdy powróciwszy na to oto wzgórze, po słyszałem, jak stary Hobden coś tam baje o Welandowym Brodzie.

— Jeżeli to chodzi o starego sadownika Hobdena, muszę ci zaznaczyć, że liczy on sobie dopiero siedemdziesiąt dwa lata życia — wtrącił się Dan. — Słyszałem to z jego własnych ust. Jest serdecznym przyjacielem nas obojga.

— Masz zupełną słuszność — odparł Puk. — Miałem na myśli nie waszego Hobdena, ale jego prapradziadka sprzed dziewięciu pokoleń. Był to człek wolny, z zawodu węglarz, i mieszkał gdzieś w tej okolicy. Znałem jego rodzinę, z ojca na syna, od czasów tak dawnych, iż niekiedy płaczą mi się z sobą trochę ich nazwiska. Ten Hobden, o którym

Pozory, Obrzędy, Bóg,  
Ofiara

mówię, zwał się Hob z Dene'u, a mieszkał koło kuźni... Otóż posłyszawszy nazwisko Welandy, oczywiście nadstawiłem uszu, a potem hała-drała! przez lasy i zarośla pomknąłem ponad bród rzeczulki, o tam, poza te leśne oparzeliska...

To mówiąc skinął głową na zachód, w stronę, gdzie dolina zwęża się pomiędzy zalesionymi wzgórzami a stromym chmielnikiem.

— Aha, to most Willinford! — zawołała Una. — Przecież często chodzimy tamtędy na przechadzkę. Tam właśnie widzieliśmy zimorodka...

— W owym czasie, moja dziecińko, miejsce to zwało się Weland's Ford, czyli Bród Welandy. Wiodła ku niemu droga (o jakże uciążliwa i wyboista!) od Beacon, ot tam z samego szczytu wzgórza, a całe zbocze górskie było porośnięte gęstym lasem dębowym, pełnym zwierzyny. Na próżno szukałem tam Welandy... nigdzie ani śladu po nim! Patrzę: aż tu naraz ukazuje się jakiś opasły chłopiec, człapiący konno leśną drogą od strony Beacon. Jechał niesporo, bo konisko zgubiło gdzieś w błocie podkowę. Podjechawszy do brodu, zeskoczył z siodła, wydobyl grosz z kalety, położył go na kamieniu, przywiązał konia do dębu i zawołał: „Kowalu! Kowalu! Będziecie mieli robotę!” Potem, jakby nic, siada na ziemi i dalejże chrapać. Możecie sobie wyobrazić, co się ze mną działo, gdym nagle zobaczył, jak z zarośli wyłazi stary, siwobrody, zgarbiony kowal przepasany skórzanym fartuchem i bierze się do kucia konia: był to Weland we własnej osobie! Zdumiony nad wszelkie pojęcie, wyskoczyłem z krzaków i pytam: „To ty, Welandzie? Przebóg, cóż tu porabiasz?”

— Biedny Weland! — westchnęła Una.

— Kowal odgarnął w tył włosy, które zaszyły mu na czoło, i patrzył na mnie przez chwilę, nie poznając zrazu, ktom zacz. Gdy wreszcie poznał, rzecze: „Kto jak kto, ale ty, Starodawna Istoto, powinieneś wiedzieć, co tu robię. Przecieżes sam mi to przepowiedział. Zarabiam na życie podkuwaniem koni. Nawet imię Welandy już mi przekrecono. Zowią mnie teraz Kowalem Przydrożnym, Wayland Smith”.

— Biedaczysko! — współczuł Dan. — I cóżes ty mu na to odrzekł?

— Cóż miałem mu powiedzieć? On spojrział w górę, trzymając w objęciach końskie kopyto, i rzekł z uśmiechem: „Tak, tak, pamiętam czasy, kiedy bym takiego szkapska nie raczył przyjąć w ofierze, teraz zaś rad jestem, że zarobię choć grosik za podkucie mu kopyt”.

„Czy już nie ma sposobu, byś mógł powrócić do Walhalli<sup>34</sup>, czy do innego miejsca, skąd przybyłeś?” — zapytałem.

„O, chyba nie! — odpowiedział skrobiąc pilnikiem końskie kopyto. Z końmi umiał obchodzić się wybornie, toteż stare szkapsko rzało przyjaźnie, oparłszy się o jego ramię. — Pewno sobie przypominasz, że za czasów mej chwały i potęgi nie był bynajmniej bożkiem łaskawym. Przeto nie będę wyzwolon aż do czasu, gdy jakaś istota ludzka okaże mi szczerą przychylność”.

„W takim razie — odrzekłem — ten gospodarz już ci ją z pewnością okaże. Obkułeś mu konika jak się patrzy”.

„Jużci! — odpowiedział mi Weland. — Moje gwoździe podtrzymają podkówkę od jednej pełni księżycowej do drugiej. Atoli serca gospodarzy są jak ruda łąkowa, zimne i cierpkie zarazem”.

I czy uwierzycie, że ów gospodarz, obudziwszy się i ujrzawszy podkutego już konia, dosiadł go najspokojniej i odjechał bez słowa podziękui? Poruszyło mnie to do żywego i postanowiłem dać staremu łajdakowi lekcję grzeczności. Prosto z miejsca zawróciłem mu konia i okrężną drogą przyprowadziłem go nazad do Beacon... było jakie trzy mile tej drogi...

— Czy byłes niewidzialny? — zapytała Una.

Puk kiwnął poważnie głową.

— Wioska Beacon była w owych czasach w ciągłym pogotowiu, na wypadek gdyby Francuzi wylądowali w Pensee; przeto lada chwila powinny były błysnąć światła. Ja jednakże wodziłem mu konia ciągle w kółko i w kółko przez całą ową krótką nockę letnią. Chłopiec myślał, że go ktoś urzekł (co zresztą nie tak dalekie było od prawdy), przeto począł się modlić i przyzywać ratunku. Ja się tym nie przejmowałem, boć byłem również

<sup>34</sup>Walballa (mit. nordycka) — „pałac poległych”, pałac Odyna; miejsce, w którym polegli wojownicy uczują razem z bogami. [przypis edytorski]

dobrym chrześcijaninem jak on sam, czego dowody składałem na wszystkich odpustach w całym hrabstwie. Około czwartej nad ranem zaszedł nam drogę jakiś nowicjusz idący z klasztoru, co się tu dawniej wznosił na wzgórzu Beacon.

— Co to znaczy nowicjusz? — zapytał Dan.

— Właściwie wyraz ten oznacza osobę rozpoczynającą życie klasztorne; trzeba jednak wiedzieć, że w owych czasach ludzie świeccy posyłali swoich synów na naukę do klasztoru, jak dziś posyła się do szkoły. Młokos, o którym mówię, za lat uprzednich spędzał po parę miesięcy w jednym z klasztorów francuskich<sup>35</sup>, a obecnie kończył edukację w klasztorze nie opodal swych stron ojczytych, albowiem cała dolina należała do jego rodziców. Otóż Hugo (takie było imię panicza) wyszedł w ów ranek łowić ryby; posłyszał krzyki gospodarza... i oczywiście zapytał o przyczynę. Chłopiec zaczął pleść duby smalone o jędzach, diablikach i upiorach, choć wiedziałem dobrze, że przez całą noc nie widział niczego, prócz paru sarn i królików. (Ludkowie Górscy — jak wydry — pokazują się tylko wtedy, gdy im przejdzie ochota). Ale nowicjusz był nie w ciemną bitą. Rzuciwszy okiem na końskie kopyta, od razu zauważył nowe podkowy, przytwierdzone w sposób wiadomy jedynie Welandowi, a mianowicie za pomocą szczególnego zagięcia gwoździ, noszącego u ludności okolicznej nazwę „kowalskiego chwytu”.

„Hm! — mruknął nowicjusz. — A gdzieżecie to podkuwali konia, ojczulku?”

Gospodarz początkowo wykręcał się od odpowiedzi, wiedząc, iż duchowieństwo nie pozwala wiernym wdawać się w konszachty z Dawnymi Istotami. W końcu jednak, przyściśnięty do muru, zdradził nazwisko kowala. „A cóżeście mu zapłacili za robotę?” — spytał nowicjusz. „Ano, grosz...” — bąknął posępnie gospodarz. „No, no! — pokręcił głową nowicjusz. — Nie wiem, czy który chrześcijanin przyjąłby tak lichy wynagrodzenie! Ale chybaście mu jeszcze dodali: Bóg zapłać.” „Gdziet! — obruszył się chłop. — Dyc kowal Wayland to niechrzczeniec!” „Czy on chrzczony, czy nie chrzczony, to inna sprawa! — odparł mu na to nowicjusz. — W każdym razie korzystałeś z jego usługi, a za usługę zawdy należy się podziękować.” „Co! — huknął chłopiec doprowadzony już do pasji, bom mu ciągiem obracał konia w kółko. — Co mi tu będziesz bakę świecił, żółtodziobie zatracony! Wedle twego mędrkowania, tobym może samemu diaskowi winien był powiedzieć: Bóg zapłać, gdybym przypadkiem skorzystał z jego usług?” „E, lepiej byście się, ojczulku, nie bawili ze mną w tak subtelne roztrząsania — zachnął się nowicjusz. — Po prostu wróćcie się do brodu i powiedzcie kowalowi: Bóg zapłać, jeżeli nic chcecie, żeby was co gorszego spotkało!”

Co było robić? Mój chłopiec wrócił się jak niepyszny. Poprowadziłem mu konia, nie postrzeżony przez nikogo. Nowicjusz szedł koło nas, dźwigając na ramieniu wędkę, niby włócznię, i otrząsając rosę z trawy fałdzistą połą swej sukni. Gdy doszliśmy do brodu (była może godzina piąta i mgły poranne snuły się jeszcze w dąbrowie), chłopiec zawział się i nie chciał powiedzieć: Bóg zapłać, a na dobitkę zaczął grozić, iż doniesie opatowi, że nowicjusz przymusza go do oddawania czci bożkom pogańskim. Wówczas Hugon stracił już wszelką cierpliwość; wrzasnął: „Złaż mi zaraz!” — i schwyciwszy chłopka za tłustą łydkę, wyrzucił go z siodła na ziemię, po czym nie pozwalając nieborakowi powstać, ucapił go za kark i dopóty trząsł nim jak szczurem, póki ten nie wyjąkał pokornie: „Bóg ci zapłać, kowalu Weylandzie”.

— Czy Weland widział to wszystko? — spytał Dan.

— A jakże! Przyglądał się z radością i zachwytem całemu zajściu, a nawet wyrwał mu się z ust prastary okrzyk wojenny w chwili, gdy wieśniak runął z łoskotem na ziemię. Nowicjusz, doczekawszy się żądanych słów od wieśniaka, zwrócił się w stronę wspomnianego już dębu i zawołał: „Hej, kowalu bogów! Wstydzicie się muszę za tego grubianina, to prawda, ale pozwól, że za wszystkie uprzejmości i przysługi, jakie wyświadczyłeś jemu samemu i jemu podobnym, złożę ci podziękowanie i okażę szczerą życzliwość”. To rzekłszy podniósł wędkę (która w owej chwili jeszcze bardziej przypominała długą włócznię) i rześkim krokiem jął zstępować w tę oto waszą dolinę.

— A cóż na to biedny Weland? — zagadnęła Una.

<sup>35</sup>spędzał po parę miesięcy w jednym z klasztorów francuskich — w XI w., w czasach przed najazdem Normanów, szlachta saksońska z Anglii często wysyłała synów na naukę do szkół klasztornych w Normandii. [przypis edytorski]

— Zaczął śmiać się i krzyżeć z uciechy, gdyż był już na koniec wyzwolony i mógł odejść, gdzie mu się podobało. Atoli miał on naturę na wskroś rzetelną. Jak dotąd zarabiał sumiennie na życie, tak też postanowił spłacić przed odejściem wszystkie swoje długi. „Muszę przecie dać jakiś dar temu cnemu młodzikowi — powiedział sobie — taki dar, co wyjdzie na dobre i jemu, i jego ojczyźnie i rozśławi jego imię po świecie szerokim. Rozdmuchaj no mi ogień, Starodawno Istoto, a ja przyniosę żelaza na tę ostatnią mą robotę!” No i wykuł miecz o ciemnoszarym brzeszczocie, a falistym obrzeżu. Ja dąłem w miechy, a on kuł i kuł zawzięcie. Na Jesion, Głóg i Dąb! Wierzajcie mi, iż pokazał Weland, że nie darmo był kowalem bogów! Dwukrotnie hartował ów miecz w bieżącej wodzie; za trzecim razem zahartował go w wieczornej rosie, potem położył go w świetle księżycy, wyszeptał nad nim runy<sup>36</sup>, czyli słowa zaklęcia, i wyrył wieszczbę runiczną na brzeszczocie. „Starodawna Istoto — odezwał się do mnie, obcierając czoło — jest to najlepsze ostrze, jakie kiedykolwiek wyszło spod rąk Weland! Sam nawet właściciel miecza nie pozna się na jego wartości. Chodźmy do klasztoru!”

Udaliśmy się do sali, w której spali zakonnicy. Nasz nowicjusz chrapał twardo na swym tapczanie, spowity grubą oponczą. Weland włożył mu w rękę miecz, a pamiętam wybornie, jak skwapliwie pochwycił ów młodzian za rękojeść. To widząc, Weland wkroczył nieśmiało do kaplicy i cisnął na podłogę cały swój sprzęt kowalski — młot, obcęgi i pilniki — by pokazać, że odtąd nie chce mieć z nimi nic do czynienia. Rozległ się szczeł, jak gdyby co najmniej kilkanaście zbroic zważyło się na ziemię. Zaspani mnisi wbiegli co sił do kaplicy, myśląc, że to Francuzi przypuścili znienacka szturm do klasztoru. Nowicjusz biegł pierwszy, wymachując nowiuśkim mieczem i wydając bojowe okrzyki w języku saksońskim. Na widok porzuconych kowalskich narzędzi wszyscy osłupieli, nic nie wiedząc, co to ma oznaczać; wówczas nowicjusz, poprosiwszy o głos, jął opowiadać o swoim postąpieniu z wieśniakiem, o swojej rozmowie z kowalem Welandem, a wreszcie o mieczu, który jakimś dziwnym sposobem znalazł się na jego tapczanie, pomimo że przecie sypialnia była przez noc całą oświetlona.

Opat zrazu potrząsał głową, w końcu jednak roześmiał się i rzekł do nowicjusza: „Synu mój, Hugonie, obeszłoby się i bez znaku ze strony jakiegoś tam bożka pogańskiego, bym wiedział, że z ciebie klasztor małą mieć będzie pociechę. Zabierzże swój miecz, pilnuj go dobrze i miej go zawsze przy sobie, a bądź równie szlachetny, jak dworny jesteś i krzepki. My zaś powiesimy te narzędzia kowalskie przed ołtarzem, bo choć ten kowal dawnych bożyszcz miał pewnikiem z onego czasu jakoweś grzeszki na sumieniu, toć potem zarabiał ciężko a uczciwie na kawałek chleba i składał ofiary na rzecz Matki naszej, Kościoła”. Potem wszyscy udali się na spoczynek; jeden tylko nowicjusz oka nie zmrużył, ale usiadłszy w ogródku klasztornym, zaczął bawić się swym mieczem. Wówczas Weland, ukryty za stajnią, rzekł do mnie: „Żegnaj mi, Starodawna Istoto! Prawdziwe były słowa twoje: tyś widział moje przybycie do Anglii, ty też jesteś teraz świadkiem mego odejścia. Do widzenia!”

To rzekłszy zszedł ze wzgórza aż na skraj Wielkich Borów (dziś zwiecie to miejsce Leśnym Zakątkiem), akurat tam, gdzie pierwszy raz wylądował. Przez chwilę jeszcze słyshałem, jak przedzierał się przez zarośla w stronę Horsebridge; potem już znikł bez śladu. Opowiadał to, com widział na własne oczy.

Dzieci westchnęły głęboko.

— Ale co się stało z nowicjuszem Hugonem? — zapytała Una.

— A z mieczem? — zawtórował Dan.

Puk rozejrzał się po łące, która chłodna już i spokojna układała się do snu pod cieniem wzgórza Pook's Hill. Kędyś nie opodał derkacz ciurlikał wśród pokoszonej trawy, a młode pstrągi w rzeczułce poczęły wyskakiwać nad wodę. Spomiędzy olszyn wyfrunęła niepewnym jeszcze lotem biała ćma i poczęła krążyć nad głowami dzieci, a w ślad za nią równie biały i cichy opar wysnuł się znad potoku.

— Czy naprawdę chcielibyście wiedzieć to wszystko? — upewniał się Puk.

— Chcemy! Chcemy! — zawołały razem dzieci. — Strasznie chcemy!

<sup>36</sup>runy — litery alfabetu germańskiego, używane także w obrzędach magicznych (w tych czasach większość ludzi nie umiała czytać i pisać i uważała te czynności za tajemnicze i magiczne). [przypis edytorski]

— Doskonale. Przyrzekłem wam, że zobaczycie to, co dane wam będzie zobaczyć, usłyszycie to, co dane wam będzie usłyszeć, chociażby to zdarzyło się trzy tysiące lat temu. Jednakże teraz coś mi się wydaje, że jeżeli natychmiast nie wrócicie do domu, to rodzice zaczną was szukać. Odprowadzę was do samej furtki.

— A czy się znowu pojawisz, gdy my tu przyjdziemy? — zapytały dzieci.

— Oczywiście! Oczywiście! — odpowiedział Puk. — Już tu przecie nieraz bywałem. Ale teraz bądźcie tak dobrzy... zaczekać chwilkę.

To mówiąc wręczył każdemu z nich po trzy listki: listek dębu, listek głogu i listek jesionu.

— Pogryźcie je! — rzekł. — Jeżeli tego nie uczynicie, to jeszcze gotowicie się w domu wygadać, coście tu widzieli i słyszeli, a wtedy posłano by natychmiast po doktora... Znam ja się trochę na ludziach... No, pogryźcie dobrze!

Dzieci zaczęły zawzięcie żuć podane im listki i tak idąc ani się nie spostrzegły, gdy stanęły koło furtki. Zza furtki wychylił się ojciec.

— No, jakieście się bawili? — zapytał.

— O, świetnie! — zawołał Dan. — Tylko później... tak mi się wydaje... jakbyśmy zasnęli. Było tak ciepło i spokojnie. Czy sobie co przypominasz, Uno?

Una potrząsnęła główką i nie odrzekła ani słowa.

— Ho! ho! — rzekł ojciec. — Już widzę, jak to było:

Późną nocą do swej chaty Kilmeny wróciła  
I nie zdaje sobie sprawy nawet, gdzie chodziła,  
I wyjaśnić nie potrafi, co widziała w świetle...

Ale czemuż to w tak młodym wieku zabierasz się do żucia liści, córeczko? Czy to jakaś zabawa?

— Nie... to było mi do czegoś potrzebne... tylko że... nie mogę sobie przypomnieć... — odpowiedziała Una.

W istocie żadne z nich nie mogło sobie nic przypomnieć, aż dopiero...

## ŚPIEW LASU

Choć i w borach, i w lasach tyle drzew rozmaitych  
zdobi starą angielską krainę,  
między rzeszą tą drzewną nie ma lepszych na pewno.  
ponad jesion i głóg, i dębinę!  
O, przemożne to drzewa! Niechaj każdy im śpiewa!  
Niechaj dusze otworzą się w głąb!  
Niechaj w ranek śródletni miły śpiew nam uświetni  
one drzewa: głóg, jesion i dąb!

Dąb na glinie tej ziemi żył już laty dawnemi,  
nim się zbożny Eneasza<sup>37</sup> narodził  
a gdzie gleby są żyzne, tam miał jesion ojczyznę,  
kiedy Brutus<sup>38</sup> z Italii uchodził;  
głóg nad łąką torfiastą Nowej Troi<sup>39</sup> znał miasto,  
gdzie Londynu założon był zrab.  
Przeto wnosić możecie, jak już dawno na świecie  
głóg wyrasta i jesion, i dąb!

<sup>37</sup>Eneasza (mit. gr. i rzym.) — bohater mitów oraz eposu *Eneida*, napisanego przez Wergiliusza. Uciekinier ze zburzonej Troi i protoplasta Rzymian. W średniowieczu w Anglii wierzono, że wnuk Eneasza, Brutus, dotarł do Brytanii i założył tu Nową Troję. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>Brutus (mit.) — wnuk Eneasza, według legend cyklu arturiańskiego założyciel Nowej Troi w miejscu dzisiejszego Londynu i pierwszy król Anglii (nie należy mylić z Marcusem Luniusem Brutusem, 85–42, przybrany synem i jednym z zabójców Juliusza Cezara). [przypis edytorski]

<sup>39</sup>Nowa Troja — w średniowieczu w Anglii popularna była legenda, według której Brutus, potomek Eneasza, pożegłował na północ aż do Brytanii, pokonał władającą nią olbrzymy i założył miasto Nowa Troja w miejscu dzisiejszego Londynu. [przypis edytorski]

Wprawdzie cis starodawny, który rośnie wśród grobów,  
daje drzewce wyborne do łuku;  
zasię drzewo olszyny bywa zdatne na obuw,  
a pucharki wyrabia się z buku.  
Lecz gdy łowy zakończysz i pucharek wysączysz,  
a obuwie ci spadnie już z nóg,  
pośród nędzy, frasunku nie poskąpi ratunku  
ani dąb, ani jesion, ni głóg!

Wiąż nie lubi człowieka, więc się czai i czeka,  
i choć wichry przycichną szalone,  
on ku ziemi się nagnie, w łeb gałęzią cię smagnie,  
zamiast dawać ci schron i osłonę!  
Lecz czyś smutny, czy rzeźwy, czy od piwa nietrzeźwy,  
skoroś zasnął, zwinąwszy się w kłęb,  
śpij spokojnie i błogo i nie przejmuj się trwogą,  
gdy cię strzeże głóg, jesion i dąb!

O, zachowaj nasz sekret!... A i księdzu nic nie mów!  
On by grzechem te czary mógł przewać,  
bośmy noc tę spędziły w głębi leśnych eremów<sup>40</sup>,  
nowe lato chcąc zakłąć, zawezwać!  
Oto wieść tę radosną dla zasiewów i bydła  
uroczyście zanosim w wasz próg:  
że z południa już słońce przyleciało na skrzydłach,  
wiodąc jesion, dębinę i głóg!

A więc, zacni waszmoście, głośną chwałbę podnoście!  
Dniu śródletni! W rozbrzasku się kąp!  
Do ostatnich dni świata niech się z Anglią pobrata  
drzew tych trójca: głóg, jesion i dąb!

## 2. MŁODZI DZIEDZICE DWORU

W kilka dni później dzieci były zajęte łowieniem ryb w potoku, który od wieków żłobił sobie łożysko w miękkim gruncie doliny. Ponad ich głowami gęstwa konarów drzewnych utworzyła długie sklepienie, przez które z trudem przebijały się promienie słońca, układając się w różne wzorki na usypiskach żwiru i piasku, na starych korzeniach i pniakach okrytych mchem lub zrudziałych od żelazistej wody, na naparstnicach białych i pnących się ku światłu, na kępach paproci i na nieśmiałych kwiatuśkach nadwodnych, które nie mogą żyć bez cienia i wilgoci. W stawach hasały pstrągi, raz po raz rozbijając powierzchnię wody. Stawy te zazwyczaj powiązane były z sobą cienkimi pasemkami poników<sup>41</sup>, toczących się z bełkotem wokół mroczni najbliższego skrętu; jedynie w czas powodzi cały ten obszar stawał się jednolitą, brunatną strugą.

Łowisko to należało do najbardziej ustronnych, otoczonych największą tajemnicą. Wskazał je dzieciom najserdeczniejszy ich przyjaciel, stary ogrodnik Hobden; on też udzielał im wskazówek, jak należało w miejscu tym poławiać ryby. Gdyby nie leciuchny chrzęst wędki, trącej o wiklinę, albo cichy świst i szmer wyrzuconego w górę sznurka, przelatującego między listkami jesionu, nikt z ludzi znajdujących się na skwarnym państwisku nie domyśliłby się nawet, jak miały się z pyszna pstrągi koło wydmy piaszczystej.

— Jużeśmy złapali chyba z pół tuzina — odezwał się Dan po godzinnym siedzeniu wśród gorąca i wilgoci. — Radzę teraz udać się nad skalistą zatokę i spróbować szczęścia w Długim Stawie.

Una kiwnęła głową na znak zgody (takimi skinieniami zazwyczaj zastępowała rozmowę). Wypełzli tedy z mrocznych zakamarków listowia i skierowali się w stronę niewiel-

<sup>40</sup>erem (z gr.) — pustelnia. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>ponik — ciek wodny, strumyczek, czasem: znikający pod ziemią. [przypis edytorski]

kiego jazu, odgradzającego rybny potok od młynówki. Brzegi tam już są niskie i niezarośnięte, a promienie słońca w godzinach popołudniowych odbijają się od powierzchni Długiego Stawu blaskiem tak jaskrawym, że aż oczy bolą od patrzenia w tamtą stronę.

Znalazłszy się na otwartej przestrzeni, dzieci omal z wielkiego zdumienia nie zwały się na ziemię. Pośrodku stawu, muskając ogonem szklaną tafłę wody, stał olbrzymi, siwy koń i pił chciwie, a drobne fale tworzące się koło jego pyska połyskiwały jak roztopione złoto. Na koniu siedział siwy jak gołąb starzec, ubrany w przestronną, lśniącą kolczugę. Głowę miał odsłoniętą; żelazny, z kształtu do laskowego orzecha podobny szyszak wisiał u łęku siodła. Cugle były z czerwonej skóry, grubej na kilka cali, ząbkowanej po brzegach, a głębokie, suto wyściełane siodło o czerwonych popręgach trzymało się mocno dzięki równie czerwonym rzemieniom napierśnika i podogonia.

— Patrzaj! — szepnęła Una, choć Dan i tak już wytrzeszczał oczy z podziwu. — Zupełnie mi to przypomina obrazek „Przeprawa imć pana Isumbrasa przez rzekę”... ten, co wisi w twoim pokoju.

W tejże chwili rycerz obrócił się ku nim. Jego chude, pociągłe oblicze tchnęło do prawdy tą samą słodyczą i uprzejmością, jaką na wspomnianym obrazku nacechowana była twarz imć pana Isumbrasa, przenoszącego dzieci w bród przez rzekę.

— Oni właśnie powinni być tutaj, mości Ryszardzie — rozległ się nagle gruby głos Puka pomiędzy wikliną.

— Są już tu nawet — odpowiedział rycerz i uśmiechnął się do Dana, dzierżącego w ręce nanizane na sznurek pstrągi. — Zdaje mi się, że chłopcy niewiele się zmienili od tych czasów, gdy moi synowie łowili ryby w tych wodach.

— Jeżeli już napiłeś konia, to przejdźmy na obszar Czarodziejskiego Kręgu; tam będzie wygodniej! — rzekł Puk i skinął dzieciom głową tak poufale i spokojnie, jak gdyby czarodziejską mocą nie zatarł był przed tygodniem w ich pamięci wszystkiego, co się wówczas zdarzyło.

Rumak wykonał zwrot w tył i jął gramolić się na łękę, silnymi uderzeniami kopyt strącając z nadbrzeżnego wiszaru całe bryły ziemi, które z chrzęstem waliły się w wodę.

— Za pozwoleniem waszmości! — ozwał się pan Ryszard do Dana. — Gdy te dzierzawy do mnie należały, nie pozwalałem na to, by jeźdźcy mieli przeprowiać się przez strumień inaczej, jak cembrowanym brodem; atoli mojej Jaskółce pić się chciało okrutnie, ja zaś pragnąłem spotkać się z wami.

— Bardzo się cieszymy z pańskiego przybycia — rzekł Dan. — Proszę się tym wcale nie przejmować, że koń pański trochę uszkodził brzegi.

Mówiąc to, biegł truchcikiem przez pastwisko tuż obok olbrzymiego wierzchowca, z tej strony, gdzie u pasa imć pana Ryszarda wisiał potężny miecz o żelaznej rękojeści. Una wraz z Pukiem dreptała poza nimi. Teraz już przypomniła sobie wszystko.

— Przepraszam was bardzo za figiel z liśćmi — mówił Puk. — Ale gdybyście po powrocie do domu mieli nieszczęście wygadać się z tajemnicy, już byście nie ujrzeli tego, co teraz widzicie. Co sądzisz o tym?

— I ja też myślę to samo — odrzekła Una. — Ale... ale ty nam powiedziałaś, że wszystkie Czaro... wszystkie Ludki Górskie opuściły Anglię...

— Bo też istotnie ją opuściły! Ale czyż wam nie powiedziałem, że będziecie chodzili wszędzie, widzieli i słyszeli różne dziwy? Zresztą ten rycerz nie jest Czaroludkiem. To pan Ryszard Dalyngridge, przyjaciel mój z lat dawnych. Przybył tu jeszcze z Wilhelmem Zdobywcą<sup>42</sup>, a bardzo pragnąłby was poznać.

— Dlaczego? — zdziwiła się Una.

— Dla waszej wielkiej wiedzy i mądrości — odpowiedział Puk, nawet nie mrugnawszy okiem.

— Naszej mądrości?! — wykrzyknęła Una. — Przecież ja nie umiem mnożyć przez dziewięć na wyrywki, a Dan robi straszne omyłki w ułamkach. To chyba nie o nas chodziło!

Mądrość

<sup>42</sup>Wilhelm Zdobywca (ok. 1028–1087) — władca francuskiej Normandii, który najechał Anglię w 1066 r. i zdobył tron angielski. Wojska normandzkie wylądowały w Zatoce Pevensy (w pobliżu miejsca akcji powieści), korzystając z osłabienia Saksonów po walkach z Wikingami, zwyciężyły w bitwie pod Hastings i szybko podbiły cały kraj. Wilhelm nagroził swoich rycerzy, rozdając im podbite ziemie jako lenna, a sobie zapewnił silną władzę, zatwierdzając miejscowe prawa i obyczaje. [przypis edytorski]



— Uno! — zawołał Dan oglądając się za siebie. — Pan Ryszard obiecał, że nam opowie, co się stało z mieczem Welanda. To on dostał ten miecz! Czy to nie wspaniale?

— O nie... nie — odezwał się pan Ryszard zsiadając z konia, gdy dotarli do Czarodziejskiego Kręgu przy zakręcie młynówki. — To wy mi musicie o tym opowiedzieć, bo dowiaduję się, że najmniejszy brzdąc w dzisiejszej Anglii jest tak mądry jak najmędrszy kleryk za naszych czasów.

To rzekłszy wyjął wędzidło z pyska Jaskółki, przerzucił szkarłatne wodze przez szyję wierzchowca, a mądre konisko od razu ruszyło szukać sobie paszy. Wówczas pan Ryszard, utykając nieco na jedną nogę, podszedł znów ku dzieciom i odpałał miecz olbrzymi.

— Patrz, to ten miecz! — szepnął Dani do Uny.

— Tak, to ten miecz, który brat Hugon otrzymał od kowala Waylanda — potwierdził pan Ryszard. — Oręż ten nie od razu stał się moją własnością. Nie chciałem go przyjąć od brata Hugona, gdy mi go ofiarował. W końcu jednak, po bitwie tak strasznej, jakiej ani przedtem, ani potem nie stoczyli rycerze chrześcijańscy, miecz ten mnie się dostał. Przyjrzyjcie mu się!

Wyciągnął miecz do połowy z pochwy i obrócił go przed oczyma dzieci. Po obu stronach, tuż pod rękojeścią, gdzie żywym blaskiem świecił napis runiczny, widać było dwa głębokie rowki w straszliwym, śmiercionośnym żelęcu.

— Jakaż to istota wyryła mi na mieczu te szramy? — zapytał pan Ryszard. — Ja nie wiem, ale wy... ale wy może potraficie mi to objaśnić?

— Opowiedz im całą historię, mości Ryszardzie — wtrącił się Puk. — Wszak ona poniekąd dotyczy ich włości.

— O tak! Proszę opowiedzieć nam rzecz całą... od samego początku! — poparła go Una, gdyż dobrotliwa twarz rycerza, okraszona uśmiechem, coraz to więcej przypominała „Imc pana Isumbrasa przeprawiającego się przez rzekę”.

Nie dał się prosić mości pan Ryszard. Siadł na murawie, nie nakrywszy głowy pomimo spieki słonecznej, i przytulił oburącz miecz do piersi. Dzieci usiadły przy nim, by posłuchać opowieści. Siwek paś się spokojnie poza obrębem Czarodziejskiego Kręgu, a ilekroć łbem poruszył, szyszak przytroczony do siodła odzywał się cichym pobrzękiem. Zaś pan Ryszard mówił:

— Dobrze, opowiem od początku rzecz całą, skoro odnosi się ona do waszych włości. Gdy nasz książę wyruszył z Normandii na podbój angielskiej krainy, możni rycerze (możeście o nich słyszeli?) jęli z zapalem zaciągać się pod jego znaki, gdyż obiecywał podzielić zdobytą ziemię między tych, co wiernie służyć mu będą. Za możnymi pociągnęła i szara brać rycerska. Rodzina moja należała do uboższych w Normandii. Atoli tak się zdarzyło, że krewniak mojego ojca, Engerrad herbu Orzeł, onże Engenulf De Aquila, poszedł za hrabią Mortain, który szedł za księżciem Wilhelmem; przeto i ja pociągnął za De Aquilą. Tak! W trzy dni nieledwie, jak pasowano mnie na rycerza, zabrałem świeżo otrzymany miecz oraz trzydziestu pachółków z domu mego rodzica — i wyruszyłem na podbój Anglii. Niestety, jednogom wtedy nie przeczuwał: iż nie ja Anglię, ale Anglia mnie podbije... Przepłynęliśmy morze i wylądowaliśmy wielką kupą luda koło Santlache...

— Czy tu chodzi o bitwę pod Hastings... w roku 1066? — szeptem spytała Una. Puk tylko skinął głową, by nie przerywać opowiadającemu.

— Koło Santlache... o tam, za wzgórzem — to mówiąc wyciągnął rękę w kierunku południowo-wschodnim, ku latarni morskiej — spotkaliśmy się z wojskiem Harolda. Rozpoczęła się bitwa. Pod wieczór wrogowie pierzchli w popłochu. Moi ludzie wraz z drużyną De Aquili ruszyli w pościg za nimi, bijąc i łupiąc wszystko po drodze. W tym pościgu był ubit Engerrad herbu Orzeł, a chorągiew i drużynę przejął po nim syn jego Gilbert. Jam jednak o tym dowiedział się dopiero znacznie później, gdyż moja Jaskółka dostała cięcie w bok, przeto zatrzymałem się nad strumykiem, koło ciernistych gąszczy, by obmyć jej tę ranę. Naraz słyszę, alic jakowys zblakany Saksończyk krzyczy na mnie po francusku, wyzywając do walki. Coś mi się wydawało, że skądś znam ten głos, ale przyjąłem wezwanie i skrzyżowaliśmy broń. Przez dłuższą chwilę żaden z nas dwu nie osiągał przewagi, aż ci w końcu mój sąpierz<sup>43</sup> złym dlań trafem pośliznął się i wypuścił

Broń, Rycerz

<sup>43</sup>sąpierz (daw.) — przeciwnik, współzawodnik. [przypis edytorski]

miecz z dłoni. Ja, żem był niedawno pasowan na rycerza i nade wszystko rad byłem okazać blask rycerskiej cnoty, wstrzymałem się od ciosu i wezwałem Saksończyka, by podniósł miecz. „Skaranie Boskie z tym mieczem! — rzecze mi on na to. — Przyniósł mi klęskę zaraz w pierwszej bitwie! Przyjmij go w dani ode mnie. Wszak ocaliłeś mi życie”. To rze- kłszy podał miecz; ale gdym wyciągnął rękę, miecz ozwał się jękiem, jak człek zraniony, a jam odskoczył krzycząc: „To czary!”

Dzieci spojrzwały na miecz, jakby czekały, iż on znów zagada.

— Nagle z gąszczy wypadła gromada Sasów. Widząc Normanda, odciętego od swo- ich, rzucili się jak wilcy na owcę. Byłbym z rąk ich zginął niechybnie, gdyby ich nie odegnał mój Saksończyk, wołając, żem ci jego jest brańcem. Tedy on (w czym nie masz wątpliwości) ocalił mi życie; potem pomógł mi wsiąść na koń i wiódł mnie dziesięć mil z okładem poprzez lasy, ażeśmy dojechali do tej tu doliny.

— Co? Tutaj? — zapytała Una.

— Tak jest, do tej tu doliny. Przeprawiliśmy się przez Dolny Bród, o tam, pod Górką Królewską — to mówiąc wskazał ręką na wschód, gdzie dolina stawała się nieco szerszą.

— Czy ten Saksończyk to przypadkiem nie nowicjusz Hugon? — domyślił się Dan.

— W rzeczy samej, on to był. Ale to jeszcze nie wszystko. Okazało się, że on przeżył trzy lata w klasztorze w Bec koło Rouen, w tym samym klasztorze — tu imć pan Ryszard zaśmiał się figlarnie — w którym i ja przebywałem, póki mnie nie wydalili opat Herluin.

— I za cóż cię spotkała taka kara? — spytał Dan.

— Bom wjechał konno do refektarza, gdy żacy siedzieli za stołem. Chciałem ci po- kazać tym saskim chłystkom, że my, Normandowie, nie boimy się nawet opata. Nie kto inny, ale Hugo Saksończyk namówił mnie do onego figła. Od tego zasię dnia, gdy wypędzono mnie z klasztoru, nie spotkałem go ani razu. Pamiętałem jednak głos jego i zdało mi się, iżem rozpoznał jego brzmienie nawet wtedy, gdy twarze nasze były osło- nięte przyłbicą. Przeto pomimo sprawy orężnej, jaką mieli pomiędzy sobą nasi książęta, cieszyliśmy się szczerze, żeśmy się nie pozabijali wzajemnie. On kroczył przy mnie, opo- wiadając o swym mieczu. Mówił mi, iż go miał z rąk (jako mniemał) pogańskiego bożka, atoli zapewniał, iż owo śpiewanie, ów jęk czarodziejski po raz pierwszy zdarzyło mu się słyszeć. Pomnę, żem go upominał, by miał się na bacności przed złym urokiem i czarami. Oj, byłem ci wonczas młody, bardzo młody!

I uśmiechnął się do siebie w zadumie imć pan Ryszard.

— Gdyśmy dojechali do jego domu, już nam z głowy wywietrzała myśl o niedaw- nym boju. Choć dochodziła już północ, świetlica pełna była mężów i kobiet oczekujących wieści z pola bitwy. Wtedy to po raz pierwszy obaczyłem panią Aeluewę, siostrę Hugona, o której on nam opowiadał jeszcze we Francji. Ujrzawszy mnie, krzyknęła dzikim głosem i pewno by mnie kazała powiesić w tejże godzinie, gdyby nie ujął się za mną jej brat, opo- wiadając, iżem darował mu życie (o tym, że ocalił mnie od śmierci, nie wspominał ani słówkiem) i że nasz książę odzierżył w bitwie zwycięstwo. A gdy takie szły targi o nędz- ny mój żywot, nagle Hugon zatoczył się i padł nieprzytomny na ziemię, osłabiony krwi upływem.

„Z twojej to winy się stało!” — krzyknęła na mnie pani Aelueva, po czym uklękła przy bracie, wołając, by przyniesiono wina oraz opatrunki.

„Gdybym był przewidział, co się stanie — odezwałem się — tedybym jemu kazał jechać, a sam poszedłbym pieszo. Alem nie przeczuwał niczego. On pomógł mi dosiąść konia i szedł przy mym boku, nie skarżąc się wcale, owszem, gawędząc wesoło. Daj Boże, by on przeze mnie nie ucierpiał szkody”.

„Juści, winienes się o to modlić! — rzekła ona wydymając wargę. — Będiesz po- wieszon, jeżeli brat mój umrze”.

Hugona poniesiono do jego izby, natomiast do mnie przypadli trzej pacholcy, skrę- powali mnie, powlekli na środek świetlicy i zarzucili mi na szyję powróż, przerzuciwszy jego koniec przez belkę w pułapie. Potem usiedli wedle ogniska i jęli trzonkami noży tłuc orzechy, oczekując wieści, zali żyw Hugo czy już bliski skonu.

— Jakże się wtedy czuleś? — zapytał Dan.

— Wielce mi było ciężko na duszy; alem się modlił gorąco, by Bóg raczył przywrócić zdrowie Hugonowi, towarzyszewi memu ze szkolnej ławy. Około południa posłyszałem tętent w dolinie. Trzej pacholcy co rychlej rozerwali moje pęta i rzucili się do ucieczki.

W chwilę później już ludzie De Aquili wjeżdżali na dziedziniec. Wraz z nimi nadjechał Gilbert De Aquila, który szczylił się tym, iż za przykładem swego ojca pamiętał o każdym ze swych rycerzy. Był on postawy niskiej, jak i jego ojciec, ale i równie straszliwej; nos miał orli i oczy jak orzeł, bystre i żółte. Dobierał sobie pod wierzch konie zdatne do boju i rosłe — deresze własnego ujeżdżenia i chowu — a nigdy by nie ścierpiał, by miał go ktoś podsadzać na siodło. Ujrawszy stryżek wiszący u pułapu, roześmiał się, a za nim gruchnęła śmiechem cała drużyna, widząc mnie leżącego niby kłoda na ziemi.

„Niezbyt grzeczne przyjęcie spotkało tu normandzkiego rycerza — rzecze on do mnie — ale i za to wypada się odwdziżyć! Powiedz no mi, chłopcze, kto tu ci się przysłużył najwięcej, a my zaraz wymierzmy należną zapłatę”.

— Co znaczyły te słowa? Czy on chciał ich pozabijać? — zapytał Dan.

— Nie inaczej. Lecz jam spojrział na panią Aeluewę, stojącą pośród dziewczek dworskich, oraz na jej brata, boć właśnie ludzie De Aquili wwiedli ich wszystkich do świetlicy.

— Czy ona była ładna? — zapytała Una.

— Długo żyłem na tym świecie, ale przez cały ciąg mego życia nie zdarzyło mi się spotkać białogłowy, co by była godna rozścielać sitowie na onej podłodze, kędy stapały nogi pani Aeluevy! — odparł rycerz spokojnie i z prostotą. — Poglądając na nią, postanowiłem użyć fortelu, który by ocalił ją samą i jej domostwo.

„Zważywszy, iżem tu przybył nieco raptownie, nie uprzedzając nikogo — odezwałem się do Aquili — nie mogę nic zarzucić grzecznym obyczajom obecnych tutaj Sasów”. Jednakże głos mi drżał, gdym to mówił, boć jest to... raczej była to niedobra sprawa bawić się w żarty z onym małym człowieczkiem...

Przez chwilę wszyscy milczeli, w końcu De Aquila roześmiał się: „Patrzajcie no, ludzie, co za dziwo! — przemówił. — Ledwośmy uporali się z bitwą i jeszcześmy nie oddali ostatniej posługi memu rodzicowi, alic ten młokos, najmłodszy z naszych rycerzy, zdążył już osiąść w swym dworze, a podwładni mu Sasi (jak poznać po ich spasionych gębach!) nie poskąpili mu usług i hołdów. A niechże mnie święci mają w swej opiece! — Tu poskrobał się w koniec nosa. — Nigdy nie przypuszczałem, że tak łatwo podbijemy Anglię! Juści, nie pozostaje mi nic innego, jak podarować temu smykowi to, co sobie sam zdobył. A zatem, mój chłopcze, dwór ten pozostanie przy tobie, póki ja tu nie powrócę albo póki ciebie tu nie ubiją. A teraz, druhowie, na koń... i jazda! Spieszmy do Kentu za naszym księżciem, by go tam obwołać królem Anglii!”

Pociągnął mnie za sobą ku drzwiom, gdzie podprowadzono mu konia — smukłego deresza, okazalszego od mojej Jaskółki, ale przyodzianego znacznie skromniej.

„Słuchaj no — rzekł do mnie, mnąc w gniewie ogromne rękawice. — Oddałem ci pieczę nad tym dworem, gdzie wszędy na cię czyhają żądla Sasów, a widzi mi się, że oni cię tu za miesiąc ubiją, jak ubili mojego rodzica. Ale jeżeli uda ci się utrzymać dach nad głową, strzechę nad gumnem i pług na roli aż do chwili mojego powrotu, dostaniesz ode mnie tutejsze włości w wieczyste posiadanie. Albowiem ksiązę przyrzekł hrabiemu Mortain wszystkie ziemie koło Pevenseyu, a hrabia Mortain odda mi taką ich część, jaką oddałby nieboszczykowi mojemu ojcu. Bóg jeden wie, czy obaj dożyjemy dnia, w którym Anglia będzie podbita... atoli pamiętaj, mój chłopcze, że niekiedy wojowanie to głupstwo i fraszka, natomiast (tu wziął w rękę cugle) — fortel i przebiegłość stanowią o wszystkim”.

„Niestety, nie odznaczam się przebiegłością!” — westchnąłem.

„Juści, nie dostawa<sup>44</sup> ci jej jeszcze! — odrzekł wsadzając nogę w strzemię, po czym dosiadłszy konia, jął techtać go końcem buta w brzuch. — Jeszcześ się nie wycwiczył... ale zdaje mi się, żeś sobie tu znalazł dobrego mistrza. Bądź zdrow! Zdołaszli utrzymać ten dwór, to pożyjesz długo, a jeśli go stracisz, będziesz obwieszon<sup>45</sup>!”

I tak to, moje dzieci, acz byłem jeszcze młodzikem bezwąsym, w niecałe dwa dni po bitwie pod Santlache pozostawiono mnie samego na czele trzydziestu chłopca, w nieznany mi kraju, wśród ludzi mówiących obcą dla mnie mową, poruczając mi dozór nad zabraną im ziemią.

— Czy tą ziemią, która teraz do nas należy?

<sup>44</sup>nie dostawa (daw.) — nie dostaje, tj. nie wystarcza, brakuje. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>obwieszon (daw.) — powieszony. [przypis edytorski]

— Tak jest, w tych to było stronach. Przypatrzcie się, jako ciągnęły się one włości. Naprzód tedy od Górnego Brodu, inaczej Brodu Welandy, aż do Dolnego Brodu, koło Belle Allée, jakie pół mili ze wschodu na zachód. Zasię od Beaconu do Brunaburgh, które jest poza nami, ciągnęły się przez dobrą milę z północy na południe. Wszędy po lasach grasowali rozbitkowie lub zbiegli z pola bitwy sascy łotrzykowie, normańscy łupieżcy, kłusownicy i rabusie. Istne gniazdo szerszeni!

Po odjeździe De Aquili Hugon chciał mi dziękować, iżem ocalił im życie; zachnęła się na to pani Aelueva, twierdząc, jakobym to wszystko był zdziałał gwoli<sup>46</sup> przywłaszczenia sobie ich dworu.

„Zalim wiedział, iż mi go Aquila podaruje? — odrzekłem. — Gdybym mu napomknął, iż przez noc całą dźwigałem wasz powróż na szyi, on by już po dwakroć puścił z dymem wasze siedlisko!”

„Gdyby to mnie człek jakiś zarzucił powróż na szyję — ona mi na to — spaliłabym po trzykroć jego domostwo i nie wdawałabym się w żadne układy”.

„Tak, ale człkiem tym była niewiasta...” — odrzekłem śmiejąc się. Ona rozplakała się i jęła się skarżyć, iż urągam jej niewoli.

„Miłościwa pani! — rzekłem na to. — Nie masz<sup>47</sup> niewolników w tej dolinie, jeno<sup>48</sup> jeden... a nie jest ci on Sasem”.

Rozgniewały ją te słowa, przeto jęła mnie lżyć i przezywać normandzkim opryskiem, co zakradł się tu z kłamstwem na ustach, by mamie ją słodkimi słowy, a w rzeczy samej wygnać ją z torbami... Wygnać ją! Przebóg! Toć ona nawet nie przyjrzała się okropnościom wojny! Uniosłem się gniewem i odpowiedziałem: „Wszystkiemu temu kłam zadać potrafię, boć przysięgnę — i wsparłem ręce na głowicy miecza na znak przysięgi — że moja noga nie postanie w tej oto świetlicy, póki pani Aelueva sama mnie tu nie zawezwie”.

Oddaliła się, nie mówiąc ni słowa; wyszedłem z dworu niezwłocznie, a za mną powlókł się Hugon, pogwizdując smętnie wedle obyczaju Anglików. Podo dworem obaczyliśmy owych trzech Sasów, co to trzymali mnie w łykach przez noc zeszłą; teraz oni z kolei byli powiązani przez moją drużynę, a za nimi stało z jakich pięćdziesięciu chłopów miejscowych, którzy patrzyli przed siebie osowiałym wzrokiem, oczekując swego losu. Z lasów, ciągnących się w stronę Kentu<sup>49</sup>, doleciał nas słaby odgłos surm De Aquili.

„Czy mamy ich wieszać?” — spytali moi ludzie.

„Jeśli tak uczynisz, to moje chłopcy porwą się do bitki” — szepnął Hugo. Zwróciłem się doń z prośbą, by spytał trzech drabów, czy oczekują łaski.

„Nie liczym na nią wcale — odpowiedzieli jak jeden mąż. — Wszak mieliśmy rozkaz powiesić cię, gdyby nasz pan i zwierzchnik nie wrócił do zdrowia. I powiesilibyśmy cię na pewno”.

Gdym tak stał, bijąc się z myślami, naraz z dąbrowy na Górze Królewskiej wybiegła jakaś kobieta lamentując, iż łotrzykowie normandzcy uprowadzili jej stado nierogacizny.

„Za jedno mi to, czy to Sasi, czy Normanowie! — krzyknąłem. — Musimy stąd wykurzyć tych łotrzyków, bo gotowi ograbić nas tu codziennie! Dalej na nich, mości panowie, zbroić się, czym kto może!” Puściłem przeto wolno onych trzech drabów i ruszyliśmy gromadą; wspólnie z moją pancerną drużyną poszli za przewodem Hugona i Sasi, powyciągawszy spod strzech pochowane dotąd siekierki i łuki. W połowie zbocza Królewskiej Górki zdybaliśmy pewnego franta, z Pikardii rodem, który przódziej<sup>50</sup> snuł się za wojskiem jako markietan<sup>51</sup> i szynkował wino w książęcym obozie, teraz zasię paradował na ukradzionym koniu, szczycąc się godłem zabranym jednemu z poległych rycerzy, a wiódł za sobą z tuzin podobnych jemu hałaburdów. Gnali przed sobą świnię, kłując je i bijąc ile wlezie. Daliśmy im tęgiego łupnia i uratowaliśmy nasz dobytek. Sto siedemdziesiąt wieprzków ocalało dzięki nam w tej srogiej bitwie. Wcale pokażna porcja

<sup>46</sup>gwoli (daw.) — w celu. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>nie masz (daw.) — nie ma, nie istnieją. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>Kent — hrabstwo w południowej Anglii, na zachód od Sussex, w którym położone jest Pevensy. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>przódziej (daw.) — wcześniej, najpierw. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>markietan — drobny handlarz wędrujący za wojskiem, sprzedający żołnierzom alkohol. [przypis edytorski]

wieprzowiny!

Zaśmiał się pan Ryszard i tak mówił dalej:

— Tak to po raz pierwszy wzięliśmy się do wspólnej roboty. Prosiłem Hugona, by obwieścił swym ludziom, że postąpię tak samo z każdym, czy to chłopem, czy szlachcicem, Sasem czy Normandczykiem, który by odważył się ukraść choćby kurze jajko w tej dolinie. Gdyśmy wracali do domu, Hugo ozwał się do mnie: „Dziś wieczorem znacznie przyczyniłeś się do podboju Anglii”. A jam mu na to odrzekł: „Przeto Anglia niech będzie zarówno twoją, jak i moją. Pomagaj mi, Hugonie, bym postępował sprawiedliwie z tym ludem. Oznajmij im, że jeżeli mnie zabiją, tedy De Aquila pomści ich śmiercią śmierć moją, a na moje miejsce ustanowi znacznie okrutniejszego władacza”. „Juści, chyba to prawda — rzecze na to Hugo i wyciągnął do mnie rękę. — Z dwojga złego zawždy lepsze to, które znamy, niż to, które nie jest znane. Znośmyż je więc, póki nie uda się nam wypłoszyć waszych normańskich hufców z naszego kraju”. To samo za nim powtórzyli jego Sasowie i wesołe mieli oblicza, gdyśmy pędzili trzodę ze wzgórką. I tak mi się widzi, że właśnie wtedy niektórzy z nich pozbyli się nienawiści ku mnie.

— Podoba mi się brat Hugo — z rozrzewnieniem odezwała się Uda.

— Nie masz wątpliwości, iż był to najzaciejszy, najwaleczniejszy, najtkliwszy, najmędrszy i najbardziej dworny kawaler, jakiego ziemia nosiła — odrzekł pan Ryszard pieszcząc głowicę miecza. — On to zawiesił miecz swój... ten, który widzicie... na ścianie wielkiej świetlicy, powiadając, iż do mnie ten oręż należy... i nie tknął go ani razu aż do powrotu De Aquili, o czym niebawem wam opowiem. Przez trzy miesiące jego ludzie wraz z moimi pełnili straż w dolinie, a łotrzykowie nocni i hultaje przekonali się rychło, że niczego od nas nie dostaną krom kęsa twardego chleba... i stryczka na szyję. Ramię w ramię walczyliśmy przeciwko wszelkim najezdnikom... bywało, że trzy razy w tygodniu wypadło nam ucierać się to ze złodziejami, to z rycerzami-nieposesjonatami<sup>52</sup> dybiącymi na co tłustsze włości. Na koniec doczekaliśmy się jakiego takiego spokoju, przeto starałem się z pomocą Hugona sprawować rządy nad tą doliną (cała bowiem dolina stanowiła mą posiadłość), jako przystoi na rycerza. Udało mi się utrzymać dach nad głową i strzechę nad gumnem, atoli... hardy to naród z tych Anglików! Sasowie zabawiali się nieraz w żarty i śmieszki z Hugonem, a on z nimi... i (co mnie wręcz zdumiewało) wystarczyło, by lada chudopacholek bąknął, że jakowaś sprawa podlega zwyczajom dworzyszczka, wtedy natychmiast Hugon zwoływał co najstarszych ludzi ze dworu — takich starych, że pewno już nic innego nie pamiętali — i roztrząsał z nimi ową sprawę. Wszystko inne szło wtedy na bok — widziałem, że nawet zatrzymywali żarna z niedomielonym zbożem — a jeżeli zwyczaj lub obyczaj okazał się taki istotnie, jaki głośzono, to już na tym zamykano sprawę — chociażby nawet było to na przekór Hugonowi, jego życzeniom i rozporządzeniom. Dziwy to były prawdziwe!

— O tak! — odezwał się Puk, po raz pierwszy w ogóle wtrącając się do rozmowy. — Obyczaj Starej Anglii żył tu jeszcze przed wtargnięciem waszych normandzkich wojaków... no i przetrwał ich, chociaż zwalczano go tak nielitościwie.

— Jam go nie zwalczał — odparł pan Ryszard. — Jam pozwalał Sasom żyć wedle ich zatwardziałych nawyków; zaśię gdy moi własni normańscy wojacy, co ledwo szósty miesiąc popasali w Anglii, nabrali hardości i poczęli mnie uczyć, co jest obyczajem tutejszego kraju, tom się już rozgniewał nie na żarty! O, dobre to były czasy! Co za przedziwni ludzie! Jam ci ich wszystkich miłował niepomiernie.

To rzekłszy podniósł ramiona, jak gdyby chciał nimi przytulić do serca całą drogą mu krainę. Jaskółka, posłyszawszy chrzęst jego kolczugi, podniosła łeb i zarżała przymilnie. On zaś ciągnął dalej:

— Na koniec, gdy na wszelkich robotach, kłopotach, a nieradko i zgryzotach zbiegł mi rok cały, do doliny naszej zjechał De Aquila, bez drużyny, znienacka, nie zapowiedziawszy swego przybycia. Jam go pierwszy dostrzegł przy Dolnym Brodzie, samowtór z synkiem jednego z świniopasów, usadowionym na łęku siodła.

„Nie potrzebujesz mi zdawać sprawy z włodarstwa swego — ozwał się do mnie. — Wszystkiemu ci się dowiedział od tego pacholęcia”. I opowiedział mi, jak to małe lichy zatrzymało mu konia (a rosło było konisko!) przed brodem, wymachując gałęzią i oznaj-

<sup>52</sup>nieposesjonat (daw.) — szlachcic, który nie ma własnego majątku. [przypis edytorski]

mując krzykiem, iż drogą tą jeździć nie wolno. „Jeżeli więc jedno nagie, zuchwałe pacholątko starczyło natenczas, by bronić przeprawy, toś dzielnie się spisywał, mój włodarzu” — tak powiedział sapiąc i ocierając pot z czoła.

Uszczyptał chłopaka w policzek i pojrzał na nasze bydelko w koszarze nad rzeką.

„On tłusty, a i ono też tłuste — odezwał się pocierając koniec nosa. — No, no, nie brak aspanu przebiegłości i fortelu! To lubię, to lubię! A cóżem ci to powiadał, smyku, kiedym stąd odjeżdżał?”

„Zdołaszli utrzymać ten dwór, to pożyjesz długo, jeśli zasię go postradasz, będziesz obwieszon! — odpowiem mu na to. — Słowa te nigdy nie wyszły mi z pamięci”.

„Wierę<sup>53</sup>! Takom rzekł. A tyś go utrzymał”. To rzekłszy zlął z siodła i końcem miecza wykrajał kawał darni znad brzegu i wręczył go mnie; klęcząc przyjąłem dar ten z rąk jego miłościwych.

Dan i Una spojrzeli po sobie zdumieni.

— To właśnie była intromisja — objaśnił ich Puk.

— „A teraz, mości Ryszardzie (odezwał się, po raz pierwszy używając tego miana), jesteś już prawnie zaintromitowanym właścicielem dworu — i ty, i twoi dziedzice po wiekiuste czasy. Musić to wystarczyć, póki skrybenci królewscy nie wypiszą twego tytułu na pergaminie. Anglia już do nas należy... o ile tylko zdołamy ją utrzymać”.

„Jakąż mam płacić powinność?” — zapytałem przejęty (jako dziś jeszcze pomnę) duma nieopisaną.

„Lenno rycerskie, mój chłopcze, rycerskie lenno! — odpowiedział skacząc na jednej nodze koło swego wierzchowca (zda się, że wam mówił, iż był on wzrostu małego, a wszakoż nie pozwalał, by go podsadzano na siodło?) — Będziesz mi przysyłał sześciu jezdnych albo dwunastu łuczników na każde moje zawołanie, a następnie... skądś ty tu wziął takie piękne zboże? (Albowiem był to właśnie czas przedźniwny i zboże wyzłociło się nad podziw). Jeszczem ci nigdy nie widywał tak okazałych kłosów! Przysyłaj no mi co roku ze trzy wory tego ziarna, a poza tym, na pamiątkę naszego ostatniego spotkania, kiedys to miał powróż na szyi... ugaszczaj mnie i moją drużynę przez dwa dni każdego roku w wielkiej świetlicy twojego dworu”.

„Biadaż mi! — rzekę mu na to. — Tedy jużem postradał mój dwór! Zobowiązałem się, że nie przestąpię progu świetlicy!” Po czym opowiedziałem, com ślubował pani Aeluevie.

— Więc od tego czasu nie byłeś ani razu we dworze? — spytała Una.

— Ani razu — odpowiedział pan Ryszard z uśmiechem. — Zbudowałem sobie drewniany szałas na wzgórk, tam sprawowałem sądy i tam sypiałem... De Aquila okręcił się w bok, a puklerz z chrząknął mu na plecach. „Nie szkodzi, mój chłopcze — rzecz. — Pofolguję ci na ten rok”.

— To miało znaczyć, że pan Ryszard nie potrzebuje ugaszczać go w swym dworze przez pierwszy rok swego władania — wyjaśnił Puk.

— De Aquila zatrzymał się przeto w mym szałasie, a Hugon, który umiał pisać, czytać i rachować, pokazał mu rejestr dworski, gdzie porządkiem spisane były wszystkie nasze łany i nazwiska wszystkich naszych ludzi; on zasię zadawał nam tysiące pytań dotyczących gleby, drzewostanu, pastwisk, młyna, stawów rybnych oraz stanu majątkowego każdego z mieszkańców doliny. Atoli ani razu nie wspomniał imienia pani Aeluevy, ani nie podszedł w stronę świetlicy. Nocą zasiadł z nami do dzbana w mym szałasie. Siedząc na słomianej ściółce i wodząc żółtymi oczyma nad pucharem, wyglądał iście jak wielki orzeł, co stroszy pióra na gnieździe; a gdy się czasem wmieszał w rozmowę, to zawsze znienacka, jak orzeł chwytający w szpony upatrzoną zdobycz, i chociaż przelatywał od jednej rzeczy do drugiej, to jednak nigdy celu nie chybiał. Bywało, przez czas jakiś poleży sobie cichutko, naraz przewraca się z szelestem po słomie i zaczyna przemawiać takim głosem, jak sam jegomość król Wilhelm, a zaraz potem prawił nam różne bajki i przypowieści; jeśliśmy czego nie rozumieli, to dźgał nas pod żebra mieczem, całe szczęście, że w pochwie ukrytym.

„Zważcie no, chłopcy, co wam mówię — gwarzył. — Snadź urodziłem się nie wtedy, kiedy mi trzeba się było narodzić. Pięćset lat temu uczyniłbym z Anglii kraj tak możny,

Przysięga

<sup>53</sup>wierę (daw.) — jestem przekonany; z pewnością. [przypis edytorski]

izby nim zawiadnąć nie zdołał żaden Sas, Normand ani Duńczyk. Pięćset lat temu byłby królom takim doradcą, jakiego świat i korona angielska nie widziała. Wszystko oto tutaj siedzi — dodał klepiąc się po wielkiej głowie — ale na niewiele to się zda w tych straszliwych czasach. W każdym razie powiem ci, Ryszardzie, że Hugon więcej wart od ciebie”. Gdy to mówił, głos jego był szorstki i złowrogi jak krakanie kruka.

„Prawdę mówisz — odrzekłem. — Gdyby nie pomoc Hugona, jego cierpliwość i wytrwałość, nigdy bym nie zdołał utrzymać tego dworu”.

„Ani też żywota — dopowiedział De Aquila. — Hugon ocalił cię nie raz, ale sto razy. Nie przerywaj mi, Hugonie! Aza<sup>54</sup> wiesz ty, mój Ryszardzie, czemu to Hugon sypiał i jeszcze sypia wśród twej normandzkiej drużyny?”

„Ażeby być przy mnie” — odpowiedziałem mniemając, iż mówię prawdę.

„Głupiś! — burknął De Aquila. — Toć to dlatego, że jego Sasi nalegali nań, by powstał przeciwko tobie i wygnał precz wszystkich Normandów z tej doliny. Niech cię nie obchodzi, skąd mam tę wiadomość. Dość na tym, że oznajmiam ci rzecz prawdziwą. Przeto Hugon uczynił się za ciebie zakładnikiem, wiedząc, że jeżeli spotka cię jaka krzywda ze strony Sasów, twoi Normañczycy zabiją go niechybnie; wiedzieli o tym dobrze i Sasi, więc liczyli się z tobą. Zali to nieprawda, Hugonie?”

„Po trosze i prawda — odrzekł Hugon okazując niejaki zawstydzenie. — A właściwie było to prawdą pół roku temu. Teraz moi Sasi nie wyrządziliby Ryszardowi najmniejszej krzywdy, bo sądzę, iż się już na nim poznali... wszelakóż mniemałem, że zbytek ostrożności nigdy nie zawadzi”.

Pomyślcie sobie, moje dziatki, co ten człowiek dla mnie uczynił... a jam się tego nawet nie domyślał! Noc po nocy spoczywał pomiędzy moją zbrojną drużyną, acz wiedział dobrze, że życiem swoim odpowiada za moje życie, gdyby który z Sasów podniósł przeciwko mnie oręż...

„Wierę! — rzecze De Aquila. — A spójrzcie, iż on jest bez miecza!” I wskazał na pas Hugona, gdyż (jak podobno wam wspomniałem) Hugon odpasał miecz swój nazajutrz od chwili, gdy mu go z ręki wytrącił pod Santlache; odtąd nosił jedynie krótką mizerykordię<sup>55</sup> i huk przydługi. „Bez mieczaś i bez ziemi, Hugonie, a dyć cię zowią krewniakiem grafa Godwina (iście był Hugon z krwi Godwinowej). Dwór, który był twój dotychczas, został oddany temu junakowi i jego potomstwu po wieczyste czasy. Podnieś się tedy i ukorz przed nami, Hugonie, boć możemy cię stąd wyżenąć<sup>56</sup> jako psa nędznego”.

Hugon nic nie odrzekł, jenom słyszał, jako zgrzytał zębami. Wtedy się porwał przeciwko De Aquili, zwierchnikowi memu i panu, każąc, aby milczał, jeśli nie chce, bym mu wtłoczył te słowa z powrotem do gardła. De Aquila począł się śmiać serdecznie, aże mu łzy pocięły po twarzy.

„Ostrzegalem ci króla — rzecze — przed tym, co się stanie, gdy odda ziemię angielską w ręce naszych normandzkich łupieżców. Wszak to, Ryszardzie, niecałe dwa dni, jakom cię zatwierdził panem tutejszego dwora, a ty już pokwapił się do rokoshu<sup>57</sup> przeciwko swemu zwierchnikowi i panu. Jakoż my z nim postąpić, mości Hugonie?”

„Jestem bezbronny — odparł Hugon — nie lza<sup>58</sup> ci sztydzić z bezbronnego!” To rzekłszy oparł na kolanach głowę i zapłakał.

„Ej, głupiś, po dwakroć głupi! — zawołał De Aquila zgoła już innym głosem. — Toż nie dalej jak pół godziny temu podarowałem ci dwór Dallington tam za górą!” To rzekłszy wyciągnął rękę ponad posłaniem i znowu dźgnął Hugona poufale pochwą pod zebro.

„Mnie? — zdziwił się Hugon. — Toż jestem Sasem i nie ślubowałem wierności żadnemu z Normandów, okrom<sup>59</sup> obecnego tu Ryszarda, którego miłuję”.

„W zacnych i zbożnych czasach, których dla grzechów moich ponoć nie dożyję, na ziemi angielskiej nie będzie ani Sasów, ani Normañczyków — odeprze mu De Aquila. — Znam ci ja się coś niecoś na ludziach, tedy ci rzekę, iż chcesz niezaprzysiężony, służysz

<sup>54</sup>aza (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>mizerykordia (z łac. *miser cordia*: miłosierdzie) — niewielki miecz, sztylet, służący m.in. do dobijania ranych (stąd jego nazwa). [przypis edytorski]

<sup>56</sup>wyżenąć (daw.) — wygonić. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>rokosh (daw.) — bunt. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>nie lza (daw.) — nie należy, nie wolno. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>okrom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

mi wierniej niż wielu Normañczyków, których bym ci mógł wyliczyć po imieniu. Weźże sobie tedy Dallington, a jeśli wola i ochota, to połącz się z Ryszardem i wypowiedz mi wojnę, chociażby jutro!”

„O nie! — odrzekł Hugon. — Nie jestem dzieckiem! Przyjmując dar, zobowiązuję się do wiernej służby!” Złożył obie ręce w dłoniach De Aquila i zaprzysiął mu wierność. Wówczas, jako pomnę, ucałowałem go serdecznie, a De Aquila ucałował nas obu.

Potem usiedliśmy przed szalase, bo już się robił dzień. De Aquila przyglądał się naszym chłopom idącym do roboty na polach i gawędził z nami to o rzeczach świętych, to o łowach i ujeżdżaniu koni, to znów dawał nam rady, jak mamy rządzić w naszych dworach, to wreszcie odślaniał nam zalety i wady króla jegomości. Tak ci do nas teraz mówił, jak gdybyśmy byli jego rodzonymi braćmi. Naraz przekradł się do mnie jakiś chłop (a był ci to jeden z owych trzech, których omieszkałem<sup>60</sup> powiesić przed rokiem) i grzmiącym głosem oznajmia (takim to głosem Sasowie zwykli szeptać w ucho swe tajemnice), że pani Aelueva chce ze mną pomówić w wielkiej świetlicy. Już przódziej, gdy chadzała po dworskich obejściach, miała ten zwyczaj, iż zawiadamiała mnie, dokąd się wybiera, bym mógł wyprawić kilku łuczników, którzy by szli za nią i przed nią i strzegli jej kroków. Nierzadko się zdarzało, iżem przyczął się w lesie i również przyglądał się jej przechadzkom.

Poszedłem tedy z wawo, a gdy doszedł do dźwierz dworzyszcz, one otworzyły się zniemacka i stanęła w nich pani Aelueva, mówiąc tak do mnie: „Mości Ryszardzie, izali<sup>61</sup> nie raczysz wnijsć<sup>62</sup> do swej świetlicy?” To rzekłszy rozplakała się, ale nikt tego nie widział krom<sup>63</sup> nas dwojga.

Zamilkł na chwilę stary rycerz i uśmiechał się, wodząc wzrokiem po dolinie.

— Ach, jakże dobrze się złożyło! — zawołała Una klasnąwszy z lekka w rączki. — Więc ona żalowała tego, co zrobiła, i chciała ci to powiedzieć?

— Wierę, żalowała... i wyznała mi to — potwierdził pan Ryszard ocknąwszy się z zadumy. — Wnetże potem (aczkolwiek on powiadał, iż całe dwie godziny zbiegły) ku wrotom podjechał De Aquila z pięknie lśniącym puklerzem (Hugon mu go tak wyczyścił) i jął domagać się poczęstunku, przezywając mnie niewiernym rycerzem, co chce zagłodzić swego zwierchnika i pana. Wówczas okrzyknął, że przez dzień cały nikomu w dolinie nie wolno zajmować się pracą. Naszym Sasom w to graj! Nuże dąć w rogi, zastawiać jadło i napoje, biegać w przegony<sup>64</sup>, płaszać i śpiewać! Zasię De Aquila wszedł na drewniany podnózek i jął coś do nich prawić dziwną jakąś mową, której nikt nie rozumiał, acz on sam oddałby głowę za to, iż była to czysta mowa saska. Noc nam zeszła na uczcie w wielkiej świetlicy, a gdy śpiewacy i harfiarze odeszli, ostaliśmy jeno we czworo i siedzieliśmy do późna przy poczęstnym<sup>65</sup> stole. Jako pomnę, noc była ciepła, oświecona pełnią księżycową. De Aquila przykazał Hugonowi, by w cześć dworzyszcz dallingtonskiego zdjął znowu swój miecz ze ściany, co Hugon wykonał z ochotą. Snadź kurz osiadł na rękojeści, bom widział, jako dmuchał na nią ze wszech stron.

Ona i ja siedzieliśwa<sup>66</sup> nieco na uboczu, pogwarzając. Naraz zdało się nam, jakoby harfiarze ku nam powrócili, albowiem cała świetlica drgnęła i napełniła się gwarną jakąś muzyką. Zerwał się z miejsca De Aquila — ale nie było znikąd innego przybysza, jeno ta jasność miesięczna, co jako pył zaległa ziemię.

„Słyszycie no! — rzecze Hugon. — To mój miecz tak się odzywa”. Iście<sup>67</sup>, ledwo go przypasał, muzyka ucichła.

„Przebóg, nie chciałbym mieć takiego oręża przy boku! — krzyknął De Aquila. — I cóż on głosi?”

„Wiedzą to jeno bogowie, którzy go zdziałali. Ostatni raz odzywał się do mnie pod Hastings, kiedym postradał wszystkie me włości. Teraz zaś pewno głosi, że otrzymałem

Broni

<sup>60</sup>omieszkać (daw.) — zaniechać, zrezygnować ze zrobienia czegoś. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>izali (daw.) — czy. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>wnijsć (daw.) — wejść. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>biegać w przegony (daw.) — ścigać się. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>poczęstny (a. poczęstny) stół — podczas uczy stół dla pana zamku, jego bliskich i najdostojniejszych gości; poczęstne miejsce — najszacowniejsze, wyróżnione miejsce. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>siedzieliśwa (daw.) — siedzieliśmy we dwoje. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>isćie (daw.) — rzeczywiście, naprawdę. [przypis edytorski]



nową dziedzinę i znów jestem do czci wrócony” — odrzekł Hugon.

Oswobodził brzeszczot na chwilę, a potem wepchnął go znów z radością do pochwy, on zaś odezwał się doń głosem cichym, poufnym, jako... jako przemawia do męża niewiasta trzymając głowę na jego ramieniu.

Tako więc po raz drugi w życiu posłyszałem śpiew onego miecza...

---

— Patrzaj! — zawołała Una. — Tam mamusia schodzi do nas po Długim Wygonie! Cóż ona powie, gdy zobaczy pan Ryszarda? Przecież on się przed nią nie ukryje!

— A Puk już tym razem nie zdąży nas zaczarować! — dodał Dan.

— Tacyście tego pewni? — zachnął się Puk i nachyliwszy się ku rycerzowi, szepnął mu coś do ucha. Pan Ryszard uśmiechnął się i skinął głową w odpowiedzi.

— A co się stało z mieczem i bratem moim Hugonem, opowiem wam już kiedy indziej — rzekł powstając. — Hej, Jaskółko!

Wielkie konisko zerwało się kędyś z drugiego końca łąki i przeleciało klusem tuż obok nadchodzącej matki. Wówczas dzieci posłyszały jej słowa:

— Znowu stare szkapsko Gleasona zaszło na naszą łąkę! Którędy ono tu się dostało?

— Chyba koło kamienistego zakrętu — odrzekł Dan. — Ot, nawet widać wyłom w brzegu zrobiony jego kopytami! Myśmy dopiero teraz zauważyli tego konia. Niewiele rybek udało się nam złowić, choć czatowaliśmy na nie przez całe popołudnie...

I oboje byli święcie przekonani, że tak było naprawdę. Nie spostrzegli listków dębu, głogu i jesionu, które Puk niezauważalnie wetknął im za pazuchę.

### ŚPIEWKA PANA RYSZARDA

Za mym księżęciem jechałem, pacholę  
brac z Anglii haracz i daninę kmiocą;  
lecz dziś się nasze odmieniły role:  
bo oto Anglia wzięła mnie przemocą!

Miałem rumaka, tarczę i proporzec,  
i duszę wolną, ufną, nie sierocą;  
lecz teraz jedno tylko muszę orzec:  
Anglia w niewolę wzięła mnie przemocą!

Niech więc mój ojciec, co w wieżycy hardej  
powrotu mego czeka dniem i nocą,  
przypomni sobie dawne swe hazardy...  
Mówcież mu: Anglia wzięła mnie przemocą!

A mojej matce — w jej cichej izdebce —  
niech zgasłym blaskiem oczy zamigocą,  
odawnym szczęściu niech wspomnienia szepce...  
Niech wie, iż Anglia wzięła mnie przemocą!

W Rouen przebywa brat mój, paż malutki,  
swawolnie lukiem bawi się i procą;  
lecz i on kiedyś pozna ból i smutki...  
Niech wie, że Anglia wzięła mnie przemocą!

A do mej małej siostry-jedynaczki  
w sadach normandzkich, co się kwieciem złocą,  
mówcie: iż młodość — to czas do żeniaczki...  
Mówcie, iż Anglia wzięła mnie przemocą!

Cni towarzysze broni i koledzy,  
którzy brew marszczą i drwiąco chichocą,  
niech dziś posłyszają — na rozstajnej miedzy —  
iż Anglia od nich wzięła mnie przemocą!

Króle, książęta, rycerze, barony!  
Zanim zechcecie oskarżyć mnie o co,  
chciejcież posłuchać tych słów mej obrony,  
widząc, iż Anglia wzięła mnie przemocą!

Chociażby w ludziach moc nadludzka tkwiła,  
przeciw dwom siłom próżno się szamocą:  
jedną jest miłość, a drugą mogiła...  
A miłość — w Anglii — wzięła mnie przemocą!

### 3. RYCERZE WESOŁEJ PRZYGODY

#### ŚPIEWKA DUŃSKICH BIAŁOGLÓW PRZY ARFIE<sup>68</sup> NUCONA

Czym dla was jest niewiasta, iż serc wam nie cieszy,  
iż odbiegacie od niej i od swych pieleszy,  
i tak się wam do starej, siwej Śmierci spieszy?

Przedsię Śmierć nie ma domu na przyjęcie gości,  
ale wszystkim pospołu zimne łożę mości  
w kraju zwałów lodowych i białych ciemności...

Przedsię Śmierć was objęciem białym nie przytuli,  
lecz zielskiem was oplącze i piaskiem zamuli  
pośród skał, gdzie spoczniecie — zimni i nieczuli...

Przech<sup>69</sup> więc, gdy brzoza wzbiera od nowego soku,  
gdy wiosna lody kruszy, wy każdego roku  
dotrwać już nie możecie u naszego boku?

Przech wam wtedy tak tęskno do walki i wrzawy?  
Przech chyłkiem do nadmorskiej biegniecie motławy<sup>70</sup>,  
by okręt przysposobić do nowej wyprawy?

Przech, wiosła opatrując i lin motowidła,  
nie chcecie już doglądać ni koni, ni bydła?  
Przech rozmowa przy stole z nami wam obrzydła?

Jedziecie — niewstrzymani chmurną zawieruchą,  
a odgłos waszych wiosel, bijący tak głucho,  
długo jeszcze boleśnie rani nasze ucho...

Ach, czym jest białogłowa, iż serc wam nie cieszy,  
iż odbiegacie od nas i od swych pieleszy —  
i tak się wam do starej, siwej Śmierci spieszy?

Upał był tak wielki, że nie można było biegać w miejscach nie ocienionych, toteż Dan uprosił starego przyjaciela, Hobdena, by przeniósł ich łódkę ze stawu na strumień płynący w głębi ogrodu. Na burcie łódki wymalowane było jej miano: „Stokrotka”, jednakże podczas wypraw w nie odkryte dotąd kraje zwano ją zawsze imieniem bardziej stosownym, na przykład „Złota Łania” albo „Długi Wąż”. Dan popychał ją i kierował przy pomocy okutego drążka (wiosel nie można było użyć z powodu wąskości strumienia), a Una odbijała się od brzegów tyczką od chmielu. Ilekroć trafili na miejsce zbyt płytkie,

<sup>68</sup>arfá — dziś: harfa. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>przech (daw.) — dłączego. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>motława — tu: zatoka. [przypis edytorski]

wysiadali z łódki (która już zdążyła nabrać wody na trzy cale) i holowali ją sznurem poprzez mielizny, gdy zaś znaleźli się poza ogrodem, gdzie brzegi były gęsto zarośnięte, jęli posuwać się pod prąd, chwytając się zwisających nisko gałęzi.

Tego dnia mieli zamiar odkryć Przylądek Północny za przykładem „starego wilka morskiego, Othere’a”, opiewanego w jednym z wierszy książki, którą Una zabrała ze sobą. Ze względu jednak na panujące gorąco odstępili od tego zamiaru i wybrali się w górę Amazonki, ku źródłiskom Nilu. Nawet tam, gdzie cień słał się na wodzie, powietrze było skwarne i ociążało od usypiających zapachów, a już poza obrębem cienia, gdzie drzewa nie dawały dostatecznej osłony, żar słoneczny prażył łąkę wprost nielitościwie. Zimorodek zdrzemnął się na swej zielonej strażnicy, a kosy ledwie że ważyły się zalatywać w sąsiednie zarośla. Nie licząc wodnych kurek i wielkiego, czerwonego admirała<sup>71</sup>, który nadleciał tu z osłonecznionej łąki, by orzeźwić się kropelką wody, jedynymi czynnymi istotami były łątki<sup>72</sup>, co krążyły wokoło, cichuśko pobrzękując skrzydełkami.

Gdy dotarli do Stawu Wyder, „Złota Łania” osiadła wygodnie na mieliznie, oni zaś ułożyli się pod stropem gęstej zieleni, przyglądając się wodzie, co przelewając się poprzez służę, spływała omszałą ceglana rynienką od młynówki<sup>73</sup> ku strumykowi. Wielki pstrąg — dobrze znany dzieciom — wynurzał z wody łeb i skrzela, uganiając za jakąś muchą krążącą koło zakrętu. W jednolitych odstępach czasu powierzchnia wody podnosiła się o ćwierć cala, zakrywając mokre kamyki pobrzeżne, a czuby drzew kołysały się z leciuchnym szelestem, po czym znów było słyhać tylko ciche szemranie i pluskot płynącej wody.

— Prawda, że wydaje się, jak gdyby cienie wiodły z sobą rozmowę? — odezwała się Una, która dotąd nawet nie zaczęła czytać.

Dan nie zwrócił uwagi na jej zapytanie i przechyliwszy się przez burtę łodzi, zanurzał ręce w wodzie. Naraz posłyszeli kroki na grobli, wybiegającej na środek stawu, i spostrzegli podchodzącego ku nim pana Ryszarda Dalyngridge.

— Aza<sup>74</sup> niebezpieczną odbyliście wyprawę? — zapytał z uśmiechem.

— Łódź nasza bardzo ucierpiała — odrzekł Dan. — Ale lato takie suche, że prawie nie ma wody.

— Tak, tak! Strumień ten był szerszy i głębszy w tych czasach, gdy moje dzieci bawiły się tu w duńskich korsarzy. Zali<sup>75</sup> wy teraz jesteście korsarzami?

— O nie! Od wielu lat przestaliśmy bawić się w korsarzy — wyjaśniła Una. — Jużemy z tego wyrosli. Teraz prawie zawsze bywamy odkrywcami... takimi, rozumiesz, co to objeżdżają ziemię wokoło.

— Wokoło? — zdziwił się pan Ryszard, sadowiąc się wygodnie na zgiętym korzeniu jesionu nad wodą. — Czyżby ziemia była okrągła?

— Czyż o tym nie było wzmianki w waszych książkach? — zagadnął go Dan, który właśnie był pod wrażeniem ostatniej lekcji geografii.

— Nie umiem ani czytać, ani pisać — odpowiedział pan Ryszard. — A ty umiesz czytać, dziecino?

— Z wyjątkiem bardzo długich słów potrafię odczytać wszystko — pochwalił się Dan.

— A to cudownie! Przeczytajże mi więc co nieco z tej księgi, żebym i ja mógł posłuchać.

Dan zarumienił się, ale otworzył książkę i — przekręcając czasem wyrazy — zaczął czytać wiersz: „Odkrywca Przylądka Północnego”:

Stary wilk morski, Othere,  
co w Helgolandzie<sup>76</sup> miał dom,  
Alfreda pragnąc pochwały,

<sup>71</sup> *admiral*, własc. *rusalka admiral* — łac. *Vanessa atalanta*, brązowo-pomarańczowy motyl, często spotykany w Europie. [przypis edytorski]

<sup>72</sup> *łątka* — niewielka ważka z rodziny łątkowatych, najczęściej niebieska lub zielona (w Europie występuje wiele gatunków łątek). [przypis edytorski]

<sup>73</sup> *młynówka* — rzeczka lub kanał, którego wody napędzają młyn. [przypis edytorski]

<sup>74</sup> *aza* (daw.) — czy. [przypis edytorski]

<sup>75</sup> *zali* (daw.) — czy. [przypis edytorski]

<sup>76</sup> *Helgoland* — wyspa na Morzu Północnym, dziś należąca do Niemiec. [przypis edytorski]

przywiózł mu w darze kiel biały,  
wydarty morskim lwom...

— Ale, ale!... Przecie to znam! — przerwał pan Ryszard. — Toż to stara śpiewanka, którą słyszałem za lat dawnych! Co za dziw! Nie, nie zatrzymuj się!  
Pochylił się naprzód, a cienie listków pelzały i ślizgały się po jego kolczudze.

Orałem końmi ziemię,  
lecz szczęścia nie miałem już,  
bo w dom mój przybywali  
żeglarze osiwiali,  
wieść niosąc mi od mórz...

Ręka pana Ryszarda spoczęła na główicy miecza.  
— Wierę, to prawda! — zawołał. — Boć tak właśnie mnie się zdarzyło!  
I jął z zachwytem wybijać takt każdego wiersza.

A odtąd brzegi (rzekł Othere)  
wić się poczęły już...  
Więc wciąż dążyłem żmudnie  
wzdłuż brzegów — na południe,  
na przestwór nie nazwanych mórz...

— Nie nazwanych mórz! — powtórzył. — Tak i jam uczynił... i ja, i Hugo...  
— A dokąd pojechaliście? — zapytała Una. — Opowiedz nam, bardzo proszę...  
— Zaczekaj. Pozwól, bym wpieryw posłuchał dalszego ciągu pieśni.

Więc Dan czytał ciąg dalszy utworu — do samego końca. Wówczas pan Ryszard głos zabrał:

— Tak jest. Taka była powieść o dziejach Othere'a, jakom ją słyszał śpiewaną przez załogi duńskich okrętów. Jeno słowa nie były tak wspaniałe, chociaż nieco im podobne.

— Czy wyprawiałeś się kiedy na północ? — spytał Dan zamykając książkę.

— Nie. Szlak mej wyprawy wiódł na południe. Dalej na południe, niżeli zapuścił się ktokolwiek przed nami! W owe to strony nieznanne podążyłem samowtór z Hugonem, przyłączywszy się do Witty i jego pogańskiej drużyny...

Wysunął przed siebie wielkie mieczysko i oparł się na nim oburącz, a oczy jego błędziły kędyś daleko.

— Myślałam że mieszkalesz stale w tych stronach — lękliwie odezwała się Una.

— Tak, mieszkalem, póki żyła pani Aelueva. Ale ona zmarła... zmarła... A wówczas, że syn mój najstarszy wyrósł już na mężczyznę, prosiłem De Aquilę, by zezwolił jemu włączyć do dworzyszczem, jam zaś miał wybrać się w podróż daleką albo i w pielgrzymkę... bom chciał zapomnieć o mej boleści. De Aquila, którego Wilhelm Wtóry<sup>77</sup> mianował starostą Pevenseyu na miejsce zmarłego grafa Mortaina, był już wtedy wielce stary, atoli zawdy jeszcze jeździł na wielkich dereszach, a gdy siedział w siodle, bywał podobien małemu, siwemu kobuzowi<sup>78</sup>. Gdy Hugon, rezydujący nie opodal w Dallington, posłyszał o mym postanowieniu, przywołał mego drugiego syna, którego jako człek bezzenny za syna swego zawdy uważał, i za zezwoleniem De Aquili oddał mu w zarząd swoje dworzyszczce aż do czasu, póki by sam nie powrócił. To uczyniwszy Hugon przyłączył się do mej wyprawy.

— Kiedy to się stało? — zapytał Dan.

— Mogę wam na to odpowiedzieć dokładnie co do dnia — i miesiąca, bo gdyśmy jechali samotrzeć<sup>79</sup> z De Aquilą przez włości Pevenseyu (podobno wam wspominałem, że był on panem na Pevenseyu i miał orła w herbie?), gdyśmy więc jechali, zdążając do

<sup>77</sup>Wilhelm Wtóry, własc. Wilhelm II Rudy (ok. 1060–1100) — drugi syn Wilhelma Zdobywcy, jego następcą na tronie angielskim; zginął w niejasnych okolicznościach, postrzelony z luku podczas polowania, a koronę przejął po nim młodszy brat Henryk. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>kobuz — ptak drapieżny z rodziny sokołowatych. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>samotrzeć (daw.) — we trzech. [przypis edytorski]

przystani, gdzie stał okręt z Bordeaux, przywożący mu corocznie wina francuskie, jakowś prosty chłop zabiegł nam drogę wołając, iż widział wielkiego kozła, który niósł na grzbiecie ciało króla naszego, i że ten kozieł<sup>80</sup> przemówił do niego ludzkim głosem. W tymże dniu król nasz miłościw, Rudy Wilem, syn Wilema Zdobywcy, zginął od zdradzieckiej strzały podczas łowów w boru. „Złe to wydarzenie — rzecz De Aquila — niedobrą ono jest dla nas wróżbą na początku wyprawy. Jeżeli Wilem Rudy nie żyje, to pewno mi przyjdzie bój toczyć o moje posiadłości. Ostańcie jeszcze trochę”.

Jam nie dbał o żadne złe znaki i wróżby, odkąd zmarła mi moja pani i małżonka. Hugon również na takie rzeczy nie zważał. Wsiedliśmy przeto na ów statek, mając jechać do Bordeaux. Lecz jeszcześmy nie oddalili się na odległość wzroku od Pevenseyu, alić wiatr nagle ustał, zapadła gęsta mgła, a prąd wody poniósł nas wedle skał nadbrzeżnych w stronę zachodnią. Towarzyszymi naszymi byli po większej części kupcy wracający do Francji, a ładugę<sup>81</sup> statku stanowiła wełna. Jechały z nami i trzy sfory wielkich psów myśliwskich, uwiązane na łańcuchu koło burty. Ich właścicielem był pewien rycerz z Artois<sup>82</sup>; jego nazwiska nigdy nie zdołał się nauczyć, dość będzie, gdy powiem, iż w herbie miał złote dukaty na czerwonym polu, a przy tym utykał na nogę, podobnie jak ja, z powodu rany odniesionej za młodu podczas oblężenia Mantes<sup>83</sup>. Walczył on pod księciem burgundzkim<sup>84</sup> przeciwko Maurom<sup>85</sup> w Hiszpanii, a teraz jechał ponownie ze swymi psami na ową wojnę. W pierwszą noc śpiewał nam dziwne mauryjskie pieśni i kusił nas usilnie, byśmy poszli wraz z nim na ową wyprawę. Jam ci właśnie wybrał się w pielgrzymkę, mającą mi przynieść zapomnienie... czego zresztą nie da nikomu żadna pielgrzymka... Pewno bym poszedł za owym rycerzem, gdyby nie...

Zważcie, jak zmienne jest życie i szczęście człowiecze! Nad ranem natknął się na nas we mgle statek duński, posuwający się cicho przy pomocy wiosł. Zachwialiśmy się mocno od tego wstrząśnienia, a Hugon, który właśnie wychylał się przez poręcz, zleciał poza burtę. Skoczyłem za nim, chcąc go ratować, i tak zwaliliśmy się obaj na pokład statku duńskiego. Zanim zdążyliśmy powstać, już nas pojmano i skrzepowano powrozami. Mniemam, iż rycerz Złotych Dukatów zakneblował szmatą pyski psów, by wrzawą swoją nie naraziły kupców na szkodę, albowiem szczekanie ich nagle ucichło, jakobyś ręką odjął.

Leżeliśmy powiązani pomiędzy ławami aż do świtu, po czym Duńczycy wywelekli nas na górny pokład, ku sterowi. Ich wódz — Witta było jego miano — mocnym kopnięciem przewrócił nas na wznak. Był to chłop rosły, o pałacastych nogach i długich ramionach, przybranych od łokcia aż do pachy w złote naramiennice. Włosy miał rude i, jako u niewiasty, długie a zwite w kędziory, co mu opadały aż na barki. Złupił nas dokumentnie ze wszystkiego, ale gdy ujął w rękę miecz Hugonowy i obaczył runy na nim wyryte, czym prędzej cisnął go precz od siebie. Jednak chciwość przemogła i jeszcze po dwakroć brał miecz w rękę. Za trzecim razem miecz zajączał tak głośno i gniewnie, iż wiosłarze oparli się na wiosłach i jęli nad słuchiwać. Po czym poczęli gwarzyć i swarzyć się między sobą, wrzeszcząc niby morskie rybitwy, a jakowś żółty człowiek, jakiegom wpierw nigdy nie widywał, wszedł na górny pokład i przeciął nam pęta. Człek ten był żółty nie z choroby, ale z przyrodzenia, żółty jak plastr miodu, oczy zaś miał krzywcem osadzone w głowie.

— Jak to wyglądało? — spytała Una nie rozumiejąc wyrażenia.

— O tak — odpowiedział pan Ryszard, przytknąwszy palec do kąćków oczu i podciągając je w górę w ten sposób, iż utworzyły się dwie skośne szparki pomiędzy powiekami.

— Ależ teraz wyglądasz zupełnie jak Chińczyk! — krzyknął Dan. — Czy ten człowiek nie był to przypadkiem Chińczyk?

<sup>80</sup>kozieł — dziś: kozioł. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>ładuga (daw.) — ładunek. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>Artois — kraina historyczna na północnym zachodzie dzisiejszej Francji, nad Morzem Północnym. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>Mantes — miasto nad Sekwaną, w XI w. w granicach księstwa Normandii; w 1067 r. podczas walk o Mantes z królem Francji zginął Wilhelm Zdobywca. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>Henryk Burgundzki (1066–1112) — najmłodszy z wnuków księcia Burgundii, otrzymał tytuł hrabiego Portugalii od króla hiszpańskiej Kastylii i walczył tam z Maurami. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>Maurowie — muzułmanie z Mauretanii (gł. Berberowie i Arabowie), którzy z pln. Afryki przybyli w 712 r. do Hiszpanii, pokonali Wizygotów i założyli tam państwo, słynące z wysokiej kultury i wspaniałej architektury. Chrześcijańscy sąsiedzi walczyli z nimi aż do XV w., kiedy to Izabela, królowa Kastylii, i Ferdynand, król Aragonii, pokonali wspólnie muzułmańskie Królestwo Granady. [przypis edytorski]

— Nie rozumiem tego słowa. Co się zaś tyczy onego człowieka, to był on nalezion<sup>86</sup> przez Wittę, ledwo żyw, pośród lodów moskiewskiej krainy. Nam dwóm wydawał się diabłem wcielonym.. Czolgając się na kolanach, przyniósł nam jadlo na srebrnej misie, ponoć zrabowanej w jakimś bogatym opactwie, a Wittę własnoręcznie szafował nam wino. Mówił on trochę po francusku, trochę w południowosaskim narzeczu, najczęściej przecież językiem Ludu Północy. Prosiłiśmy go, by wysadził nas na ląd, i obiecywaliśmy mu okup znacznie wyższy od tej ceny, jaką by uzyskał za sprzedanie nas w ręce Maurów... jako sprzedano jednego znajomego mi rycerza, gdy z Flushing podążył na wyprawę morską.

„O nie! — zawołał Wittę. — Klnę się na głowę mego ojca Guthruma, iż tego nie uczynię. To bogi was zesłały na mój okręt jako obiatę<sup>87</sup> szczęścia”.

Jam zdrztał na te słowa, bom wiedział, że u Duńczyków jeszcze było obyczajem składać jeńców w ofierze bożkom celem uzyskania pomyślnego wiatru.

„A bodaj ci pokręciło twoje długie gnaty! — odpowiedział mu Hugon. — Wieleć przyjdzie z dwóch starych dziadów-pątników, niezdolnych już ani do pracy, ani do boju!

„Niechże mnie bogi uchronią od walki przeciwko tobie, biedny pielgrzymie, posiadaczu śpiewającego miecza — odpowiedział Wittę. — Przyłącz się do nas, a nie zaznasz biedy. Masz zęby szeroko rozstawione, a to znak niemylny, że będziesz się włóczył po świecie i zdobędziesz bogactwa”.

„A co będzie, jeśli nie pójdziemy z wami?” — zapytał Hugon.

„Tedy sobie płynicie do Anglii albo do Francji — odrzekł Wittę. — Jesteśmy właśnie w połowie drogi między jedną a drugą. O ile wam samym nie przyjdzie chętka topić się w morzu, to na naszym statku włosk wam z głowy nie spadnie! Wierzymy, że wy nam przyniesiecie szczęście, a wiem, że runy na tym tu mieczu są pomyślne”. To rzekłszy odwrócił się i kazał załodze rozwinąć szeroko żagle. Od tego to czasu wszyscy nam schodzili z drogi, gdyśmy się przechadzali po statku. Statek ten zasię pełen był różnych dziwów.

— Jak on wyglądał? — zapytał Dan.

— Był długi, niski a wąski, miał jeden maszt, a na nim żagiel czerwony. Przy każdej burcie siedziało po piętnastu wioślarzy — wyjaśniał rycerz. — Na przedzie znajdował się pokład, pod którym sypiała załoga, na rufie zasię mieściła się druga komora, malowanymi dźwierzami oddzielona od ławic wioślarzy. Tam sypiałem na miękkich jak wełna kobiercach, wspólnie z Hugonem, Wittę i żółtym człowiekiem. Pomnę (tu imć pan Ryszard roześmiał się serdecznie), iż gdyśmy tam weszli po raz pierwszy, głos jakowys donośny zakrzyknął: „Do bronii! Do bronii! Bij, siecz, rąb!” Wzdrygnęliśmy się obaj z Hugonem, co widząc Wittę jął śmiać się i pokazał nam owego krzykacza. Było to po prostu szare ptaszysko o wielkim dziobie i czerwonym pierzastym ogonie. Posadził je sobie na ramieniu, a ono chrapliwym głosem jęło domagać się chleba i wina i prosić, żeby je Wittę pocałował. A przecie był to jeno głupi ptak. Ale wy chyba jużście o tym słyszeli? — zapytał patrząc na ich uśmiechnięte twarze.

— Myśmy nie z ciebie się śmiali — odpowiedziała Una. — Ten ptak to pewno była papuga. Papużki zawsze tak się zachowują.

— Dowiedzieliśmy się i my o tym, ale dopiero później. Wszakoz było tam jeszcze jedno dziwo. Ów żółty człowiek, którego miano było Kitaj<sup>88</sup>, miał przy sobie małe, brunatne puzderko, w nim zasię znajdowała się błękitna miseczka z czerwonymi znakami po brzegach; w jej środku na cienkiej nitce wisiała prosta sztabka żelazna, nie grubsza od słomki, a tak długa jak moja ostroga. W tej sztabce, jako mi powiadał Wittę, przemieszkiwał jakowys zły duch, którego Kitaj za pomocą sztuk czarnoksięskich sprowadził ze swej ojczyzny, leżącej kędyś na południu, tak daleko, iż trzy lata podróżyć by tam trzeba. Ów zły duch dniem i nocą rwał się z powrotem do swej krainy, przeto (zważcie co za dziwy!) żelazna igła ustawicznie wskazywała ku południowi.

— Ku południowi? — spytał nagle Dan kładąc rękę do kieszeni.

— Dyc widziałem to na własne oczy! Dnia każdego, o każdej godzinie, choćby okręt chybotął się i ślaniał na morskich wałach, choćby sprzed oczu znikło słońce i gwiazdy, i księżyc, ów duch, zamknięty w żelazie, zawżdy wiedział, gdzie ma iść, i niemylnie zwracał

Czary

<sup>86</sup>nalezion (daw.) — znaleziony. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>obiata (daw.) — ofiara dla bogów; tu: symbol, omen. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>Kitaj — ros. nazwa Chin. [przypis edytorski]

się ku południowi. Wittą zwał ono „mądrym żelazem”, albowiem wskazywało mu drogę przez nieznane morza.

W tym miejscu pan Ryszard znów spojrzawszy przenikliwie na dzieci.

— Co wy o tym sądzicie? Zali to było czamoksięstwo?

— Czy przypadkiem nie było to coś takiego, jak tu widzisz? — spytał Dan wydobywszy z kieszeni stary kompas w mosiężnej oprawie, który zazwyczaj pozostawał w dobrej komitywie z kozikiem i pękiem kluczyków. — Szkiełko mi się stukło, ale igła działa jeszcze dobrze.

Rycerz aż usta szeroko otworzył z podziwu.

— Ależ tak, tak! Mądre żelazo drżało i obracało się właśnie w ten sposób. Teraz już się uspokoiło... i, jakże, wskazuje południe!...

— Północ — poprawił go Dan.

— O nie! Południe! Przecież tam jest południe — upierał się pan Ryszard.

I roześmieli się obaj serdecznie, bo jasną jest rzeczą, że gdy jeden koniec prostej igły magnetycznej wskazuje północ, to drugi musi wskazywać na południe.

— Ho, ho! — zadziwił się pan Ryszard mlaskając językiem. — W tym chyba nie ma nijakiego czamoksięstwa, skoro małe dziecko może nosić rzecz taką przy sobie. A czemuż to ono wskazuje na południe... chciałem powiedzieć, na północ?

— Tatusi mówi, że tego nikt nie wie — odpowiedziała Una.

Z twarzy pana Ryszarda zniknął wyraz zakłopotania.

— Wobec tego może to być istotnie czamoksięska siła. Cokolwiek o tym rzeczemy, dla nas wszelakoż było to czamoksięstwo. I tak, jakom powiadał, schodziła nam owa podróż. Gdy wiatr plużył, rozwijaliśmy żagle i wylegiwaliśmy się przez cały dzień pod nawietrzną ścianą burty, osłaniając plecy tarczami, by nas nie zmoczyła bryzgająca woda. Gdy cisza panowała na morzu, braliśmy się do wiosł, żółty człowiek przesiadywał ze swym mądrym żelazem, a Wittą sterował. Zrazu lękałem się wielkich, pieniających się bałwanów, ale gdy obaczył, jak Wittą roztropnie prowadzi okręt pomiędzy nimi, rychło nabrałem odwagi. Hugonowi już z nowotka wszystko wielce się podobało. Jam ci nie bardzo był zręczny do żeglowania, a zgoła nie w smak były mi rafy podwodne oraz wiry takie, jakim widywałem koło wysp na zachód od Francji, gdzie jedno z wiosł ugodziło o skałę i strzaskoło się w kawałki. Popłynęliśmy na południe po rozhukanym morzu, zasnutym mgłą. Raz, gdy się nieco rozchyliły chmury, ujrzeliśmy przy miesięcznym blasku jakowys statek flandryjski, co obalon falami tonął już w głębinie. Hugon znowu dzielnie pracował wraz z Wittą, ja zaś z gadającym ptakiem leżałem pod pokładem nieświadom, zali żyję jeszcze, czym już umarły. Jest ci taka choroba morska, od której człek po trzech dniach może ducha wyzionąć! Gdyśmy niebawem obaczyli ziemię, Wittą oznajmił, że to Hiszpania, i zaraześmy odbili na pełne morze. Przy brzegach snuło się mnóstwo okrętów biorących udział w wojnie tamecznego księcia z Maurami, więcśmy się mieli na bacności, by nas ludzie księcia nie powiesili albo Maurowie nie zapredali w niewolę. Zawinęliśmy do małej przystani, którą Wittą znał z dawna. Nocą nadjechali tam ludzie z objuczonymi mułami, a Wittą jął wymieniać bursztyn, przywieziony z Północy, na toporki żelazne i zwoje paciorków w glinianych naczyniach. Garnki te on stawiał pod pokładem, a toporki żelazne składał na dnie okrętu, wyrzuciwszy stamtąd kamienie i piasek, które przedtem obciążały należycie nasz statek. Nakupił też i wina za okruchy wonnej ambry... mały kawałeczek, nie większy od paznokcia, sprzedawano za beczułkę wina... Ale widzę, iż przemawiam jako kupczyk.

— Nie, nie! Opowiedz nam, coście tam jadali! — zawołał Dan.

— Mięsiwo suszone na słońcu, suszoną rybę i mielony bób, którego spory zapas Wittą wziął z sobą. Mieliśmy też koszyki pełne słodkich i miękkich owoców, spotykanych w kraju mauryjskim, które mają miękisz podobny do fig, tylko że w środku znajdują się długie i twarde pestki. Aha! Zwano je daktyłami!

„A teraz — ozwał się Wittą, gdy okręt był już załadowany — radzę wam, cudzoziemcy, byście się pomodlili swoim bogom, bo odtąd mamy przed sobą drogę, której jeszcze nikt nie przebył”. To rzekłszy, wspólnie ze swymi ludźmi poszedł na przód okrętu i ofiarował swoim bóstwom czarnego kozła, zaś żółty człowiek wydobył skądś mały, uśmiechnięty posążek z ciemnozielonego kamienia i zapalił przed nim kadzidło. Hugon

Wierzenia, Obrzędy

i ja polecaliśmy się Bogu Jedynemu i świętemu Barnabie, i Najświętszej Dziewicy Wniebowziętej, do której moja nieboszczka szczególne miała nabożeństwo. Nie byliśmy już młodzi, ale nie wstydę się powiedzieć, że gdyśmy z owej tajemnej przystani wypłynęli o wschodzie słońca na ciche, bezludne morze, cieszyliśmy się obaj i śpiewaliśmy głośno, jako czynili owi dawni rycerze, którzy za naszym możnym księciem i panem spieszyli ongi do Anglii. A wszak teraz wodzem naszym był łotrzyk morski i pohaniec<sup>89</sup>; za całą flotę była nam tylko jedna, nadmiernie obładowana galera; idąc za przewodem żółtego, pogańskiego czarnoksiężnika, dążyliśmy ku jakowejś niewidnej przystani, co znajdowała się kędyś za świata końcem. Witta opowiadał nam, że jego ojciec, Guthrum, w swoim czasie opłynął wybrzeża afrykańskie, aż dotarł do kraju, gdzie nadzy ludzie sprzedają złoto za żelazo i paciorki; tam nakupił znaczną ilość złota, a także niemało kości słoniowej. W tamte też strony zamierzał dojechać Witta z pomocą mądrego żelaza. Nie trwożył go żadne niebezpieczeństwa; okrom ubóstwa nie lękał się niczego.

Przygoda, Podróż,  
Niebezpieczeństwo

„Opowiadał mi mój rodzic — mówił do nas Witta — że trzy dni jazdy od owego kraju znajduje się wielka wydma, a na południe od niej wielki las rosnący na morzu. Na południe i na wschód od onego lasu ojciec mój znalazł miejsce, gdzie ludzie chowają złoto we włosach. Ale owa kraina, jako mi ojciec powiadał, pełna była wszelakich diabłów, co gnieżdżą się po drzewach i rozszarpują ludzi na sztuki. I cóż wy o tym myślicie?”

Zabawa

„Złoto, nie złoto — odrzekł Hugon bębniąc palcami po rękojeści miecza — dość że wesolą mić będziem przygodę. Jedźmyż więc do tych twoich diabłów, mój Witto!”

„Przygoda? — skrzywił się Witta. — Toż nie chodzi mi o żadną przygodę ani o wesolość. Dla przygód i dla uciechy nie narażałbym mego życia na tak nikczemnym statku. Jestem człek ubogi, co pragnie na morzu zdobyć majątek. Gdy przybiję znów do brzegów ojczystych, gdy ujrzę zatokę Stavanger i zarzucę ręce na szyję mej żony, nie będę już szukał nowych przygód. Z okrętem więcej bywa kłopotu niż z żoną i dobytkiem”. To rzekłszy skoczył pomiędzy wiosłarzy i jał łajac ich to za opieszalność, to za obżarstwo. Aleć Witta wilkiem był w boju, a lisem w przebiegłości. Gdy morska nawałność pognała nas na południe, on przez trzy dni i trzy noce nie wypuszczał steru z rąk, wiodąc wytrwale statek przez morskie odmęty. Gdy bałwany spiętrzyły się zbyt wysoko, on wylewał garniec wielorybiej tłustości na wodę; w jednej chwili toń morska koło nas wyrównywała się przedziwnie, a wokół nas tworzył się okrąg rozlanej tłustości. Wówczas Witta zwracał okręt sztabą w stronę wiatru i zapuszczał w morze wiosła, uwiązane na powrozie, czyniąc z nich, jak to nazywał, kotwicę, na której okręt kołysał się wprawdzie gniewliwie, ale nie był narażony na zalanie wodą. Fortelu tego nauczył się Witta od rodzica swego, Guthruma. Znał ci on ponadto *Księgę o przystawianiu pijawek* jednego przemądrego lekarza Balda, także i *Księgę oprawiania okrętu*, napisaną przez oną niewiastę Hlaf, która orężem spustoszyła ziemię egipską. Znał wszystko, co było potrzebne szyprowi gwoli<sup>90</sup> pieczy<sup>91</sup> nad żeglującym statkiem...

Mądrość

Po onym<sup>92</sup> sztormie ujrzeliśmy wielką górę, której wierzchołek był odziany śniegiem i przebijał chmury. Trawy, rosnące pod oną górą, gotowaliśmy we wrzątku i spożywaliśmy chętnie, co nam dawało leki przeciw boleniu szczęk i obrzmieniu goleni. Tameśmy obozowali przez dni osiem, póki ludzie jacyś, w skóry odziani, nie poczęli nas obrzucać kamieniami; wówczas puściliśmy się w dalszą drogę. Gdy upał się wzmagił, Witta rozpiął ponad głowami wiosłarzy wielką płachtę na zgiętych tyczkach, albowiem płynąc pomiędzy ową Górzystą Wyspą a znajdującym się na wschód od niej wybrzeżem afrykańskim, nie mieliśmy wcale wiatru. Rzeczony wybrzeże jest piaszczyste, a dzieliła nas od niego odległość trzykrotnego rzutu strzały. Widzieliśmy tam wieloryby oraz ryby kształtem podobne do tarczy, ale dłuższe niżli nasz okręt. Jedne z nich spały, drugie rozdziawiały na nas paszczyki, inne zaśię płały po gorącej wodzie. Woda tak była gorąca, iż parzyła nas w ręce, a niebo pokrywały skwarne, szare tumany, z których sypała się drobna kurzawa, obielająca nam w każdy ranek brodę i włosy. Tuśmy też widywali ryby, co polatywały w powietrzu jako ptactwo. Często spadały one na pierś wiosłarzom, więc piekło się je i spożywało, ilekroć przybiliśmy do lądu.

<sup>89</sup>pobaniec (daw.) — poganin. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>gwoli (daw.) — w celu. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>piecza (daw.) — opieka, kontrola. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>on, po onym (daw.) — ten, po tym. [przypis edytorski]



Tu rycerz przerwał opowieść i spojrział badawczo na dzieci, chcąc się przekonać, czy wierzą jego słowom, ale one tylko skinęły głowami i zawołały zgodnie:

— Opowiedz, co było dalej!

— Po lewicy od nas ciągnął się złoty ląd, na prawo zasię siwe morze. Acz byłem rycerzem, jednakoż miałem się wiosła jako jeden z czeladzi. Takoz wylawiałem morskie chwasty, suszyłem je na słońcu i obtykałem nimi garnki z paciorkami, by te uchronić od stłuczenia. Godność rycerska płuży<sup>93</sup> tylko na lądzie. Na morzu, trzeba wam wiedzieć, człowiek jest jako jeździec bez ostróg na nieokiełzanym rumaku. Nauczyłem się zadzierzgnąć mocne węzły na sznurach, ba, umiałem tak zręcznie wiązać końce dwóch lin, iż nawet Witt a ledwo mógł poznać, gdzie są złączone. Atoli Hugon miał dziesięćkroć więcej wprawy żeglarskiej niżli ja, przeto Witt a zwierzył mu nadzór nad wiosłarzami z lewej strony. Wiosłarzem z prawej przewodził Thorkild z Borkumu, wielki chłop ze złamanym nosem, nakrywający głowę stalowym normandzkim szyszakiem. Obie drużyny wiosłowały pospólnie, śpiewając na przemiany, oni zasię dwaj baczyli, by nikt nie próżnował. Istą prawdę rzekł Hugon (acz Witt a śmiał się z niego) prawiać, iż okręt wymaga większej pieczy niżli dworski dobytek.

Morze, Praca

Spytacie może, czemu. Ano tak. Trzeba było się porządnie nadźwigać, by zaopatrzyć okręt w wodę (gdy tylko można jej było dostać na brzegu), a też w dziko rosnące owoce i zioła; nierzadko i piasku trzeba było nanieść, żeby było czym szorować ławy i pomosty. Kiedy indziej zasię wyciągaliśmy nasz statek na co niższe wysepki i wyjmowaliśmy wszelki sprzęt (nawet owe żelazne toporki), po czym żagwiami z sitowia wypalaliśmy chwasty, jakie na nim porosły, i okurzaliśmy pokłady sitowiem moczonym w słonej wodzie, jako zaleca ona słynna niewiasta, imieniem Hlaf, w swej księdze żeglarskiej. Razu jednego, gdyśmy się tak krzątali bezbronni i półnadzy, a okręt siadł na wybrzeżu podparty drągami, ptak nasz poczał krzyczeć: „Do bronii! Do bronii!”, jakoby ujrzał nieprzyjaciela. Witt a ślubował, iż mu za to kark ukręci.

Ptak

— Biedna papuga! — westchnęła Una. — I cóż? Czy spełnił obietnicę?

— Ale gdzie tam! Wszak ten ptak był własnością i ulubieńcem całej załogi okrętowej. Z każdym się znał, każdego wołał po imieniu... Człowiekowi bezzennemu niezłe było żyć na tym okręcie... z Witt a i jego pohańcami... kędyś na dalekich krańcach świata... Po wielu tygodniach przybyliśmy do onej Wielkiej Wydmy, która, jako powiadał Witt a, ciągnęła się hen, daleko w morze. Okrążyliśmy ją długo, aż nam się już w głowie poczęło mącić od widoku i hałasu wielkich wałów morskich rozbijających się o piaszczyste mierzaje. Gdyśmy na koniec dobili do lądu, znaleźliśmy tam czarnych, nagich ludzi, mieszkających jako ptacy wśród lasów, którzy za każdą siekierkę żelazną dawali nam wielką obfitość jaj, ziół wszelakich i owoców. Witt a, rozmawiając z nimi, skrobał się w głowę, oznajmując im w ten sposób, że chce od nich dostać złota. Złotać oni nie mieli, ale znak ów rozumieli (wszyscy, którzy tam kupczą złotem, ukrywają je w gęstwinie swych włosów); przetoż wskazywali nam na dalszą połać wybrzeża. Drugą nam rzecz jakowąś jeszcze wyznawali, bijąc się w pierś zaciśniętymi pięściami. Był to znak złowróźbny, aleśmy jeszcze wtedy o tym nie wiedzieli.

— A cóż on oznaczał? — zapytał Dan.

— Raccie być cierpliwi, to zaraz posłyszycie. Płynęliśmy tedy przez dni szesnaście na wschód wedle wybrzeża (czas liczyliśmy czyniąc mieczem karby na poręczy przy sterze), ażeśmy w końcu dotarli do onego Lasu na Morzu. Drzewa tam wyrastały wprost z mulistego dna, pnąc się w górę długimi i cienkimi korzeniami, a pod nimi snuły się powszędy w ciemności liczne łachy wodne, szlamem i gnilizną zaległe. Tuśmy już sprzed oczu stracili światłość słoneczną. Jechaliśmy krętymi cieśninami pośród drzew, a gdzie niepodobna było użyć wiosel, czepialiśmy się sękatych, szorstkich korzeni i takeśmy się posuwali naprzód. Woda była cuchnąca, a wielkie, lśniące muchy gryzły nas niemiłosiernie. Rankiem i wieczorem z onych moczarów unosiła się mgła rodząca gorączkę. Spośród naszych wiosłarzy czterej zachorowali; więcemy ich przywiązali do burtnic, by nie rzucili się w wodę i nie zostali pożarci przez wylęgłe w owych bagniskach potwory. Żółty człowiek leżał chory koło swego mądrego żelaza i kręcąc głową, bełkotał coś w swej mo-

<sup>93</sup>Godność rycerska płuży tylko na lądzie — ang. *Knighthood is for the land*: godność rycerska jest dobra na lądzie. [przypis edytorski]

wie. Jedyne ptak gadający czuł się dobrze. Siedział sobie na ramieniu Wittu i coś ciągle pokrzykiwał, nic sobie nie robiąc z owej głuchej, złowrogiej ciemności. Tak, owej głośz obawialiśmy się ponoć najwięcej.

Umilkł na chwilę i jął wsłuchiwać się w miłe, przyjazne szemranie strumyka.

— Gdyśmy już w końcu stracili rachubę czasu w owych ciemnicach, pośród ciągłego chłupotania zatęchłej wody, naraz posłyszeliśmy w oddali głos jakiś, podobny głuchemu biciu w bęben. Idąc w ślad za tym głosem, dostaliśmy się na szeroką, mętną rzekę, gdzie na wykarzowanej przestrzeni stała chata otoczona zagonami ogórków. Dziękowaliśmy Bogu, żeśmy znów obaczyli słońce. Mieszkańcy wioski powitali nas życzliwie. Witt zaś — chcąc im oznajmić, że mu złota potrzeba — poskrobał się w głowę, pokazując przy tym na nasze żełzca i paciorki. Oni podbiegli ku brzegowi (bośmy jeszcze byli na okręcie) i wskazywali palcami nasze łuki i miecze, bo za każdym podjazdem do ładu zawsześmy mieli broń przy sobie. Wkrótce potem wywelekli z chat cały stos złota w bryłach i proszku oraz kilka szerniałych kłów słoniowych. Zwalili to wszystko na kupę, jakby chcieli nas tym skusić, i czyniąc znaki jakoweś, podobne do ciosów w walce, wskazywali na wierzchołki drzew i na las pobliski. Naczelnik onego plemienia czy też największy między nimi czarnoksiężnik jął przy tym bić się pięściami po piersiach i zgrzytać zębami.

Rzecz te dy Thorkild z Borkumu: „Zali oni nam oznajmują, że wypada nam walczyć o te błyskotki?” I już wydobyl miecz do połowy z pochwy.

„Nie! — odrzekł Hugon. — Mnie się widzi, że oni proszą nas o pomoc przeciwko jakiemuś nieprzyjacielowi”.

„To mi się nie podoba — znieacka ozwał się Witt. — Cofnijmy się na środek rzeki”.

Cofnęliśmy się przeto i siedzieliśmy nieporuszenie, przyglądając się czarnym ludziom, gromadzącym stopy złota na wybrzeżu. Naraz posłyszeliśmy znowu owo bębienie, rozlegające się kędyś w boru. Wieśniacy w jednej chwili pierzchli do swych lepienek, ostawiając złoto bez nijakiej straży.

Wówczas Hugon, który stał na przedzie okrętu, wyciągnął rękę i nie mówiąc ni słowa, wskazał w rzeczonym kierunku. Spojrzeliśmy tam — i ujrzeliśmy ogromnego diabła wychodzącego z lasu. Przysłonił sobie dłonią czoło i pozierając na nas obliżywał sobie wargi różowym jęzorem — o tak!

— Diabeł! — zawołał Dan, przejęty dreszczem rozkosznego lęku.

— Nie inaczej! Wyższy był od rosłego męża i okryty ryżą szczeciną. Gdy już dostatecznie się przypatrzył naszemu okrętowi, zaczął bić się w pierś pięściami, wydając taki łoskot, jakby ktoś walił w bęben na trwogę. Ruszył potem ku wybrzeżu, kołysząc się całym cielskiem i długimi ramionymi<sup>94</sup>, a zgrzytając zębami straszliwie. Hugon wypuścił strzałę i przeszył gardziel bestii. Diabeł runął na ziemię, rycząc głosem nieludzkiem, a z lasu wypadły trzy inne diabły i powlekły go na jakoweś ustronne drzewo. Wnet zrzuciły stamtąd okrwawioną strzałę i jęły spolem biadać i lamentować w gęstwinie. Witt tymczasem przyglądał się stosowi złota, ani myśląc ostawić go na wybrzeżu. „Cni panowie — przemówił (dotąd nikt nie odezwał się ani słowem) — oto tam, niedaleko, że jeno ręką sięgnąć, leży to, czego szukaliśmy z takim mozolem i dla czego przebyliśmy taki wielki szmat świata. Weźmyż się do wiosel i póki te diaski nie skończą swych lamentów, nabierzemy tyle złota, ile zdołamy”.

Śmiały jako wilk, jako lis przebiegły był Witt! Umieścił czterech łuczników na przednim pokładzie, by szyli w diabłów, gdyby tym przyszła chęćka zeskoczyć z drzewa, które wszak było nie opodał. Przy każdej burcie usadowił dziesięciu wiosłarzy i kazał im uważać, jaki znak da ręką — w miarę tego, czy mają wiosłować naprzód, czy w tył. W ten sposób udało mu się podprowadzić ich znacznie ku brzegowi. Atoli gdyśmy tam przybili; nikt nie chciał stanąć nogą na łądzie, aczkolwiek złoto było od nas o dziesięć kroków. Nikomu wszak niespieszno na szubienicę! Ludziska przywarli do wiosel, skomląc jako psy obite, a Witt gryzł palce z wściekłości.

Naraz Hugon mówi do nas: „Ano słuchajcie!” Jęliśmy przeto nadśłuchiwać. Zrazu nam się zdało, że to jeno brzęczenie błyszczących much na wodzie. Atoli potem głos ów nabrał mocy, stawał się coraz głośniejszy i bardziej zawzięty, tak iż wszyscy już poczęli go rozoznawać uchem.

<sup>94</sup>ramiony — dziś popr. forma: ramionami. [przypis edytorski]

— A cóż to było? — spytali jednocześnie Dan i Una.

— Ten oto miecz! — odrzekł pan Ryszard, głaszcząc polerowaną rękojeść. — Śpiewał ci on tak, jako śpiewają Duńczykowie przed bitwą. „Idę!” — zawołał Hugon i skoczył z okrętu na oną kupę złota. Mnie strach przenikał do szpiku kości, ale, sromając się, by mnie tchórzem nie nazwano, poszedłem za mym druhem, a Thorkild z Borkumu skoczył w ślad za mną. Okrom nas trzech nikt już się na to nie ważył. „Nie czyńcież mi przygany! — krzyczał za nami Witt. — Przedsię muszę ostać na okręcie!” Nie mieliśmy czasu na pochwały czy przygany. Schyliliśmy się nad złotem i jęliśmy miotać je garściami poza siebie, wszelakoż imając się gęsto rękojeści miecza i pogładając spod oka na owo drzewo, którego konary niemal zwieszały się nad naszymi głowami.

Nie wiem doprawdy, jak i kiedy diabły zeskokczyły na ziemię i jak rozpoczęła się walka. Posłyszałem jeno krzyk Hugona: „Do broni! Do broni!” — jakoby znalazł się ponownie pod Santlache. W tejsze chwili jakowaś włochata łapa zdarła Thorkildowi stalowy szyszak z głowy, a koło uszu świsnęła mi strzała, co nadbiegła z okrętu. Opowiadano, że póki Witt nie dobył miecza na wiosłarzy, nie udało mu się podprowadzić okrętu ku brzegowi; zaś każdy z czterech łuczników chlubił się później, że to on właśnie ustrzelił diabła, co nacierał na mnie. Nie będę sporu onego rozstrzygał, bo po prawdzie nie wiem, jak to było. Szczęście moje, iżem był w kolczudze; inaczej nie uszedłbym cało. Długim mieczem i poręcznym pugiuałem wiodłem bój śmiertelny ze straszliwym diabłem, który miast stóp miał ręce, a wywijał mną to naprzód, to w tył jako uschniętą gałęzią. Już mnie ucapił, krępując mi tym uściskiem jednocześnie obie ręce, gdy nagle strzała wysłana z okrętu uwięzła mu pomiędzy łopatkami. Potwór wypuścił mnie ze swego objęcia. Dźgnąłem go po dwakroć mieczem, a on chromym krokiem odszedł precz, podpierając się długimi ramiony, jęcząc i pokaszliwając. Zaraz potem, pomnę, obaczyłem Thorkilda z Borkumu, jako szedł z gołą głową, pośmiewając się, i uskakiwał to w prawo, to w lewo przed diabłem, który rzucał się nań, zgrzytając zębami. Potem mnie minął Hugon, dzierżąc miecz w lewicy, a jam się dziwił, że dotychczas nie wiedziałem, iż Hugon jest mańkutem. Od tej chwili nie pomnę już niczego, aż do czasu, gdy poczuł rozbryzg piany morskiej na mej twarzy. Ocknąłem się wtedy i obaczyłem, że znajdujemy się na pełnym morzu, oblanym jasnością słoneczną. Było to już dwadzieścia dni po owej bitwie!

— I cóż się stało? Czy Hugon zginął? — dopytywały się dzieci.

— Jak świat światem, nigdy rycerzom chrześcijańskim nie przyszło stawać w równie ciężkiej potrzebie — odrzekł pan Ryszard. — Od diabła, co na mnie nacierał, wybawiła mnie strzała, którą ktoś wysłał z okrętu; zaś Thorkild z Borkumu zręcznie wymykał się napastnikowi, aż w końcu diasek dostał się na tak niewielką odległość od okrętu, że go nasi łucznicy mogli usiec strzałami. Ale diabeł, z którym potykał się Hugon, był przebiegły wielce i chował się za drzewami, gdzie go dosięć nie mogła żadna strzała. Tam tedy zwarli się z sobą. Dzięki sile swego miecza i swego ramienia Hugon zdołał go w końcu ubić. Bestyja, konając, wpiła zęby w żelezce miecza. Pojrzyjcie no, jakie to były zębiska!

To mówiąc pan Ryszard znów obrócił miecz w ten sposób, by dzieci mogły obejrzeć dwa wielkie, jakby dłućkiem wykonane żłobki na obu stronach ostrza.

— Te same zębiska — ciągnął dalej pan Ryszard — wpiły się w bok i prawe ramię Hugona... A ja?... E, fraszka! Nic mi się nie przygodziło, okrom złamania nogi... i okrom wielkiej gorączki. Thorkildowi ucho odgryzł on diabeł, ale najgorzej wyszedł Hugon, bo miał bok i ramię doszczętnie popsowane. Ujrzałem go, jak leżał opodal, żując owoc jakiś, trzymany w lewej ręce. Ciało mu odpadało od kości, włosy gęsto osnuły się siwizną, a na ręce ukazały się sine żyłki jako u niewiasty. Widząc, iż nań patrzę, objął mnie lewym ramieniem za szyję i szepnął: „Weźmij ode mnie miecz mój. Wszak on już do cię należał od czasu bitwy pod Hastings, ale ninie, o bracie mój, nie udzierzę już nigdy jego rękojeści!” Takośmy tedy leżeli na pokładzie, gwarząc o bitwie pod Santlache, tudzież, jako pomnę, o wszystkim, co się zdarzyło od czasu onej bitwy... a bywało, żeśmy się obaj w tej rozmowie popłakali rzewnie. Jam był słaby jako dziecię, on zaś był cieniem nieledwie.

„Ponieważ placzu! — zawołał na nas Witt przechylając się znad steru. — Złoto każdemu czleku starczy za prawą rękę! A patrzcie no, patrzcie, ile tu złota!” I polecił Thorkildowi, aby nam pokazał złoto, kość słoniową, jako dzieciom, którym pokazują świecidełka. Zgromadził na okręcie wszystko ono złoto, które leżało na wybrzeżu, oraz

Walka

Malpa, Diabeł

Bogactwo

dwakroć więcej, bo tyle mu naznosili wieśniacy, wdzięczni za zabicie diabłów. Jako mi Thorkild opowiadał, czczono nas tam niby bogów, a jedna z niewiast — starsza już znachorka — opatrywała nieszczęsne ramię Hugonowi.

— Ile złota zdobyliście? — zaciekał się Dan.

— Jakoż wam to powiem? Gdyśmy wyjeżdżali, okręt był naładowany żelazem aż po same podnóżki wiosłarskie, teraz zaś, gdyśmy powracali, bryły złota sięgały do samych desek pokładu. Tam, gdzieśmy sypiali, oraz pod ścianami okrętu stały tłumoki złotego pyłu, a pod ławami leżały, powiązane na krzyż, szerniałe kły słoniowe.

„Wszelakoż wolałbym mieć prawe ramię” — ozwał się Hugon obejrzawszy to wszystko.

„Niestety, moja to wina! — odrzekł mu Witt. — Powiniennem być wziąć okup i wysadzić was na ląd francuski, gdyście dziesięć miesięcy temu dostali się na mój okręt”.

„Teraz to już za późno o tym mówić” — roześmiał się Hugon.

„Przedsię pomyślcie sobie! — zawołał nagle Witt targając długi włos, co mu w kędziarach spadał na ramiona. — Gdybym was wtedy puścił (a klnę się, żebym nigdy tego nie uczynił, bo miłuję was więcej niżli braci), gdybym was puścił, może byście już byli nędznie ubici przez jakiego marnego Maura w wojnie, którą wiódł książę burgundzki, albo byście skrytobójczą śmierć ponieśli z rąk opryszków, albo zmarlibyście w podłej karczynie, morowym powietrzem ruszeni. Zważcie to wszystko i nie czynicie mi zbyt wielkiej przygany, cny Hugonie. Patrzaj no! Wszak sobie wezmę tylko połowę zdobycznego złota”.

„Wcale nie czynię przygany, mój Witto — rzecze Hugon. — Wesola to była przystojna; a jak nas tu jest trzydziestu pięciu, dokonaliśmy rzeczy takich, na jakie by się nie wazyli inni ludzie. Jeżeli dożyję dnia powrotu do mej Anglii, wystawię sobie z przypadającego na mnie działu zdobyczy wysokie grodzisko ponad Dallingtonem”.

„Ja zaśię zakupię bydła, bursztynu i ciepłych, szkarłatnych szatek dla mej żony — odrzekł Witt — i będę władał całą krainą u wnijsia<sup>95</sup> fiordu stavangerskiego<sup>96</sup>. Odtąd już wiele ludzi będzie dobywać miecza w mojej sprawie. Ale w pierw musim powrócić na północ wraz z naszym drogocennym skarbem i modlić się, byśmy po drodze nie napotkali korsarzy”.

Nie było nam do śmiechu, ba, trawiła nas troska. Baliśmy się utracić choćby okruszynę onego złota, dla którego stoczyliśmy tak srogą bitwę z diabłami-borutami.

„A gdzież jest czarownik?” — zapytałem, nie widząc nigdzie żółtego człeka, a uważając, że Witt wpatruje się w mądre żelazo.

„Ano, poszedł do swej ojczyzny — odrzekł Witt. — Zerwał się w ową noc, gdyśmy wydobywali się z owej błotnistej kłeci, i oznajmił, iż dostrzega już kraj swój za drzewami. Skoczył w błoto i nie odpowiadał nam na nasze wołania. Przeto w końcu przestaliśmy go nawoływać. Ostawił nam mądre żelazo, na którym mi przecie najwięcej zależy... i baczcie! Ono wciąż jeszcze wskazuje na południe!”

Brał nas zrazu lęk, że mądre żelazo może nas teraz w błąd wprowadzić, odkąd zabrakło żółtego człowieka. Gdyśmy jednak się przekonali, że zamknięty w nim duch służył nam nadal, poczęliśmy z kolei lękać się nazbyt silnych wiatrów, to znów mielizn podwodnych, to ryb, które niefrasobliwie hasały wokoło, to wreszcie ludzi zamieszkujących brzegi, kędy wypadło nam zawijać.

— Dlaczego? — zapytał Dan.

— Przez wzgląd na złoto... to złoto, które do nas należało. Bowiem złoto zmienia ludzi do gruntu. Jen. Thorkild z Borkumu nie odmienił się wcale. Drwił sobie z obaw Witty, a także i z nas, gdyśmy radzili, by związać żagle za lada kołysaniem okrętu.

„Lepiej utonąć od razu — mawiał Thorkild z Borkumu — niż być tak ciężkim przywiązanym do stosu złotego pyłu!”

Był on Thorkild nieposesjonatem, człowiekiem bez ziemi, a kiedyś przebywał w niewoli u jakiegoś króla na wschodzie. Gdyby to od niego zależało, byłby zapewne przekuł złoto na grube obręcze, by nimi opasać wiosła i przód statku.

<sup>95</sup>wnijsie (daw.) — wejście. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>fiord stavangerski, Stavanger — fiord (zatoka morska, głęboko wrzynająca się w ląd) w pld.-zach. Norwegii, nad którą już w średniowieczu znajdowało się duże miasto, Stavanger. [przypis edytorski]

Wszelakoż Witt, choć tak się troskał o swe złoto, nie wyzbył się pieczy co do Hugona, owszem, czuwał nad nim zapobiegliwie niby niewiasta, podtrzymując go, ilekroć statek nazbyt się kołysał, i przywiązując sznury od jednej burty do drugiej, by Hugon mógł się na nich opierać, gdy przechadzał się po okręcie. Powiadał (a za nim przyświadczała jego kamraci), że gdyby nie Hugon, nigdy by mu się nie udało zdobyć złota. Pomnę, że Witt sporządził z onego złota małe, cienkie kółko, by nasz ptak mógł na nim się bujać.

Przez trzy miesiące żeglowali i wiosłowali, przybijając do brzegu jeno wtedy, gdyśmy chcieli wziąć zapas owoców albo gdy trzeba było czyścić okręt. Kiedyśmy obaczyli dzikich jeźdźców pędzących cwałem pośród wydm piaszczystych i wywijających włóczniami, wiedzieliśmy, że znajdujemy się koło wybrzeży mauryjskich i że na północ od nas ciągnie się Hiszpania. Zerwał się silny wiatr południowo-zachodni, który w ciągu dni dziesięciu przygnał nas do zrębu wysokich, czerwonych skał; tam wśród kęp żółtego janowca posłyszeliśmy granie rogów myśliwskich i poznaliśmy, że kraj ten to Anglia.

„Teraz już sami sobie szukajcie swego Pevenseyu — rzecz Witt. — Ja nie lubię tych cieśnin morskich zatoczonych okrętami”.

To rzekłszy zatknął wysoko na sztabie okrętowej wysuszony i zasolony łeb diabła zabitego przez Hugona. Wszystkie łodzie zaczęły przed nami uciekać na ten widok. Wszelakoż my, pomni, iż wieziemy złoto, większą przejęci byliśmy bojaźnią niż oni. Przemakaliśmy się przeto nocami wzdłuż wybrzeży, póki nie dotarliśmy do skał wapiennych na wschód od Pevenseyu. Hugon zapraszał Witt do Dallingtonu, obiecując mu tyle wina, iż będzie mógł się w nim kąpać. Ale on nie dał się skusić do wyjścia na ląd. Kwapił się obaczyć swą małżonkę. Przeto, gdy zaszło słońce, wpłynął na zalaną żulawę pobrzeżną, tam ostawił nas i i nasz dział zdobywczy, po czym wraz z cofającym się morskim odpływem cofnął się na pełne morze. Nie czynił żadnych obietnic, ślubowań ni klątw, nie oczekiwał żadnej podziękii, jeno podawał jedną po drugiej bryłę złota, worek po worku, to z okruciami, to z pyłem złotym, bezrękiem Hugonowi i mnie, staremu kalece, którego jednym pchnięciem ręki zdołałby wtrącić w morze. Zaniechał onego podawania dopiero wtedy, gdyśmy mu powiedzieli, iż już nie chcemy brać więcej. Potem, gdy już przyszło mu się z nami żegnać, przechylił się przez burłę, a ucałowawszy Hugona w policzek, zdjął ze swego prawego ramienia wszystkie naramiennice i włożył je na jego lewe ramię. Zda mi się, że gdy Thorkild z Borkumu dał wiosłarzom znak do dalszej jazdy, łzy nam kręciły się w oczach. Prawdać, że Witt był łupieżcą i pohańcem; prawda, że trzymał nas przemocą wiele miesięcy na swym statku; wszelakoż jam tego krzywonożnego człowieka o niebieskich oczach pokochał za jego wielką odwagę, za jego zręczność i przemyślność, a nade wszystko za prostotę jego ducha.

— Czy on dostał się szczęśliwie do domu? — zapytał Dan.

— Nigdy się tego nie dowiedział. Widzieliśmy, jak rozwijał żagle przy blasku księżyca i wypływał na pełne morze. Modliłem się żarliwie, by Bóg mu pozwolił obaczyć żonę i dzieci.

— A co wyście z sobą zrobili?

— Czekaliśmy na onej żulawie aż do ranka. Wtedy zawinęliśmy wszystko złoto w starą płachtę żaglową, ja usiadłem przy nim na straży, a Hugon udał się do Pevenseyu. Niebawem De Aquila przysłał nam konie.

Umilkł pan Ryszard i oparłszy się oburącz na rękojeści miecza, patrzył na płynącą wodę strumyka osnutą smugami ciepłego i zwiwnego cienia.

— Mój Boże! Cały statek pełny złota! — westchnęła Una spoglądając na maluchną „Złotą Łanie”. — Ale przynajmniej ta pociecha, że nie spotkałam się z diabłami!

— E! Bo też ja nie wierzę, by to były diabły! — odpowiedział Dan szeptem.

— He? — spytał pan Ryszard, ocknąwszy się z zadumy. — Nie wierzysz temu? Toż ojciec Witt wyraźnie go przestrzegał przed nimi i powiadał, iż to niewątpliwie były diabły. Należy wierzyć ojcom, a nie dzieciom. A czymże, wedle waszego mniemania, były one diabły?

Dan zaczerwienił się po uszy.

— Ja... ja... Ja tylko myślałem... — wyjąkał. — Ja właśnie dostałem książkę pod tytułem „Polowanie na goryle”... jest to, proszę pana, ciąg dalszy „Wyspy koralowej”... a tam piszą, że goryle (takie duże małpy, jak panu pewnie wiadomo) zawsze gryzą żelazo...

Przyjaźń, Rozstanie, Piraci

— Wcale nie zawsze... Tylko dwa razy! — poprawiła go Una, która wraz z nim czytała w ogrodzie „Polowanie na goryle”.

— To prawda... w każdym razie, gdy szły na ludzi, zawsze tak samo bębniły na własnych piersiach jak te diabły pana Ryszarda. Aha, i jeszcze budowały domy na drzewach!

— Co?! — zawołał pan Ryszard otwierając oczy szeroko. — Zaprawdę, tak! Nasze diabły budowały sobie na drzewach domy, do płaskich gniazd podobne, gdzie barłoczyły się małe diabłęta wytrzeszczając na nas ślepią. Jam ci ich wprawdzie nie widział, bo byłem złożon chorobą; ale opowiadał mi o tym Witta... I wy, o dziwo, wiecie również o tym? Dalibóg! Czyżby nasze diabły były jeno małpami, co budują sobie gniazda na drzewach? Zali już żadnych czarów nie ma na tej ziemi?

— Nie wiem — odparł Dan z zakłopotaniem. — Widziałem raz człowieka, który wyjmował króliki z pustego kapelusza. Mówił nam, byśmy się przyglądali uważnie, to zobaczymy, jak on to robi... Więc patrzyliśmy, patrzyliśmy...

— I nie widzieliśmy nic — z westchnieniem dokończyła Una. — O, co ja widzę! Tam stoi Puk!

Istotnie spomiędzy dwóch pni jesionowych wyrzała ku nim brązowa i uśmiechnięta twarz Puka. Spotkawszy się z ich spojrzeniem, mały skrzat skinął im głową przyjaźnie i ześliznął się w chłodne zacisze nad strumykiem.

— Jak to? Nie ma już czarów, mości Ryszardzie? — zaśmiał się i zdmuchnął kulistą lampkę zerwanego przed chwilą puszystego mlecza.

— Oni mi tu opowiadają, że mądre żelazo Witty było po prostu dziecięcą zabawką. Ten chłopak nosi przy sobie podobne żelazo... A co najgorsza, słyszę od nich, że diabły, którem widział, były to małpy, zwane gorylami! — mówił z oburzeniem pan Ryszard.

— To właśnie są czarnoksiężstwa... z ksiąg wyjęte — odrzekł Puk. — Ostrzegam cię, że te dzieci są bardzo mądre. Nietrudno być mądrym człowiekowi, który czyta książki.

— Ale czy książki mówią prawdę? — marszcząc brew zapytał pan Ryszard. — Mnie zawsze nie bardzo w smak szło czytanie i pisanie.

— Ta-ak — odpowiedział Puk wyciągając przed siebie nagą już łodyżkę mlecza. — Ale jeżelibyśmy mieli wieszac wszystkich tych drabów, którzy piszą nieprawdę, tedy czemu De Aquila nie zaczął od Gilberta, co parął się pisarstwem? Kto, jak kto, ale ów Gilbert był fałszerzem jakich mało.

— Prawda, że fałszerz, ale mi żal było tego Gilberta. Bądź co bądź, był on na swój sposób odważny — rzekł pan Ryszard.

— A cóż on zrobił takiego? — zapytał Dan.

— Ano, pisał! — odpowiedział pan Ryszard. — Jak sądzisz, czy ta opowieść jest odpowiednia dla dziatwy?

I spojrział na Puka pytająco. Ale dzieci nie dały mu przyjść do słowa, krzycząc jedno-głośnie:

— Opowiedz! Opowiedz!

## PIEŚŃ THORKILDA

Ni śladu wichru... Śpi morska gładz...

(Wprzód wiosłem dąż —  
hej, hej, ku Stavanger! —  
jak jeden mąż! —  
hej, hej, ku Stavanger!)

Więc sami musim, jak wichur, gnać!

(A teraz w tył —  
hej, hej, ku Stavanger!  
co macie sił! —  
hej, hej, ku Stavanger!)

Skrzyp desek słyhać... Trzeszcz, statku, trzeszcz!

(Wprzód wnosłem dąż —  
hej, hej, ku Stavanger!)

Czary

Wiedza, Książka, Prawda

Snadź ci się przyśnił północny deszcz!  
(Ze wszystkich sił —  
hej, hej, ku Stavanger!)

Snadź ci się przyśnił północny śnieg,  
że cię tak cieszy chyży nasz bieg!

Snadź ci się przyśnił chat naszych dym  
i mroźne noce północnych zim!

Za łędem tęskni już każda z rej!  
W nas — stokroć więcej tęsknoty zlej!...

Więc bogi, mężnych obrońce<sup>97</sup> głów,  
burze i wichry ześlijcie znów!

Ześlijcie wichry — byśmy, jak grom,  
huczac żaglami, wrócili w dom!

Lecz... wiatru nie ma... śpi morska gładz...  
(Wprzód wiosłem dąż! —  
hej, hej, ku Stavanger!)

Więc musimy sami, jak wicher, gnać!  
(Co sił! co sił!  
hej, hej, ku Stavanger!)

#### 4. NA STARE LATA W PEVENSEYU

Nie będę już wam opowiadał o diablach ani o małpach — ciągnął dalej półgłosem pan Ryszard. — Tym razem opowiem wam o De Aquili, nad którego nigdy nie było mężniejszego, przemyślniejszego i dumniejszego rycerza. A miejcie w pamięci, że był on naonczas w wieku nader podeszłym.

— Kiedy? — zapytał Dan.

— Wtedy, gdyśmy wrócili z wyprawy odbytej wespół z Wittą.

— A co zrobiliście ze złotem? — dopytywał się Dan.

— Miejcież, proszę, nieco cierpliwości. Nie od razu płatnerz kolczugę wykonywa<sup>98</sup>, ale ogniwo do ogniwa wiązać musi. Wszystko opowiem wam we właściwym czasie. Przewieźliśmy ono złoto — trzy wielkie ładunki — na końskich grzbietach do Pevenseyu, tam zaśie złożyliśmy je w komorze na północ wystawionej, ponad wielką świetlicą zamku pevenseyskiego, gdzie De Aquila spędzał zimę. Tam on siedział na swym legowisku niby siwy sokół na gnieździe i przysłuchiwał się naszym opowieściom, zwracając głowę to w jedną stronę, to w drugą. Na schodach straż pełnił Jaśko, stary, zgorzkniały wojak, Rakiem przewany; De Aquila wszakże kazał mu zejść w dół i pilnować proga, a drzwi osłonił podwójną skórzaną oponą<sup>99</sup>. Onże to był Jaśko, którego był De Aquila przysłał do nas z końmi, i on to sam pomagał nam w przewozie złota; okrom niego nikt nie był wtajemniczony w całą sprawę. Gdyśmy zakończyli naszą opowieść, De Aquila powiadomił nas o tym, co działo się w Anglii, albowiem byliśmy jako ludzie zbudzeni nagle ze snu po śnie całorocznym. Król Rudy już nie żył... zabito go (pewno pamiętacie?) w onym dniu, gdyśmy odbili od brzegów angielskich. Młodszy brat jego, Henryk, zagarnął władzę królewską na przekór Robertowi z Normandii. Tak samo był właśnie postąpił król Rudy względem Roberta, gdy zmarł nasz wielki król Wilem. Tedy rzeczony Robertus Normandzki, rozjuszony (jak mówił De Aquila) dwukrotną utratą królestwa, wyprawił do Anglii wielkie wojsko; wojsko to jednakże zostało pobite i odparte do okrętów stojących w Portsmouth. Maluczko brakowało, a okręt Witty mógłby się z nimi spotkać

<sup>97</sup>obrońce — dziś popr. forma: obrońcy. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>wykonywa — dziś popr. forma: wykonuje. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>opona (tu daw.) — zasłona. [przypis edytorski]

w onym porcie. Na szczęście zawinęliśmy tam nieco później.

„Teraz zasię — mówił De Aquila — połowa wielmożów z północy i zachodu powstała przeciwko królowi pomiędzy Salisbury i Shrewsbury, a druga połowa oczekuje, jaki będzie przebieg tej walki. Powiadają, że Henryk jest dla nich nazbyt zangliczał, jako że ożenił się z Angielką, która go namówiła, by przywrócił dawne prawa naszym Sasom (co do mnie, sądzę, że zawsze najlepiej nakładać koniowi wędzidło, do którego się przyzwyczaił). Ale to jest jeno płaszczyk, pod którym skrywają swą obłudę”. Jął stukać palcem w stół, po którym rozlało się wino, po czym mówił dalej w tym sposobie:

„Po bitwie pod Santlache każdy z nas, baronów normandzkich, otrzymał od króla Wilema sowity dział angielskich włości. Jam również dostał okazały szmat ziemi (to mówiąc poklepał Hugona po ramieniu), przedsię ostrzegałem króla jeszcze na długi czas przed rokoszem, jaki wzniecił Odo, że baronowie powinni zrzec się swych majątkości i zaszczytów w Normandii, jeżeli chcą być dziedzicznymi panami ziemi angielskiej. Teraz oni są ledwie nie książętami zarówno w Anglii, jak w Normandii... Ot, takie wypasione kundle, co włazszy łapą w jedną misę, lypią ślepiami w stronę drugiej! Robert Normandzki przysłał im orędzie, że jeżeli nie będą walczyli w jego sprawie na ziemi angielskiej, to on złupi im doszczętnie ich posiadłości w Normandii. Przeto zbuntował się Clare, zbuntował się Fitz Osborne, zbuntował się i Montgomery, jenże był jeszcze przez naszego pierwszego króla Wilema mianowany hrabią angielskim. Wyruszył ze swymi ludźmi nawet D'Arcy, którego ojciec, jako pomnę, był sobie prostym szaraczkiem koło Caen niby ten wróblak na płocie. Jeżeli Henryk zwycięży (powiadał), tedy baronowie wszak mogą schronić się do Normandii, gdzie Robert przyjmie ich z otwartymi ramionami. Jeżeli zasię Henryk będzie pobity (mówił dalej tenże D'Arcy), obdarzy ich znaczniejszymi posiadłościami w Anglii. Ach, bodajby nam licho wzięło tę Normandię... boć ona przez wiele jeszcze lat będzie przekleństwem naszego kraju!”

„Amen! — dopowiedział Hugo. — Ale jak sądzisz, czy wojna zawita i w nasze strony?”

„Od północy ona tu nie przyjdzie — odrzekł De Aquila. — Atoli<sup>100</sup> morze zawsze<sup>101</sup> stoi otworem. Jeżeli baronowie osiągną przewagę, Robert na pewno pośle do Anglii nowe zastępy, a wtedy, jako mi się widzi, wyląduje tutaj, kędy lądował ongi jego rodzic, Wilem Zdobywca. W dobrą godzinę zjechaliście tu ze swym towarem... bo targ będzie nie lada! Pół Anglii stoi w płomieniu, a tu u stóp naszych (to mówiąc grzmotnął obcasem o bryły kruszcu pod stołem) leży tyle złota, że można by nim poruszyć do walki wszystkich ludzi orężnych w całym chrześcijaństwie”.

„A cóż z nim poczniesz? — spytał Hugon. — Nie mam ci ja w Dallington takowej wieży obronnej, gdzie bym mógł to przechować. Jeżeli zaś je zakopiem, komuż tedy ufać będziemy mogli?”

„Mnie — odparł De Aquila. — Mury Pevenseyu są silne! Prócz Jaśka, który wierny mi jest jak pies, nikt nie wie, co się w nich kryje”. To rzekłszy odsunął zasłonę przy strzelnicy i ukazał nam loch głębokiej studni, wyźłobiony w grubej ścianie.

„Kazałem ją wykuć, by mieć wodę do picia — wyjaśnił — ale znaleźliśmy tu jeno słoną wodę, która podnosi się lub opada w miarę przyprływu i odpływu morza. Posłuchajcie no! — Nadstawiliśmy ucha i posłyszeliśmy szelest i pluskanie wody w głębi. — Cóż? — rzecze De Aquila — dobry będzie schowek?”

„Ha, trudno! Jeżeli nie ma innego... — rzecze Hugon. — W twych rękach jest przecie nasze życie...”

Spuściliśmy przeto na dno studni cały skarb nasz z wyjątkiem małej skrzynki ze złotem, którą De Aquila ukrył pod tapczanem, zarówno dlatego, by służyła naszym potrzebom, jak i dlatego, że waga i jasna barwa onego kruszcu wielką napawała go radością.

Rankiem, nimeśmy odjechali do naszych dworów, rzekł De Aquila: „Nie żegnam was, bo wiem, że wrócicie i tu zostaniecie... nie z miłości ani tęsknoty, lecz ażeby pilnować złota. Miejcie się na ostrożności — dodał z uśmiechem — bom ja gotów z niego skorzystać, by stać się zwierchnikiem całego chrześcijaństwa. Nie ufajcie mi, ale wracajcie rychło!”

Zamilknął na chwilę pan Ryszard i uśmiechnął się smutno.

<sup>100</sup>atoli (daw.) — jednak. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>zawždy (daw.) — zawsze. [przypis edytorski]



— W siedem dni później powróciliśmy z naszych dworów... z dworów, które drzewiej do nas należały...

— A czy dzieci dobrze się sprawowały przez ten czas? — zapytała Una.

— Młodzi byli synackowie moi — mówił pan Ryszard sam do siebie. — Ziemia i władza słusznie należą się młodym. Ból sprawilibyśmy im srogi, gdybyśmy znowu objęli pieczę nad naszymi włości. Witali nas z duszy-serca, wszelakoż i ja, i Hugon widzieliśmy, że czas naszej władzy już się skończył. Jam był chromy, a Hugo bez ręki. O nie! Jużeśmy nie byli do niczego zdadni!

Tu pan Ryszard pokiwał smutnie głową, po czym rzekł głośnie:

— I dlatego... i dlatego... powróciliśmy niebawem do Pevenseyu.

— O, jakże mi przykro! — szepnęła Una, zdawało się jej bowiem, że rycerz ma minę bardzo smutną.

— Ależ, mała dziewczeczko, to wszystko zdarzyło się już dawno, dawno, wiele lat temu. Oni byli młodzi, my zaś starzy, przeto słuszne było, byśmy im powierzyli pieczę nad naszymi dworami. „Aha! — zawołał De Aquila przez strzelnicę, widząc nas zsiadających z koni. — Znow do nory wracacie, stare lisy?” Ale gdyśmy się znaleźli w jego komnacie ponad wielką świetlicą, on wziął nas w objęcia i powiada: „A witajcież mi, duszyczki! Biedne, pokutujące duszyczki!”... Bo tak to wypadło, żeśmy teraz byli bogaci ponad wszelką miarę, a przy tym opuszczeni przez wszystkich... Tak jest!... Samotni!...

— A cóżeście tam robili? — spytał Dan.

— Czatowaliśmy na Roberta z Normandii — odrzekł stary rycerz. — De Aquila podobien<sup>102</sup> był do Witty. Tak samo nie znosił bezczynności. Jeżeli pogoda dopisywała, jeździliśmy sobie pomiędzy Bexlei a Cuckmere, to z psem, to z sokołem (zarówno na Żuławach, jak na Wzgórkach jest wielka obfitość okazałych zajęcy), zawsze jednak poglądając uważnie ku morzu, czy stamtąd nie nadpływają korabie normandzkie. W dżdżyste dni De Aquila przechadzał się po przyczółku wieżycy i zzymając się na slotę, poglądał to tu, to tam, raz po raz coś nam wskazując. Ustawicznie dręczyła go myśl, jakim to sposobem statek Witty mógł tu podjechać, a następnie odpłynąć niepostrzeżenie, bez jego wiedzy. Gdy zaś wiatr ustawał i okręty zarzucały kotwicę, on podążał do brzegu przystani i gmerząc mieczem w stosie cuchnącej ryby zagadywał marynarzy o nowości z Francji. Jednocześnie zaś poglądał bacznie w stronę lądu, czekając wieści o wojnie Henryka z baronami.

Wielu ludzi przynosiło mu te wieści: kuglarze, arfiarze<sup>103</sup>, wędrujący kramarze, markietani<sup>104</sup>, księża i jeszcze inni ludkowie, a chociaż umiał kiedy indziej trzymać język za zębami, to jednak teraz, gdy mu się te wieści nie podobały, nie zważał ani na ludzi, ani na miejsce, jeno kłął głośno naszego króla Henryka, przezywając go głupcem lub niemowlęciem. Sam słyszałem, jako głośno krzyczał pośród członów rybackich: „Gdybym był królem angielskim, postąpiłbym tak lub tak...”

A gdym jechał zobaczyć, czy założono luczywa do wici<sup>105</sup> i czy nie zmkły, on często na mnie wołał ze strzelnicy: „Idź no, przypilnuj wici, Ryszardzie, i nie bierz sobie przykładu z naszego ślepego króla, ale obejrzyj wszystko na własne oczy i obmacaj własnoręcznie!” Mniemam, iż jemu nie był znany lęk żaden ni trwoga... Takeśmy sobie mieszkali w Pevenseyu, w małej komorze nad świetlicą.

W jakąś dżdżystą noc oznajmiono nam, iż na dole czeka na nas wysłannik króla. Byliśmy porządnie zziębnięci po długim jeźdźeniu śród mgły w stronę Bexlei, gdzie jest miejsce dogodne do lądowania dla statków. De Aquila odpowiedział przez sługę, żeby ów człowiek albo posilił się z nami, albo zaczekał, póki nie zjemy wieczerzy. Ale w chwilę później Jaśko, stojący u wnijścia<sup>106</sup> na schody, zakrzyknął, że przybysz zabrał konia i odjechał. „A bodaj go powieszono! — krzyknął De Aquila. — Myślałby kto, że nie mam nic lepszego do roboty, jak trząść się z zimna w wielkiej świetlicy dla pierwszego lepszego

<sup>102</sup>podobien (daw.) — podobny. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>arfiarz (daw.) — harfiarz. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>markietan — drobny handlarz wędrujący za wojskiem, sprzedający żołnierzom alkohol. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>wici — sygnał do walki: pęk witek, tj. cienkich gałązek lub sznurków, który władca przysyłał wasalom, by ich wezwać na wspólną wojnę; *luczywa do wici* — pochodnie do podpalania ognisk, mających sygnalizować niebezpieczeństwo i wzywać do walki. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>wnijście (daw.) — wejście. [przypis edytorski]

chłystka, jakiego mi król przysła. Cóż? Czy nie ostawił ni słowa wieści?”

„Ano nic — odrzekł Jaśko, który z De Aquilą bywał jeszcze pod Santlache — ino coś burknął, że jeżeli stary pies już nie zdoła nauczyć się nowych sztuk, tedy pora wyżenąć<sup>107</sup> go precz z psiarni”.

„Oho! — rzekł De Aquila drapiąc się w nos. — Do kogóż on tak powiadał?”

„Ano, tak niby przeważnie sam do siebie, a trochę do konia, poprawiając mu popręgę. Jam wyprowadzał go do wrót” — odrzekł Jaśko, Rakiem przezwany.

„Jakież było jego godło?”

„Złote podkowy na czarnej tarczy” — odrzekł Rak.

„Tedy to ktoś z ludzi Fulkona” — rzecze De Aquila.

W tym miejscu Puk wtrącił się grzecznie:

— Przepraszam, złote podkowy bynajmniej nie są godłem Fulkonów. Godłem Fulkonów jest...

Rycerz machnął ręką wspaniałomyślnie.

— Wszak i ty znasz prawdziwe miano owego niegodziwca — odpowiedział — ale jam wolał przeważać go Fulkonem, bom mu przyrzekł, iż nigdy w taki sposób nie opowiem jego niecznych postępów, by kto miał zgadnąć rzecz istą<sup>108</sup>. Przeto zmieniłem co do jednego wszystkie imiona w mej opowieści. Być może, że prawnuki tego człowieka żyją jeszcze.

— Prawda, prawda! — rzekł Puk śmiejąc się łagodnie. — Iście to po rycersku dotrzymywać słowa... nawet po tysiącu lat...

Pan Ryszard pochylił się z lekka i ciągnął dalej:

— „Złote podkowy na czarnej tarczy? — rzecze De Aquila. — Jam słyszał, że Fulko zawarł sojusz z baronami, ale jeżeli to prawda, tedy nasz król musi być górą. Ale tak czy owak, wszyscy Fulkonowie to zdrajcy. Wszelakoż, ja bym tego człeka nigdy stąd nie odprawił na czczo”.

„On i tak się pożywił przy stole skrybenta Gilberta — odrzekł Jaśko. — *Clericus* Gilbert przyniósł mu wina i mięsa z kuchni”.

Ów Gilbert był to kleryk z opactwa Battle, który prowadził rachunki dworu pevenseyskiego. Był wysoki, błydy, a nosił długi, nowotny różaniec do liczenia paciery, czyli wianek wielkich, brunatnych orzechów czy też nasion, wiszący u pasa wraz z piórnikami i kałamarzem, które chrzęściły za każdym jego krokiem. Miał on Gilbert siedzibę koło wielkiego komina. Tam stał jego stół, na którym spisywał swe rachunki, tam też sypiał nocą. Czuł iście babski lęk przed psami, co wpadały nieraz do świetlicy po kość jaką lub wygrzewały się w ciepłym popiele; a bronił się od nich różańcem. Gdy De Aquila siedział w świetlicy, wymierzając sprawiedliwość, odbierając daniny i nadając ziemie, Gilbert wszystkie jego wyroki zapisywał w aktach dworskich; nie jego jednak rzeczą było dawać strawę naszym gościom lub pozwalać im wyjeżdżać bez wiedzy naszego pana.

Rzecze tedy De Aquila, gdy już Jaśko zszedł ze schodów: „Hugonie, aza kiedy zwierzyles się memu Gilbertowi, że umiesz czytać łacińskie rękopisy?”

„Nie — odparł Hugon. — Nie jest ci on przyjacielem moim ani psa mojego Odo-na”. „A więc dobrze! — zawołał De Aquila. — Niechaj on nigdy się nie dowie, że umiesz odróżnić jedną literę od drugiej... A pilnujcie go obaj! — to mówiąc żgnął nas pod żebra pochwą od miecza. — W Afryce, jakom słyszał, są jakoweś diabły, ale klnę się na Wszystkich Świętych, iż gorsze diabły są w Pevenseyu!” I odtąd już nie rzekł ani słowa.

Zdarzyło się niebawem, że jeden z normandzkich wojaków chciał poślubić dziewczkę dworską, rodem Saksonkę, a Gilbert (któregośmy nie spuszczały z oka od czasu rozmowy z De Aquilą) wyrażał powątpiewanie, czy ona pochodzi z rodu wolnego, czy z chłopów. Ponieważ De Aquila obiecał dać nowożeńcom łan dobrej roli, gdyby panna młoda okazała się córą wolnego rodu, przeto cała sprawa oparła się o sąd, który toczył się przed obliczem De Aquili w wielkiej świetlicy. Pierwszy przemawiał ojciec dziewczyny, potem jej matka, a potem wszyscy naraz. Wszczął się taki hałas, iż w całej świetlicy zahuczało jak w ulu, a psy poczęły naszczekiwać. De Aquila podniósł w górę ręce. „Napisz jej, że jest wolna! — zawołał na Gilberta, siedzącego przy kominie. — Na miłość Boską, napisz jej, że jest wolna, bo inaczej ogłuchnę od tych krzyków! Tak, tak! — zwrócił się do dziewczyny, która

<sup>107</sup>wyżenąć (daw.) — wygonić. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>isty (daw.) — prawdziwy. [przypis edytorski]

padła przed nim na kolana. — Bądź sobie nawet siostrą Cerdyka i rodzoną siostrzenicą księżny mercyjskiej, tylko ucisz się już na koniec! Za lat pięćdziesiąt nie będzie tu ani Normandów, ani Sasów, jeno sami Anglicy, a dzieło to nam ułatwią tacy ludzie jak ci oto! Poklepał po ramieniu owego wojaka (był to synowiec Jaśka), ucałował pannę młodą i jął szurać nogami po sitowiu, na znak, że sądy już skończone (albowiem w świetlicy zimno było okrutnie). Sta nałem przy jego boku. Hugo zasię podszedł do komina i poza plecami Gilberta udawał, iż zabawia się z mądrym, choć zażartym psem Odonem. W pewnej chwili dał jakiś znak De Aquili, ten zaś przywołał Gilberta i polecił mu, by wyszedł odmierzyć pole dla nowożeńców. Wybiegł więc Gilbert skwapliwie z obojgiem młodych, chrzęszcząc paciorkami wiszącymi u pasa; a gdy już izba opustoszała, my we trzech zasiedliśmy koło komina.

Rzekł tedy Hugon schylając się nad kamieniami paleniska: „Widziałem, jako ten kamień poruszył się pod stopą Gilberta, gdy mu ją Odo obwąchiwał. A potrzyjcie, co się tam ukryta!” De Aquila rozgrzebał mieczem popiół, a podważwszy kamień, znalazł pod nim zwój pergaminu opatrzony następującym nagłówkiem: „Słowa, jakie mówił nasz dziedzic, Pan na Pevenseyu, przeciwko Królowi. Część wtóra”. Hugo przeczytał nam szeptem całe owo pismo. Były tam wymienione wszystkie żarty i drwiny, jakie w naszej przytomności czynił był De Aquila względem osoby królewskiej, czy to gdy wołał na mnie ze swej strzelnicy, czy to gdy powiadał, co by zdziałał, gdyby był królem angielskim. Dalibóg, wszystkie te klektania i przemówki, których po wsze dni nigdy sobie De Aquila nie skąpił, Gilbert zapisywał dzień za dniem, przekręcając i wypaczając ich właściwe znaczenie, wszelakoż czynił to tak zmyślnie, iż ktokolwiek znał De Aquilę, nie mógł zaprzeczyć, iż on bodajże użył słów takich. Rozumiecie, jak to było?

Dan i Una skinęli głowami.

— Tak — z powagą przemówiła Una. — Trzeba uważać przede wszystkim nie na to, *co* ktoś mówi, ale *kiedy* to mówi. Na przykład nie stałoby się nic złego, gdybym przez żart nazwała Dana osiołkiem albo cielątkiem. Tylko że starsi nie zawsze rozumieją się na żartach.

— „Więc on to spisywał dzień po dniu, tu przed naszymi oczyma?” — spytał De Aquila.

„Ba! Nawet z godziny na godzinę! — odpowiedział Hugon. — Wszak dopiero co, gdy Aquila w tej tu świetlicy mówił o Sasach i Normandach, widziałem, jako Gilbert zapisywał na pergaminie, leżącym koło rejestru dworskiego, że De Aquila zapowiedział, iż niebawem w Anglii nie będzie Normandów, o ile jego wojownicy będą sprawiali się należycie”.

„Na relikwie Wszystkich Świętych! — zawołał De Aquila. — Jakąż ostoję ma cześć ludzka i miecz wobec pióra? A gdzież to Gilbert schował wspomnianą przez siebie pisaninę? Będzie musiał, łotr, zjeść to paskudztwo!”

„Ukrył ją na piersiach, wybiegając z izby — odpowiedział Hugon. — To właśnie mnie skłoniło, bym poszukał, gdzie to on przechowuje gotowe już rękopisy. Widziałem był, jako mu się twarz mieniła, gdy Odo począł skrobać ten tu kamień. Odtąd jużem był upewnion o wszystkim”.

„Śmiały to człek! — rzecze De Aquila. — Trzeba przyznać sprawiedliwie, że mój Gilbert to człek śmiały”.

„Aż nazbyt śmiały — odrzekł Hugon. — Posłuchajcie no, co on tu pisze dalej! — I jął czytać: — »W dzień świętej Agaty nasz pan, dziedzic na Pevenseyu, spoczywając w górnej swej izbie, a odziany w kozuch podbity królikami...«”

„A bodajże go! Czy on jest u mnie garderobianą albo klucznicą?” — zawołał De Aquila. Zaśmiałem się i ja, i Hugon, po czym czytaliśmy dalej: „»...podbity królikami, pojrzał na mgłę ścielącą się na żuławach, a obudziwszy slaniającego się mości Ryszarda Dalyngridge, który mu był towarzyszem przy szklenicy wina (tu oni obaj poczęli śmiać się ze mnie), rzekł: Wyjrzyj no przez okno, stary lisie, bo mi się widzi, że Pan Bóg sprzyja książęciu Normandii«”.

„Wierę<sup>109</sup>, takom powiedział — rzecze De Aquila. — Mgła była gęsta i ciemna jak smoła. Robert mógłby wylądować choćby z dziesięcioma tysiącami ludzi, a my byśmy

<sup>109</sup>wierę (daw.) — jestem przekonany; z pewnością. [przypis edytorski]

o niczym nie wiedzieli. A czy ten gryzpiórek raczył opowiedzieć, jakośmy przez dzień cały jeździli po mokradłach, jak omal nie postradałem życia na jakiejś mieliźnie i jakom później przez całych dni dziesięć kaszłał niby schorzała owca?”

„Nie, nie masz tu nic takiego — odrzekł Hugo. — Za to mieści się tu osobista prośba Gilberta do głównego knowacza owych fortelów, Fulkona”.

„Aha! — rzecze De Aquila. — Zgadywałem od razu, iż Fulkon maczał w tym palce. Jakaż jest cena krwi mojej?”

„Gilbert zanosí prośbę, by, skoro nasz pan, dziedzic na Pevenseyu, zostanie wyzuty ze swych włości na podstawie tych zeznań, jakie on, Gilbert, gromadził z trudem i lękiem...”

„To prawda, że z trudem i lękiem — odpowiedział De Aquila wciągając oba policzki. — Ale jakże świetną bronią jest pióro! Muszę nauczyć się jego użytku!”

„Otóż on prosi, by Fulkon przeniósł go z obecnego stanowiska na nową godność kościelną, którą mu był przyobiecał. Żeby zaś Fulko nie zapomniał, co to za godność, pod ową prośbą umieszczono podpis: »Przyszył zakrystian klasztoru Battle«”.

De Aquila zagwizdał pod nosem i rzekł: „Człowiek, który knuje spisek przeciwko jednemu panu, może spiskować i przeciw drugiemu. Gdy utracę moje posiadłości, Fulko rychło zetnie głowę memu durnemu Gilbertowi. Swoją drogą przydałby się nowy zakrystian w klasztorze battleńskim. Doniesiono mi, że opat Henryk nie umie tam gospodarzyć”.

„Niech no jeszcze opat zaczeka — odrzekł Hugon. — Zważmy, że głowy nasze i nasza własność znalazły się w niebezpieczeństwie. Ten pergamin zawiera jedynie część wtórą całej opowieści. Pierwsza część powędrowała już do Fulkona, a odeń do króla, który uważa nas będzie za zdrajców”.

„Nie masz wątplenia — przyznał De Aquila. — Pierwszą część zabrał wysłannik Fulkona, poczęstowany w on wieczór jadłem przez Gilberta. Nasz król tak jest osaczony przez brata i swych baronów (niezupełnie zresztą z swej winy), iż stał się podobien szalonemu w swej podejrzliwości. Fulko jest jego zausznikiem i wlewa mu w ucho truciznę. Ninie król oddaje mu w darze moje i wasze włości. Nic w tym nowego. Już tak nieraz bywało!” To rzekłszy przechylił się w tył i ziewnął.

„A ty chcesz bez słowa i bez boju oddać Pevensey? — spytał Hugon. — Zatem my, Sasowie, będziemy walczyć z twym królem! Pójdę do Dallingtonu, by ostrzec mego siostrzeńca. Dawaj mi konia!”

„Tobie należałoby dać konika drewnianego i grzechotkę — odrzekł De Aquila. — Włóż pergamin na dawne miejsce i przysyp go popiołem. Jeżeli Fulko odierży po mnie Pevensey, który jest bramą Anglii, cóż on pocnie z tym nabytkiem? On w sercu pozostał Normandykiem i serce jego pozostało w Normandii, gdzie będzie mógł mordować swych chłopów, jako mu się żywnie podoba. Przeto otworzy wrota Anglii naszemu ślepemu Robertowi, jako byli usiłowali Odo i Mortain, a wówczas będzie nowe lądowanie i nowa bitwa pod Santlache. Dlatego to ja nie mogę zrzec się Pevenseyu!”

„Słusznie!” — rzekliśmy na to my obaj.

„No, czekajcie jeszcze, czekajcie! Jeżeli król, na mocy zeznań tego Gilberta, utraci ufność dla mnie, tedy przyśle tu przeciwko mnie hufiec swych ludzi, gdy zasię my będziemy staczać boje, brama Anglii będzie stała otworem dla wroga — nikt jej pilnować nie będzie. I któż to wtedy pierwszy przez nią przejdzie? Nie kto inny, tylko Robert Normandycki. Przeto nie mogę walczyć z mym królem”. To mówiąc jął pieścić miecz swój... jak ja to czynię w tej chwili.

„Mówisz ni to, ni owo, iście jak Normandyk! — obruszył się Hugon. — A cóż będzie z naszymi dworami?”

„Ja nie myślę o sobie — rzecze De Aquila — ani też o naszym królu, ni o naszych włościach. Myślę o Anglii, o której nie myśli ani król, ani baronowie. Nie jestem Normandykiem, mości Ryszardzie, ani Sasem, mości Hugonie. Jestem Anglikiem!”

„Czyś Normandem, Sasem czy Anglikiem — odrzekł Hugon — nasze życie należy do ciebie w każdym hazardzie. Kiedyż powiesimy Gilberta?”

„Nigdy — rzecze De Aquila. — Kto wie, może mu jeszcze się uda zostać zakrystianem w Battle, bo przyznać trzeba, że piórem włada zręcznie. Zmarli ludzie bywają niemymi świadkami. Bądźcież cierpliwi”.

Interes, Broń

Patriota

„A tymczasem król odda Pevensey Fulkonowi... a nasze dwory też przejdą w jego ręce! — powiadam mu na to. — Czy mamy oznajmić o tym naszym dzieciom?”

„O nie! Król nie poruszy gniazda szerszeni na południu, póki nie wykurzy pszczół na północy. Może uważa mnie za zdrajcę... ale przynajmniej obaczy, iż nie podnoszę oręża przeciwko niemu, a każdy dzień, póki siedzę cicho, jest dlań zyskiem w walce z baronami. Gdyby był człowiekiem mądrym, toby czekał końca wojny i nie robił sobie nowych wrogów. Ale mnie się widzi, że Fulko wpłynie na niego, by wezwał mnie do siebie, a — jeżeli nie posłucham wezwania, będzie to w mniemaniu Henryka dowodem mej zdrady. Atoli czcza gadanina, jaka mieści się w zeznaniach Gilbertowych, nie jest dzisiaj żadnym dowodem. My, baronowie, idziemy za Kościołem i jako Anzelm nie boimy się mówić, co nam się podoba. Powróćmyż tedy do naszych zajęć codziennych i nie mówmy Gilbertowi ani słowa”.

„Więc mamy pozostać bezczynni?” — zapytał Hugon.

„Musimy czekać — odrzekł De Aquila. — Stary już jestem, atoli tak ciężkiej sprawy nie miałem jeszcze nigdy w życiu”.

Myśmy myśleli to samo. Ostatecznie De Aquila miał słuszność zupełną.

W czas jakiś potem, tego samego jeszcze roku, przyjechali na nasze wzgórze zbrojni wojownicy, niosąc proporzec królewski, za którym powiewały znaki Złotej Podkowy. Rzekł tedy De Aquila, poglądając przez okno naszej komnaty: „Cóżem wam powiadał? Oto przybywa Fulko we własnej osobie, by obejrzeć nowe ziemie, które obiecał mu król w razie udowodnienia mi zdrady”.

„Skąd wiesz o tym?” — zapytał Hugon.

„Stąd, że sam bym tak uczynił na miejscu Fulkona, tylko że przywiódłbym większy orszak zbrojny. Założę się o mego deresza przeciw waszym starym chodakom, że Fulko przywozi mi od króla wezwanie, bym opuścił Pevensey i ruszył na wojnę”. Wciągnął oba policzki i jął bębnić palcami o brzeg lochu, na którego dnie głucho dudniła woda.

„Zali pójdziemy?” — zapytałem.

„Czy pójdziemy? — odparł. — W takiej porze? Toż byłoby to tępotą i szaleństwem! Jeślibym opuścił Pevensey i zaczął błąkać się i bobrować po lasach i borach, już by tu w trzy dni na pevenseyskiej wydmie spoczęły okręty Roberta i na brzeg wysiadło dziesięć tysięcy zbrojnych! Któż by ich wtedy powstrzymał? Czy Fulko?”

W tą chwilę zagrały rogi pod bramą, a zaraz potem rozległ się głos Fulkona, oznajmujący imieniem króla, że De Aquila ze wszystkimi ludźmi i końmi winien podążyć do królewskiego obozu pod Salisbury.

„A co, nie mówiłem? — rzecze De Aquila. — Między Pevensey i Salisbury siedzi ze dwudziestu baronów, którzy by mogli spełnić względem króla wasalską powinność, on jednakże, podmówiony przez Fulkona, wyprawia poselstwo aż na południe i odwołuje mnie... mnie właśnie jednego... od samych wrót Anglii, w oną chwilę, gdy wrogowie zamierzają do tych wrót się dobijać. Dajcie ludziom Fulkona kwaterę w wielkiej stodole od południa i nie żałujcie im napitku, a gdy Fulkon dobrze się posili, poproście go na kielich wina w naszej komnacie. W wielkiej świetlicy jest trochę za zimno na nasze stare kości”.

Zsiadłszy z konia, Fulkon natychmiast udał się z Gilbertem do kaplicy, by podziękować Panu Bogu za szczęśliwe przybycie, a gdy sobie podjadł (był to człek tłusty wielce a żarłoczny: widziałem, jak łytał oczyma, poglądając na pieczone kuropatwy, któreśmy zajadali), wprowadziliśmy go do naszej komory na górze, dokąd już wpierw podążył Gilbert z rejestrem naszych włości. Gdy Fulkon posłyszał szum i huk wody w onym lochu (a jako pomnę, był właśnie przypływ), odskoczył w nagłej trwodze; wówczas jego długie, zawijane trzewiki zaplątały mu się w rozszlany sitowiu... i zwałił się na ziemię, a Jaśkowi było już nietrudno trzepnąć go łbem o najbliższą ścianę.

— Czy wiedzieliście, że tak się stanie? — zapytał Dan.

— Juści! — odpowiedział pan Ryszard uśmiechając się słodko. — Ja przydeptałem mu miecz i odpiąłem pochwę. On przez chwilę nie wiedział, czy jest dzień, czy noc na świecie, leżał na ziemi łypiąc oczyma i belkocząc nieprzytomnie, póki go Jaśko nie związał jako barana. A był Fulkon obleczon w ową nowego kroju zbroję, którąśmy zwali zbroją jaszczurczą. Nie była z łańcuszków jak mój kirys (tu pan Ryszard wskazał na pierś własną), ale z małych łusek niepożytej stali, nałożonych na gźło z twardej skóry. Zdjęliśmy zeń to

okrycie, nie chcąc, by tak porządna zbroja miała zardzewieć od wilgoci, i oto w woreczku na szyi De Aquila znalazł ten sam zwitek pergaminu, któryśmy włożyli pod kamień koło pieca.

Ujrawszy to, Gilbert miał ochotę czmychnąć. Położyłem mu rękę na ramieniu. To wystarczyło. Upadł na ziemię, drżąc i odmawiając pacierze.

„Gilbercie — ozwał się De Aquila. — Jeszcze zostało wiele pamiętnych słów i czynów »naszego pana, dziedzica na Pevenseyu«, których dotąd nie zapisało twoje pióro. Weź no inkaust i piórniki, Gilbercie, i pisz dalej. Nie wszyscy możemy być zakrystianami w Battle”.

W oną to chwilę rzekł Fulkon, leżący na ziemi: „Zwiążaliście posłańca królewskiego. Pevensey pójdzie z dymem za to przestępstwo”.

„Być może — odparł De Aquila. — Jużem raz widział jego obłączenie. Ale nie trać otuchy, Fulkonie. Przrzekam ci, że pod koniec owego obłączenia będziesz obwieszon wśród płomieni, przedtem zaś dzielić się z tobą będę ostatnim bochenkiem chleba. Nie uczyniłby tego nawet Odo, któregośmy wraz z Mortainem zamorzyli głodem”.

Wówczas Fulko usiadł na ziemi i jął długo a przenikliwie przyglądać się De Aquili.

„Na Wszystkich Świętych! — zawołał. — Czemużes mi nie powiedział od razu, że jesteś stronnikiem księżęcia?”

„Zali nim jestem?” — zachnął się De Aquila.

Fulkon roześmiał się i rzekł: „Żaden z tych, co służą królowi Henrykowi, nie poważyłby się postąpić tak z jego posłem. A kiedy przeszedłeś na stronę księżęcia? Pozwól mi wstać, tedy będziemy mogli snadnie dojść do porozumienia”. To mówiąc uśmiechał się, kiwał głową i dawał ręką znaki przyjazne.

„Tak! Dojdziemy jeszcze do porozumienia” — odburknął De Aquila, po czym skinął na mnie. Z pomocą Jaśka podniosłem Fulkona z ziemi (a był to człek wielkiej tuszy i wagi) i założywszy mu pętlę pod pachy, spuściłem go w oną studnię, tak iż nie tykał stopami naszego złota, ale dyndał nieco powyżej. Był właśnie przyływ, przeto woda dochodziła mu do samych kolan. Fulkon nie ozwał się już ani słowem, ale trząsał się z lekka.

Nagle Jaśko porwał się i z całej siły uderzył w rękę Gilberta pochwą swego puginału. „Wara! — krzyknął. — On połyka swoje paciorki!”

„Pewno to trucizna — rzekł De Aquila. — Miewają ją przy sobie ludzie, którzy wiedzą nazbyt wiele. Sam przez trzydzieści lat ją nosiłem. Dawać mi ją tutaj!”

Wówczas Gilbert jął płakać i lamentować. De Aquila wziął różaniec w rękę i zaczął przesuwać paciorki. Ostatni z nich (a jakom wam mówił, były to wielkie orzechy) otworzył szpilką, a wewnątrz znalazł maluchny zwitek pergaminu z napisem: „Stary pies idzie do Salisbury, by dostać cięgi. Zawładnąłem jego budą. Przybywaj czym prędzej”.

„To gorsze niż trucizna” — rzecze De Aquila głosem nader uprzejmym i wciągnął policzki w zamyśleniu. Wówczas Gilbert jął tarzać się po ziemi i opowiadać nam wszystko, co wiedział. List, jakośmy zawczasu zgadywali, był od Fulkona dla księcia — a nie był to pierwszy list, jakie pisywali do siebie. Fulko podał go Gilbertowi w kaplicy, a Gilbert miał go zanieść rankiem do łodzi rybackiej, która krążyła między Pevenseyem i wybrzeżem francuskim. Kłamcą i obłudnikiem był ów Gilbert, jednakże wśród swych jęków i dreszczów trwogi znalazł chwilę sposobną, by poprzysiąc, że właściciel onej łodzi, stojącej właśnie w przystani, nie wiedział nic o całej sprawie.

„Przezywał mnie klechę-plechę — skarżył się Gilbert — i rzucał we mnie odpadkami sztokfiszka, ale mimo wszystko nie jest ci on zdrajcą!”

„Nie ścierpię, by który z mych pisarzy doznawał zniewagi lub obelgi! — rzecze na to De Aquila. — Onego żeglarza przywiążę do masztu jego własnej łodzi i każę osmagać! Napisz mi w pierw list, jaki ci podyktuję, a jutro zanieziesz go, wraz z nakazem chłosty, na ową łódź”.

Wówczas Gilbert rzucił się całować De Aquilę po rękach (nie spodziewał się był bowiem, że dożyje dnia następnego), a gdy już go drzączka opadła, jął pisać list jakoby od Fulkona do księżęcia, oznajmując, że psiarnia (co znaczyło: Pevensey) jest zamknięta i że stary pies (którym miał być De Aquila) broni do niej dostępu, a co najgorsza, wszystko się wydało.

„Jeżeli się komu napisze, że wszystko i wyszło na jaw — zauważył De Aquila — to choćby był papieżem, będzie miał sny niespokojne. Prawda, Jaśku? Co byś ty począł,

gdyby ci kto powiedział, że wszystko na jaw wyszło?”

„Ano, uciekłbym — odpowiedział Jaśko. — A nużby się to bowiem okazało prawdą!”

„Dobrze mówisz — rzecze De Aquila. — Pisz, Gilbertcie, że wielki graf Montgomery zawarł pokój z królem i że mały D’Arcy, którego nie lubię, został powieszony za pięty. Damy Robertowi wielką pigułę do spożycia. Napisz mu też, że Fulkon śmiertelnie choruje na wodną puchlinę”.

„Co znowu? — wrzasnął Fulkon wiszący w głębi lochu. — Utopcie mnie od razu, ale nie drwijcie ze mnie!”

„Kto tu drwi? Czyżbym ja? — zapytał De Aquila. — Nie robię nic innego, jeno walczę o życie i mienie piórem, wedle twego przykładu, Fulkonie”.

Wówczas Fulkon jęknął, bo już był uziąbł okrutnie, i zawołał: „Pozwólcie mi, bym wyznał wszystko!”

„Wierę, tak się właśnie postępuje po sąsiedzku! — rzecze De Aquila opierając się o krawędź lochu. — Przeczytałeś opowieść o moich słowach i postępkach... przynajmniej ich część pierwszą... przeto powinienes mi się odwzajemnić zeznaniem twoich czynów i postępów. Bierz pióro i kałamarz, Gilbertcie. Czeka cię robota, którać się z pewnością nie znudzi”.

„Pozwólcie moim ludziom odejść bez szwanku, a wyznam całą mą zdradę wobec króla” — skarżył się Fulkon.

„No, no! Cóż to on naraz stał się tak czuły dla swych ludzi?” — ozwał się do mnie Hugon, albowiem Fulkon jako żywo nigdy nie sływał z tego, by miał być panem łaskawym dla swych podwładnych. Pozwalał im na rabunki, ale nie darzył ich nigdy litością.

„Patrzcie no, patrzcie! — zawołał De Aquila. — Twoja zdrada już dawno wyszła na jaw dzięki Gilbertowi. Starczyłoby to, by powiesić choćby samego lorda Montgomery”.

„Prawdać to... ale oszczędź moich ludzi!” — rzecze Fulko żałośliwie. Posłyszeliśmy, jako się pluskał niby ryba w wodzie, bo przyplływ wciąż się zwiększał.

„Na wszystko czas przyjdzie! — odparł De Aquila. — Noc długa, a wino stare, niczego więc sobie więcej nie życzym, okrom wesolej opowieści. Zaczynaj więc opowiadać dzieje swego żywota, jeszcze od młodych lat, które ci zbiegły w Tours. Opowiadaj żwawo!”

„Zawstydzacie mnie do głębi duszy” — odrzekł Fulkon.

„Przeto dokazał tego, czego by uczynić nie zdołał ani król, ani książę — rzekł De Aquila. — Ale zaczynaj już opowieść, a nie pomijaj niczego”.

„Odpraw stąd twego człowieka” — jęknął Fulkon.

„Spełnienie tej prośby jest w mej mocy — odrzekł De Aquila. — Ale pamiętaj, że jestem jako król duński: nie potrafię cofnąć przyplwywu”.

„Jak długo będzie woda przybierała?” — spytał Fulkon i szarpiąc swe pęta, począł pluskać się znowu.

„Przez trzy godziny — odrzekł De Aquila. — Masz tedy dość czasu, by opowiedzieć wszystkie twe cne postęпки. Zaczynaj więc, a ty, Gilbertcie (słyszałem, że jesteś trochę nieuważny), nie przekraczaj właściwego znaczenia rzeczonych słów”.

Przeto Fulko, śmiertelnie przerażony otaczającą go ciemnością, zaczął opowiadać, a Gilbert, nie wiedząc, co go spotkać może, spisywał słowo po słowie całą opowieść. Słyszałem ci ja w mym życiu wiele opowiadań, ale nigdy mi się nie zdarzyło słyszeć czegoś, co by się mierzyć mogło z opowieścią Fulkona o jego czarnym życiu, wypowiedaną głuchym, grobowym głosem z głębi lochu, w którym on wisiał.

— Taka była straszna? — zapytał Dan.

— Straszliwa, wprost niewiarygodnie straszliwa! — odpowiedział pan Ryszard. — Mimo to było w niej coś takiego, co nawet Gilberta zmuszało do śmiechu. Śmialiśmy się we trzech tak serdecznie, aż nas wątpia bolały. W pewnym momencie począł tak szczękać zębami, iż nam już przykro było słuchać, przeto podaliśmy mu kubek wina na rozgrzewkę. Rozgrzawszy się, jął gładko już i potulnie opowiadać wszystkie swoje fortele, złośliwości i zdrady, swoje zuchwalstwa (a umiał ci on być odważny do zapamiętałości), swoje fałszerstwa, wybiegi i ucieczki (potrafił też być nędznym tchórzem); zwierzał się ze swego bezwstydu i nikczemności, ze swej rozpaczki stąd płynącej, z przedsiębranych środków ratunku i ze swej obłudy. Rozwijał przed nami brudne łachmany swego żywota z taką dumą, jakoby niósł szumny jaki porporzec. Gdy umilkł, obaczyliśmy przy blasku

Spowiedź

pochodni, że woda dosięgła mu już do samych ust, tak iż z trudnością łapał dech nosem.

Wyciągnęliśmy go przeto i otarliśmy ręcznikiem, owinęliśmy w opończę, poczęstowali winem, a gdy pił, pochylił się nad nim i przyglądaliśmy mu się bacznie. Trząsł się, ale twarz miał bezwstydną.

Nagle posłyszeliśmy, jako Jaśko, co strzegł schodów, ruszył się gwałtownie, snadź ze snu zbudzony, atoli w tejsze chwili jakiś chłopak przebiegł pędem koło niego i stanął przed nami, zaspany, z włosom rozwichrzonym, w którym tkwiło pełno źdźbeł sitowia. „Tato, ach tato! Śniła mi się zdrada!” — zawołał żałośnie i począł coś bełkotać niezrozumiałym głosem.

„Idźże stąd! Nie masz tu nijakiej zdrady!” — ofuknął go Fulkon. Chłopak, jeszcze niezupełnie ze snu ocknięty, ruszył z powrotem, a Jaśko powiódł go za rękę do świetlicy.

„To twój syn jednak! — zawołał De Aquila. — Przecz<sup>110</sup> przywiodłeś tu tego dzieciaka?”

„To mój dziedzic i spadkobierca, przeto nie chciałem go poddawać pod opiekę memu bratu” — odrzekł Fulkon i znowu zawstydził się wielce. De Aquila nic nie rzekł, jeno siedział w zadumie, piastując oburącz czarę wina... o tak, jak wam teraz pokazuję. Naraz Fulkon dotknął się jego kolana i rzekł:

„Pozwól chłopakowi uciec do Normandii, a ze mną uczyni, jako ci się podoba. Doprawdy, powiesz mnie choćby jutro uwiązawszy mi na szyi mój list do Roberta, ale chłopca puść wolno”.

„Ucisz się! — upomniał go De Aquila. — Ja teraz rozmyślam o losie Anglii”.

Przetośmy czekali, co nam rozkaże nasz pan na Pevenseyu. Z Fulkonowego czoła pot się łał rzęsisty.

W końcu przemówił De Aquila: „Za stary już jestem, bym miał byle kogo osądzać albo ufać byle komu. Nie pożądam twoich posiadłości, jako ty pożądałeś moich; a czyś jest lepszy, czy gorszy od pierwszego lepszego andegaweńskiego łupieżcy, to już niech twój król rozezna. A zatem wracaj do swego króla, Fulkonie”.

„A ty nie rozgłosisz tego, co się tu zdarzyło?” — zapytał Fulkon.

„A po co? Dość będzie, że twój syn zostanie u mnie... Jeżeli król jeszcze raz mnie wezwie do opuszczenia Pevenseyu, którego muszę strzec przed wrogami Anglii, albo jeżeli pošle przeciwko mnie zbrojny oddział, jako przeciw zdrajcy, albo jeżeli posłyszę, że król w swym legowisku źle myśli o mnie czy też o moich dwu rycerzach, tedy syn twój, Fulkonie, będzie obwieszon na framudze tego oto okna”.

— Ależ syn jego nie był wcale wmieszany w tę sprawę! — krzyknęła Una w przerażeniu.

— Czyż więc mieliśmy powiesić Fulkona? — odrzekł pan Ryszard. — Ten był nam potrzebny do zawarcia pokoju z królem. Wiedzieliśmy, że dla uratowania swego chłopca gotów był zdradzić choćby połowę Anglii.

— Nie rozumiem — odpowiedziała Una. — W każdym razie wszystko to wydaje mi się okropne, okropne!

— Fulkon inaczej myślał — odrzekł pan Ryszard. — Był wielce rad i uszczęśliwiony...

— Dlaczego?... Że jego chłopak miał zginąć?

— O nie! Dlatego, że De Aquila wskazał mu sposób ocalenia zarówno chłopca, jako też czci i mienia. „Uczynię, co chcesz! — wołał. — Przysięgam, iż uczynię po twej myśli. Oznajmię królowi, że nie jesteś zdrajcą, owszem, najzaczniejszym, najdzielniejszym i najprzedniejszym z nas wszystkich. Dalibóg, będę cię bronił”.

De Aquila wpatrywał się jeno w swą czarę, bełtając męty pływające na dnie.

„Wierę! — zawołał. — Gdybym miał syna, mniemam, iż pragnąłbym go ocalić. Ale proszę cię, nie opowiadaj mi, w jaki sposób weźmiesz się do tej sprawy”.

„Nie powiem, nie powiem — zgodził się Fulkon, roztropnie kiwając łysą głową. — To moja tajemnica. Przedsię wycoczywaj sobie do woli, De Aquilo, nie utracisz ani włoska z głowy i ani jednej piędzi swych posiadłości” — i uśmiechnął się pocziwie, jakoby człowiek, co zamyśla świadczyć swym bliźnim wielkie dobrodziejstwa.

„A odtąd — rzecze De Aquila — radzę ci, byś służył jednemu panu, a nie dwom naraz”.

<sup>110</sup>przech (daw.) — dlaczego. [przypis edytorski]



„Co? — zawołał Fulkon. — Zali nie wolno mi być uczciwym pośrednikiem pomiędzy obu zwaśnionymi przeciwnikami?”

„Służ albo Robertowi, albo królowi... krainie angielskiej albo normandzkiej! — odrzekł De Aquila. — Nie obchodzi mnie, co wybierzesz, ale wybór uczynić musisz zaraz i na tym miejscu”.

„Zatem królowi — rzecze Fulkon — albowiem widzę, że wierniejszą ma służbę niżli Robert. Czy mam zaprzysiąc?”

„Nie potrzeba — odparł De Aquila i złożył rękę na pergaminach zapisanych przez Gilberta. — Niechże mój Gilbert choć w części odpokutuje za swe przewiny, przepisując soczyste dzieje twojego żywota, póki się nie nazbiera dziesięć, dwadzieścia, a może i ze sto odpisów. Jak sądzisz? Ile sztuk bydła podarowałby mi biskup z Tours za taką opowieść? A twój brat rodzony? Albo mnisi z Blois? Rybacy utworzą z niej pieśni, a będą je śpiewali własni twoi kmiotkowie, postępując za pługiem, oraz wojacy, przejeżdżając przez twoje normandzkie grody. Od naszych stron aż do samego Rzymu będą się ludzie rozweselać tą powiastką... i będą wspominali, jako to sam Fulkon ją opowiadał, wisząc w studni, niby utopiony szczeniak. Taka cię spotka kara, jeśli choć raz jeszcze przychwycę cię na dwulicowym postępowaniu względem mego króla. Na razie pergaminy te pozostaną u mnie wraz z twoim synem, a jego ci zwrócę dopiero wtedy, kiedy mnie przejednasz z królem. Pergaminów zasię nie zwrócę ci nigdy”.

Fulkon zakrył oblicze i rozplakał się. „Na kości Wszystkich Świętych! — zawołał De Aquila śmiejąc się. — Głębokie rany zadaje pióro! Takiego westchnienia nie dobyłbym z ciebie żadnym mieczem”.

„Ale póki nie ściągnę na siebie twego gniewu, dzieje moje pozostaną w tajemnicy?” — zapytał Fulkon.

„Pozostaną, ale tylko tak długo. Czy ci to jest pociechą, Fulkonie?” — rzekł De Aquila.

„Jakaż inna pociecha mi jeszcze pozostała?” — odrzekł Fulkon i nagle zapłakał jak dziecko, żałośliwie, oparłszy głowę na kolanach.

— Biedny Fulkon! — westchnęła Una.

— Mnie także żal go było — rzekł pan Ryszard.

„Dotąd dźgałem cię ostrogą, a teraz dam ci owsa” — rzekł De Aquila i cisnął Fulkonowi trzy bryły złota, wydobyte z naszej skrzynki stojącej pod łóżkiem.

„Gdybym był o tym wiedział — rzecze Fulkon, tchu nabierając — nigdy bym nie podniósł ręki przeciwko Pevenseyowi. Jedyne braku tego żółtego kruszcu sprawił, iżem był tak nieszczęśliwy w mych działaniach”.

A właśnie wtedy nastął już dzień i poczęto krzątać się w świetlicy. Posłaliśmy zbroję Fulkona na dół, by ją oczyszczono, więc gdy w południe wyjeżdżał pod własnym oraz królewskim znakiem, wyglądał nadzwyczaj okazale i dostojnie. Włożywszy nogę w strzemię, pogładził w zamyśleniu długą brodę, po czym przywołał do siebie syna i ucałował go. De Aquila odprowadził Fulkona aż do nowego młyna. Cała noc ubiegła wydawała się nam teraz jakoby snem osobliwym.

— A czy on załagodził sprawę z królem... to jest, czy król dowiedział się, że nie jesteście zdrajcami? — zapytał Dan.

Pan Ryszard uśmiechnął się.

— Król już nie przysłał powtórnego wezwania do Pevenseyu ani też nie dopytywał się, czemu De Aquila nie usłuchał za pierwszym razem. Juści, była to sprawka Fulkona. Nie wiem, jako on tego dokazał, dość że wywiązał się z tego zrzęcznie i żwawo.

— Więc nie zrobiliście nic złego jego synkowi? — zapytała Una.

— Co? Temu chłopczynie? Ach, cóż to był za urwisz! Ledwieśmy mogli z nim wytrzymać! Powykręcał zawiasy w drzwiach izb sypialnych; śpiewał plugawe piosenki, jakich się niebożę ponauczał w obozie baronów; szczuł psy, pobudzając je do walki; spalił ściółkę w świetlicy, by, jako powiadał, wypędzić pchły, co się w niej zaległy; dobył puginału przeciwko Jaśkowi, który go za to strącił ze schodów; wjeżdżał konno w zboże i rozpędzał owce. Ale gdyśmy mu przetrzepali skórę raz i drugi, a potem pokazali, jako się poluje na wilki i sarny, przywiązał się do nas, starych, łąził wszędy za nami niczym młody, zażarty ogar i mówił każdemu z nas: wuju. Z końcem lata przyjechał do nas jego ojciec, by

go zabrać, ale chłopak ani sobie mówić nie dał o odjeździe, bo właśnie wybierał się na wydry... no i, koniec końców, został u nas aż do czasu polowania na lisy. Podarowałem mu szpony czaplibąka, by mu przynosiły szczęście w łowach. Takiego urwipolcia jeszcze w życiu nie widywałem!

— A co się stało z Gilbertem? — zapytał Dan.

— Ominęła go nawet chłosta. De Aquila oświadczył, że woli pisarza niewiernego, który zna się na pisaniu rejestrów dworskich, niżli fryca, choćby najwierniejszego, którego trzeba uczyć wszystkiego od początku. Ba, zda mi się, że od owej nocy Gilbert nabrał takiejże miłości jak respektu dla swego chlebodawcy. W każdym razie nie miał ochoty nas opuszczać... nawet jeśli Vivian, pisarz królewski, ofiarował mu godność zakrystiana w opactwie Battle. Obłudny był ten szelma, ale człek śmiały.

— Czy Robert ostatecznie wylądował w Pevenseyu? — pytał znowu Dan.

— O, zbyt czujnie strzeżliśmy wybrzeża przez ten czas, póki Henryk wojował ze swymi baronami! Zasię w trzy albo i cztery lata później, gdy w Anglii zapanował spokój, Henryk przepłynął do Normandii i pod Tenchebrai sprawił bratu taką łaźnię, iż Robertowi raz na zawsze odechciało się walki. Wielu rycerzy Henrykowych przybyło do Pevenseyu, by wyruszyć na ową potrzebę. Pomnę, iż przybył także i Fulkon, więcemy raz jeszcze zasiedli we czterech w naszej izdebce i krzepiliśmy się winem. Miał słuszność De Aquila, że nie trzeba wydawać o nikim sądu zbyt pochopnego. Fulkon był człowiekiem wesołym... tak, zawsze wesołym... a w ustach wciąż mu się pojawiała jakaś śpiewka.

— A co robiliście potem? — zapytała Una.

— Gwarzyliśmy sobie o latach minionych. To jeno umięją czynić ludzie, kiedy się zestarzeją, dziewczeczko...

---

Gdzieś poza łąką rozległ się ledwie dosłyszalny głos dzwonka, wzywający na podwieczorek. Dan leżał właśnie koło przyczółka „Złotej Łani”, Una zaś siedziała na rufie i trzymając na kolanach książkę z wierszami, czytała zwrotkę ze *Snu niewolnika*:

W pomroce snów obaczył znów,  
jak we mgle, kraj swój rodzony.

— Nie pamiętam, jak dawno zaczęłaś to czytać — odezwał się Dan sennym głosem.

Na środkowej ławeczce czółna, koło słomianego kapelusza Uny, leżał liść dębu, liść głogu i liść jesionu. Spadły tu widocznie z gałęzi drzew ocieniających wodę. Strumyk chichotał wesoło, jak gdyby przed chwilą był świadkiem jakiegoś zabawnego figla.

## RUNY NA MIECZU WELANDA

Kowal ci mnie Kuł,  
bym w Potyczce Pierwszej  
zwiódł Rycerza Rękę.

By Zdobywać Złoto,  
Jadę hen, w Jakiś  
świat Odległy, Obcy.

Złoto, którym Zdobył,  
jedzie w kraj angielski  
z Głuchych Głębin wód.

Potem Znów Zapada,  
niby Gładka ryba,  
w Głuchą Głębię wód.

Niewart tego Skarbu  
żaden Strój ni Sprzęt,  
Jeno — Jedna Rzecz...

Złota, którym Zdobył,  
Pewien król Pożąda,  
źle go użyć Pragnąc.

Złoto, którym Zdobył,  
Znowu się dobywa  
z Głuchej Głębi wód.

Potem Znów Zapada,  
niby Gładka ryba,  
w Głuchą Głębię wód.

Niewart tego Skarbu  
żaden Sprzęt ni Strój,  
Jeno — Jedna Rzecz...

#### 5. CENTURION TRZYDZIESTEGO LEGIONU

Grody, potęgi i majestaty,  
mierzone Czasu miarą bezwzględną,  
niemał tak długo trwają jak kwiaty,  
które codziennie więdną...

Lecz jako z wiosną pączek zielony  
z łodygi zwiędłej odrasta,  
z ziemi ugornej, wyjąłowionej  
wciąż nowe rodzą się miasta.

Wiosenny narcyz, jasny, beztroski,  
wiedzieć przenigdy nie będzie,  
jakie złe losy, jakie przymrozki  
zwarzyły kwiaty na grzędzie.

Pełen hardości, śmiałych przywidzeń,  
choć wie o świecie tak mało,  
mniema, że wieczność przeżyje całą,  
a żyje — najwyżej tydzień...

Czas, co każdego nadzieją krzepi  
i wszystkim daje łaski dostatek,  
pozwala, byśmy byli tak ślepi  
i butni — jako ten kwiatek.

Bo nawet kiedy, jak oddech zimy,  
śmierć nas ku ziemi nachyli,  
my — zmierzchłe cienie — wciąż się chęlpimy:  
iżeśmy wieczność zdobyli...

Dan miał trudności z łąciną i musiał zostać w domu, przeto Una poszła sama do Dalekiego Boru. W zachodniej połaci tego boru wznosił się odwieczny, strzaskany już śniat<sup>111</sup> bukowy, w którego dziupli Dan ukrywał swą procą i ołowiane kulki sporządzone przez starego Hobdena. Zakątek ten nosił u dzieci nazwę wziętą z następującej zwrotki w „Pieśniach starożytnego Rzymu”:

<sup>111</sup>śniat (daw.) — pień. [przypis edytorski]

Z wyniosłej Volaterry<sup>112</sup>,  
gdzie groźnie spogląda od dawna  
wzniesiona rękami olbrzymów  
królewska wieżyca przesławna.

Dawnymi królami, „podobnymi do bogów”, byli oczywiście Dan i Una, a kiedy stary Hobden ułożył dla ich wygody spory stos chrustu wśród wielkich — drewnianym murem podobnych — odziemków Volaterry, jego pracowite dłonie zasłużyły sobie na nazwę „rąk olbrzymów”.

Una prześliznęła się przez dziurę w płocie, znaną jeno im dwojgu, i przez chwilę siedziała w milczeniu, poglądając tak groźnym i wyniosłym wzrokiem, na jaki tylko stać ją było. Albowiem Volaterra jest to ważna baszta-strażnica, która wznosi się ponad Dalekim Borem, jak sam Daleki Bór wznosi się nad zboczem wzgórza. U stóp jej widać było Pukową Górkę oraz wszystkie zakręty strumyka, poczynając od chmielników w pobliżu lasów willingfordzkich aż do chaty starego Hobdena przy kuźni. Koło Volaterrae zawsze bywa wietrzno, teraz zaś ciągnął wiatr południowo-zachodni od strony nagiego grzbietu górskiego, gdzie stoi wiatrak wesoło klekocący.

Szum wiatru, przemykającego się przez leśną gęstwinę, brzmi jak gdyby zapowiedź jakichś intrygujących zdarzeń i dlatego to miło jest podczas wichury stać na Volaterrae i wtórować huczącym żywiołom, śpiewając urywki wspomnianych „Pieśni”.

Una wyjęła procę Dana z tajemnej kryjówki i przygotowała się na spotkanie wojsk Larsa Porsenny<sup>113</sup>, przekradających się poprzez zbielale od wiatru osiczyny rosnące nad potokiem. Wicher hulał i huczał w dolinie, a Una nuciła żałośliwie:

Werbenna aż do Ostii  
spustoszył krainę całą,  
Astur szturmował Ianiculum<sup>114</sup>,  
straż tam wycięto śmiałą.

Atoli wiatr ani myślał nacierać na las, tylko skręcił w bok i zatrzęsł dębem stojącym samotnie na pastwisku Gleasona. Tutaj skurczył się i jakby przycisnął wśród traw, z lekka wymachując ich czubkami, jak kot, co zanim skoczy, wymachuje koniuszkiem ogona.

— „A teraz witaj, witaj, Sekstusie!” — zawołała Una, nakładając kulę do procy.

Ojczyste powitasz domy!  
Czemu się wahasz, z drogi zawracasz?  
Tu wiedzie droga do Romy!

Napięła procę i wysłała pocisk umyślnie w stronę, gdzie było najciszej, pragnąc tym wyzwaniem poruszyć do walki tchórzliwe wietrzysko. Odpowiedziało jej jakieś głucho chrząknięcie, dobywające się spoza głogu rosnącego na łące.

— O, niech to kule biją! — zawołała głośno, posługując się wyrażeniem przejętym z ust Dana. — Pewnie trafiłam jedną z krów Gleasona.

— Ach, ty małe malowane stworzenie! — zawołał głos jakiś. — Ja cię tu nauczę, co to znaczy strzelać z procy do władców tej krainy!

Una z pewną obawą spojrzała w dół — i spostrzegła młodego mężczyznę, odzianego w piękną zbroję ze spiżowych płatów, połyskującą żywym blaskiem pośród kęp uschniętego janowca. W największy jednakże podziw wprawił Unę wielki spiżowy szyszak z czerwoną kitą z końskiego włosia, która powiewała na wietrze, raz po raz bijąc z szelestem o lśniące blachy naramienne.

<sup>112</sup>Volaterra, Volterra — miasto w środkowej części Włoch, należące w starożytności do Etrusków. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>Lars Porsenna (VI w. p.n.e.) — legendarny król etruski. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>Ianiculum — wzgórze w Rzymie, na prawym brzegu Tybru. [przypis edytorski]

— Cóż sobie myśli ten Faun<sup>115</sup>, com go spotkał! — mówił do siebie półgłosem przyszy-  
bysz. — Nabajał mi niestworzonych rzeczy, zapewniając mnie, że Malowane Plemię<sup>116</sup>  
zmieniło się od czasów, gdym tu bywał!

W tej chwili zauważył jasną główkę Uny i począł wołać:

— Hej, dziewczeczko, nie widziałaś tu gdzie malowanego procarza miotającego oło-  
wiane kule?

— N... nie... — odpowiedziała Una. — Ale jeżeli widziałeś gdzie kulę...

— Czym ją widział?! — zawołał mąż zbrojny. — Toż świsnęła mi o włoszek od mego  
ucha!

— Bardzo cię przepraszam... To ja ją rzuciłam...

Mężczyzna uśmiechnął się.

— Czyż Faun nie zapowiadał wam, że tu przyjdę?

— Czy masz na myśli Puka? Nie, nic nam nie mówił. Wzięłam cię za jedną z krów  
Gleasona. Ja... ja... nie wiedziałam, że ty... że ty... A kim ty jesteś?

Mąż zbrojny roześmiał się na całe gardło, ukazując dwa rzędy lśniących zębów. Twarz  
miał smagłą, ciemne oczy, a krzaczaste, czarne brwi zrosły się w gęstą kępę ponad silnie  
zarysowanym nosem.

— Imię moje Parnezjusz. Byłem zaś centurionem<sup>117</sup> siódmej kohorty trzydziestego  
legionu... zwanego Ulpiuszowym i zwycięskim: *Ulpia Victrix*<sup>118</sup>. Czy to ty strzeliłaś do  
mnie tą kulą?

— Tak, to ja. Bawiłam się procą Dana... — tłumaczyła się Una.

— Procą? — zawołał centurion. — Znam się i ja coś niecoś na tej broni. Pokaż mi,  
jak to wygląda.

Przeskoczył przez liche płotek, pobrzękując włócznią, zbroją i puklerzem, po czym  
lekkko a zwinnie, niby cień, wspiął się na wysokość Volaterrae.

— Aha! Widelki z patyka, a na tym pętla! Widywałem takie rzeczy! — zawołał z ra-  
dością i szarpnął gumkę. — Ale... ale jak się nazywa to przedziwne zwierzę, które ma tak  
rozciągliwą skórę?

— To jest łapstyczne... chciałam powiedzieć... elastyczne. Kładzie się kulkę do tej  
pętliczki, a potem trzeba mocno pociągnąć.

Centurion nałożył kulę, szarpnął gumkę z całej siły — i skaleczył się w palec boleśnie.

— Niech każdy walczy własnym orężem! — rzekł oddając procę w ręce Uny. — Co  
do mnie, łatwiej mi się obchodzić z dużą maszyną, mała dziewczeczko.... Bądź co bądź,  
ładna to zabaweczka, choć wilk nic by sobie z niej nie robił. Czy ty się nie boisz wilków?

— Ależ tu ich nie ma wcale — odpowiedziała Una.

— Nie wierz temu! Wilki są w tym podobne do Skrzydlatych Kołpaków, iż pojawiają  
się wówczas, gdy ich się nikt nie spodziewa. Czyż u was nie urządzają polowań na wilki?

— My nie polujemy — odrzekła Una przypomniawszy sobie zdanie posłyszane kiedyś  
od dorosłych. — My... ochraniają bażanty. Czy ty je widywałeś?

— Chyba że tak! — odpowiedział młodzian uśmiechając się znowu i zaczął naśladować  
krzyk bażanta tak wybornie, iż z zarośli jakiś ptak dał mu odzew tymże głosem.

— Och, te bażanty! Takie to duże, a takie krzykliwe, takie pstrokate i głupie! Zupełnie  
jak niektórzy Rzymianie! — zauważył centurion.

— Ale ty chyba sam też jesteś Rzymianinem? — zapytała Una.

— T... tak i nie... Jestem jednym z wielu tysięcy Rzymian, którzy nigdy w życiu nie  
widzieli Rzymu... co najwyżej na obrazku. Ród mój od wielu pokoleń mieszkał na Vectis.  
Vectis jest to miano owej wyspy, leżącej stąd na zachód, którą widać w oddali w dni  
pogodne.

<sup>115</sup>Faun (mit. rzym.) — bóstwo lasów i pól, utożsamiane z gr. Panem i satyrami; tu: Puk. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>Malowane Plemię, własc. *Piktowie* (łac. *Picti*: malowani) — grupa plemion zamieszkujących w czasach  
rzymskich i wczesnośredniowiecznych tereny dzisiejszej Szkocji; nazwa pochodziła od malunków i tatuaży,  
którymi ozdabiali swoje ciała piktyjscy wojownicy. Plemiona te powstały prawdopodobnie w wyniku zmieszania  
się celtyckich przybyszów ze środkowej lub wschodniej Europy z wcześniejszymi mieszkańcami wysp, pochodzenia  
przedindoeuropejskiego. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>centurion — w armii rzymskiej dowódca stuosobowego oddziału, wchodzącego w skład kohorty; dziesięć  
kohort (5000–6000 żołnierzy) stanowiło legion. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>Victrix (łac.) — zwycięska; tytuł honorowy, przyznawany poszczególnym legionom w uznaniu wyjątkowych  
zasług w boju. [przypis edytorski]

— Czy masz na myśli wyspę Wight? Ona wylania się z morza, ilekroć zanosi się na deszcz, a ze Wzgórz Wapiennych widać ją niezłe.

— Być może, że to o nią chodzi. Nasz dwór stał na południowym zrębie wyspy, koło urwistych skał. Przeważna część budynków liczyła już sobie ze trzysta lat, ale owe koszary, w których żył praojciec naszego rodu, były chyba jeszcze starsze o jedno stulecie. Tak, tak! Nie myślę się, bo przecie nasz praszczur otrzymał ziemię przy podziale gruntów osadniczych jeszcze za wodzostwa Juliusza Agrykoli<sup>119</sup>. Był to wcale niezły mająteczek. Wiosną rosły tam wszędzie fiołki, do samego niemal morskiego brzegu. Nieraz tam chodziłem z naszą starą piastunką, zbierając dla matki równianki fiołków, a dla siebie pęki wodorostów.

— Czy twoje niania była... była też Rzymianką?

— O nie! Pochodziła z Numidii. Niechże ją bogi mają w swej opiece! Poczciwe to było kobiecisko! Brunatna była na gębie, przy tym otyła i nieruchawa, a język jej bełtał się i trajkotał bez ustanku jak ta kołatka pod szyją krowy. Była kobietą wolną. A skoro o tym mowa... pozwól, iż cię zapytam, dziewczeczko: czy ty jesteś wolna?

— O tak, zupełnie — odpowiedziała Una. — Przynajmniej... do podwieczorku... Zresztą w lecie nasza guwernantka nie bardzo na nas się gniewa, jeżeli się spóźnimy...

Młodzian znów się zaśmiał — szczerze i z wyrozumiałością.

— Widzę to! — rzekł. — Tym się tłumaczy, że teraz przebywasz w lesie. My, za naszych czasów, chowaliśmy się wśród skał...

— A więc i wyście mieli guwernantkę?

— Czemuż by nie? Owszem... i to jeszcze Greczynkę! Chodziła w długiej sukni, którą podwijala w zabawny sposób, uganiając za nami pośród kęp janowca. Śmiałyśmy się z niej do rozpuku, a ona nam groziła chłostą... jednakże zbyt dobre serce miała poczciwina, by spełnić swą groźbę! A trzeba wiedzieć, że nasza Aglaja przy całej swej uczoności była kobietą zręczną i krzepką.

— Ale jakie miewaliście lekcje, gdy... gdy jeszcze byleś mały?

— Historię starożytną, czytanie klasyków, arytmetykę... i tak dalej! — odpowiedział z niechęcią centurion. — Siostra moja i ja mieliśmy głowy dość tępe, ale dwaj moi bracia (jestem średni pomiędzy nimi) lubili te zajęcia, a matka, trzeba ci wiedzieć, przewyższała nas sześciokrotnie swym wykształceniem. Była niemal tego wzrostu, co ja teraz, a przy tym podobna do nowego posągu Demetry<sup>120</sup> z koszykami, stojącego koło zachodniego gościńca. A jaka dowcipna! Ach, na bóstwo Romy! Jak ta mateczka umiała nas rozśmieszyć!

— A czym?

— Żarcikami i powiedzonkami, jakie bywają w każdej rodzinie; czy wy o tym nie wiecie?

— Że u nas są takie domowe żarciki, to wiemy, ale nie wiedziałam, że są one i w innych rodzinach — odpowiedziała Una. — Opowiedz mi o swej rodzinie! Proszę cię pięknie!

— Dobre rodziny są bardzo do siebie podobne. Matka siadywała wieczorami i przędła. Aglaja czytała w kącice; *pater familias*<sup>121</sup> — czyli nasz ojczulek — prowadził rachunki domowe, a nasza czwórka hasała po korytarzach. Gdy nasze hałasy stawały się zbyt głośne, *pater* wołał: „Ciszej tam, ciszej! Czyście nigdy nie słyszeli, jaką władzę ma ojciec nad swymi dziećmi? Ma prawo nie tylko dać im w skórę, ale nawet je zabić... zabić na śmierć... a bogowie pochwalą w zupełności jego postępek!” Wówczas matka wykrzywiła znad kołowrotka swe kochane usteczka i odpowiadała: „Hm! Hm! Coś mi się zdaje, że nie bardzo się nadajesz na rzymskiego ojca rodziny!” Ojciec natychmiast zwił swe rachunki i krzychał: „Zaraz wam tu pokażę!” — ...a potem... a potem... zachowywał się jeszcze niesforniej niż my wszyscy!

— O tak! Tatusiowie to potrafią... jak im przyjdzie ochota! — odpowiedziała Una, a oczka jej zaiskrzyły się figlarnie.

Rodzina, Ojciec

<sup>119</sup> Agrykola (*Gneius Iulius Agricola*) — wódz rzymski, który dokończył podbój Brytanii w ostatnim dziesięcioleciu I w. Rzymianie władali południową częścią wyspy do początków V w., tj. jeszcze kilkadziesiąt lat po wydarzeniach opisywanych przez Parnezjusza. [przypis edytorski]

<sup>120</sup> Demeter (mit. gr.) — bogini urodzaju, rolnictwa i płodności; w Rzymie jej odpowiednikiem była Ceres. [przypis edytorski]

<sup>121</sup> *pater familias* (łac.) — ojciec, głowa rodziny. [przypis edytorski]

— Czyż nie powiadałem, że we wszystkich porządnym rodzinach bywa mniej więcej podobnie?

— A cóż porabialiście w lecie? — zapytała Una. — Czy bawiliście się na dworze jak my?

— Tak jest, bawiliśmy się i chodziliśmy w odwiedziny do znajomych. Na Vectis nie ma wilków. Za to mieliśmy tam wielu przyjaciół i tyle kucyków, ileśmy tylko chcieli.

— Musiało tam być bardzo przyjemnie! — rzekła Una. — I czy zawsze tak było?

— O nie, dziewczeczko. Gdy liczyłem sobie lat szesnaście czy siedemnaście, ojciec nabrał się podagry, więc pojechaliśmy do wód.

— Do jakich wód?

— Do Aquae Sulis<sup>122</sup>. Wszyscy tam jeżdżą. Poproś swego ojczulka, żeby cię kiedy tam zabrał.

— Ale gdzie to jest? Ja nie wiem...

Młódzian miał przez chwilę minę wielce zdumioną.

— Aquae Sulis! — powtórzył. — Najlepsze kąpielisko w całej Brytanii! Powiadało mi, że lepszych łaźni nie ma nawet w Rzymie. Rozmaite tłuszciochy i pasibrzuchy siedzą tam godzinami w gorącej wodzie, plotkując i rozprawiając o polityce. Po ulicach maszeruje gwardia, towarzysząca wielkim wodzom, albo posuwają się w lektykach wysocy dostojnicy, za którymi kroczy oddział posępnych liktorów<sup>123</sup>. Można tam spotkać wróżbitów, złotników, kupców, filozofów, ptaszników, arcyrymskich Brytyjczyków, arcybrytańskich Rzymian, obłąskawionych dzikusów, co udają ludzi cywilizowanych, dalej kaznodziejów żydowskich i... o, wiele jeszcze innych ciekawych rzeczy. My, młodzi, rzecz zrozumiała, nie interesujemy się polityką i nie mamy podagry, ale ponieważ spotykamy tam wielu do nas podobnych, przeto nie nudzi się nam bynajmniej.

Gdyśmy się tak tam bawili niefrasobliwie, moja siostra poznała syna jednego z urzędników z zachodniej części kraju — i po roku została jego żoną. Mój brat młodszy, który zawsze miał upodobanie do różnych ziół i korzonków, zawarł znajomość z naczelnym lekarzem jednego z legionów stojących w Grodzie Legionowym i postanowił zostać lekarzem wojskowym. Ja uważam, iż zawód ten niezbyt jest godny człowieka wolno urodzonego, ale ostatecznie... nie mogę odpowiadać za poglądy młodszego brata. Pojechał tedy na studia lekarskie do Rzymu i teraz jest naczelnym lekarzem jednego z legionów, stojących w Egipcie (zdaje mi się, że w Antinoi), ale od owego czasu nie miałem o nim wieści.

Najstarszy mój brat poznał pewnego greckiego filozofa i oświadczył ojcu, iż zamierza osiąść na roli jako ziemianin i myśliciel. A trzeba ci wiedzieć (tu oczy centuriona zmruryły się figlarnie), że ten filozof, który go do tego skłonił, miał długie włosy...

— Myślałam, że wszyscy filozofowie są łysi — rzekła Una.

— Nie wszyscy. Mój brat miał dobry gust w filozofii, bo wybrał sobie za żonę piękną dziewczynę. Jego postanowienie było mi bardzo na rękę, bo miałem zawsze pociąg do wojaczki i obawiałem się, że będę musiał siedzieć w domu i doglądać gospodarstwa, a brat zabierze mi... to!

To mówiąc stuknęła ręką w wielką, błyszczącą tarczę, która nie zdawała się mu zawadzać ani ciężać.

— Byliśmy więc wszyscy zadowoleni, jak to młodzi!... I z całym spokojem, niefrasobliwie, wracaliśmy leśną drogą do Clausentum. Ale gdyśmy dojechali do domu, nasza ochmistrzyni Aglaja od razu spostrzegła, co się z nami stało. Pamiętam, jak stała przy wrotach, trzymając pochodnię nad głową, i patrzyła na nas wspinających się wąską ścieżką, wiodącą wśród skał od przystani. „Hej, hej! — zawołała. — Odjechaliście stąd dziećmi, a wracacie jako dorośli mężczyźni i niewiasta!” Potem ucałowała matkę, a matka rozplakała się. Tak to podróż do wód zdecydowała o losach nas wszystkich, dziewczeczko.

W tej chwili zerwał się na równe nogi i jął nadśluchiwać, opierając się na obrzeżu tarczy.

— Zdaje mi się, że to Dan... mój brat... — rzekła Una.

<sup>122</sup>*Aquae Sulis* — dziś Bath w pld.-zach. Anglii. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>*liktor* — urzędnik sądowy w staroż. Rzymie. [przypis edytorski]

— Nie inaczej! A Faun też z nim przyszedł — odrzekł centurion, widząc Dana i Puka gramolących się z trudem przez leśny wyrąb.

— Przyszlibyśmy tu o wiele wcześniej — tłumaczył się Puk — gdyby nie to, że powaby twej rodzinnej mowy, o Parnejuszu, oczarowały tego młodego obywatela.

Parnejusz zdawał się nic nie rozumieć, nawet gdy Una zabrała się do wyjaśnień:

— Dan powiedział, że liczba mnoga od *dominus* brzmi *domino*, a gdy panna Blake kazała mu poprawić omyłkę, rzekł, że jak nie *domino*, to chyba będzie „Czarny Piotruś”. Został więc, jak widzisz, ukarany za niegrzeczny wybryk, bo kazano mu przepisać dwa razy całą odmianę.

Tymczasem Dan, zgrzany i zasapany, zdołał już wdrapać się na Volaterrae.

— Leciałem pędem prawie cały czas — wykrztusił — a potem spotkałem Puka. Jak się pan miewa?

— Jeżeli jesteś zdrow, dobrze jest! Mnie zdrowie dopisuje<sup>124</sup> — odrzekł uprzejmie Parnejusz. — Patrzaj! Usiłowałem napiąć ten łuk Uliksesa<sup>125</sup>, ale...

I pokazał skaleczony palec.

— Współczuję panu! Pewno pan pociągnął za mocno! — odrzekł Dan. — Ale Puk mi doniósł, że pan opowiada Unie jakąś historię.

— Opowiadaj dalej, Parnejuszu! — rzekł Puk usadowiwszy się na uschniętej gałęzi ponad ich głowami. — Ja będę dodawał objaśnienia do jego opowieści. Czy bardzo ci suszył głowę, Uno?

— O nie, wcale nie! Tylko... tylko... nie bardzo wiem, gdzie się znajduje to jakieś Ak... Ak...

— Aha, Aquae Sulis! Jest to miejscowość kąpielowa, z której przywożą wam obwarzanki. Niech no ten bohater opowiada swoje dzieje!

Parnejusz udawał, że zamierza dźgnąć włócznią nogi Puka, ale Puk szybkim ruchem zsunął się w dół, chwycił za koński pióropus i ściągnął pyszny szyszak z głowy wojownika.

— Dzięki ci, wesółku! — rzekł Parnejusz potrząsając czarną, kędzierzawą czupryną. — Tak mi będzie chłodniej. A teraz zawiesz szyszak na gałęzi... Opowiadałem właśnie twej siostrze, jak zaciągnąłem się do armii — dodał zwracając się do Dana.

— Czy musiałeś zdawać egzamin? — zapytał Dan podniecony.

— O nie! Poszedłem do ojca i oznajmiłem, że chciałbym wstąpić do konnicy dackiej<sup>126</sup> (żołnierzy tego autoramentu widywałem w Aquae Sulis). Ojciec mi jednak jął doradzać, bym raczej rozpoczął służbę w jednym z regularnych legionów, przybyłych z Rzymu. Ja zaś, jak większość młodego pokolenia, nie bardzo sobie lubowałem w tym, co rdzennie rzymskie. Ci urzędnicy i oficerowie, którzy byli rodowitymi Rzymianami, patrzyli z pogardą na nas, urodzonych w Brytanii, jak gdyby mieli nas za barbarzyńców. Wytłumaczyłem to wszystko mojemu ojcu, a on mi na to: „Wiem, iż oni tak postępują, ale pomnij, mój synu, iż mimo wszystko jesteśmy latoroślą starego szczepu i że mamy obowiązki względem cesarstwa”.

„Jakiego cesarstwa? — zapytałem. — Wszak rozdarliśmy naszego orła, zanim jeszcze na świat przyszedłem”.

„Cóż to za złodziejska mowa?” — huknął ojciec nie lubiący gminnych<sup>127</sup> wyrażań.

„Zaraz ci wytłumaczę, panie ojcze — odrzekłem. — Przecie mamy jednego cesarza w Rzymie, ale w dalej położonych prowincjach zdołano w różnych czasach obwołać nie wiem już ilu cesarzy. Któremu z nich winieniem posłuszeństwo?”

„Gracjanowi<sup>128</sup>! — odrzekł ojciec. — Ten przynajmniej jest miłośnikiem zabaw rycerskich...”

„Juści<sup>129</sup>! — odpowiedziałem. — Podobno nawet niedawno przemienił się w Scytę<sup>130</sup>

Król

Obyczaje, Strój, Upadek

<sup>124</sup>Jeżeli jesteś zdrow, dobrze jest! Mnie zdrowie dopisuje — łac. *Si vales, bene est, ego valeo*. Formuła, którą starożytni Rzymianie rozpoczynali często list. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>Ulikses, *Ulysses, Odyszeusz* — bohater *Odysei* Homera. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>konnica dacka — oddziały wojskowe, w których z początku służyli głównie żołnierze pochodzący z rzymskiej prowincji Dacji (dziś Rumunia). [przypis edytorski]

<sup>127</sup>gminny — tu: pospolity, potoczny; *gminne wyrażenie* — zwrot używany w niskim stylu, charakterystyczny dla mowy ludzi niewykształconych. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>Gracjan, *Flavius Gratianus Augustus* (359–383) — władca cesarstwa zachodniego, którym rządził wspólnie z bratem, Walentynianem II, potem także cesarstwa wschodniego. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>Juści (gw.) — istotnie, z całą pewnością. [przypis edytorski]



zywiącego się surową wołowiną?”

„Gdzieśś słyszał takie plotki?!” — zawołał *pater*.

„W *Aquae Sulis*” — odpowiedziałem. Wiadomość zresztą była najzupełniej prawdziwa. Nasz sławetny cesarz Gracjan miał gwardię przyboczną złożoną z samych w skóry odzianych Scytów i tak się w nich rozmiłował, że zaczął się ubierać tak jak oni. Było to nie gdzie indziej, ale w samej stolicy, w Rzymie! Coś równie niesłychanego, jak gdyby mój rodzony ojciec pomalował się na niebiesko!<sup>131</sup>

„Mniejsza o stroje! — rzecze mi na to *pater*. — One są jeno rąbkami i pozorem całej sprawy. Niesnaski rozpoczęły się już wtedy, gdy ani ciebie, ani mnie nie było jeszcze na świecie. Roma zapomniała o swych bogach i musi za to ponosić karę. Wielka wojna z Malowanym Plemieniem wybuchła w tym samym roku, w którym świątynie naszych bogów uległy zburzeniu. A gdy świątynie odbudowano, natychmiast pokonaliśmy znowu Malowane Plemię. Ale cofnijmy się jeszcze dalej...” I cofnął się aż do czasów Dioklecjana<sup>132</sup>. Słuchając słów ojca, można było nabrać mniemania, jakoby wiekuisty Rzym stanął już nad brzegiem ruiny dlatego tylko, iż garstka ludzi nieco rozpuściła wodze swym myślom. Wpierw o tym wszystkim nie miałem pojęcia. Aglaja tak była przejęta wspomnieniami odległych dziejów greckich, iż nie stało jej czasu na opowiedzenie nam dziejów naszej własnej ojczyzny.

„Nie ma już ratunku dla Rzymu — rzekł w końcu *pater*. — Rzym zapomniał o swych bóstwach! Ale jeżeli bogowie nam przebaczą, to zdołamy ocalić przynajmniej Brytanię. Żeby to osiągnąć, musimy odeprzeć najazdy Malowanego Plemienia. Przeto powiadam ci, Parnejuszu, jako ojciec, że jeżeli serce twoje rwie się do służby, tedy miejsce twe jest pomiędzy mężami na Wale, a nie pośród niewieściuchów miejskich”.

— Na jakim wale? — zapytali jednocześnie Dan i Una.

— Ojciec miał na myśli wał, który zwą Walem Hadriana<sup>133</sup>. Opowiem wam o nim później.

Zbudowano go przed wieloma laty w poprzek Północnej Brytanii, by powstrzymywać najazdy Malowanego Plemienia, zwanego przez was Piktami. Ojciec w swoim czasie brał udział w wielkiej wojnie piktyjskiej, która trwała lat z górą dwadzieścia, przeto wiedział, co to służba wojskowa. Teodozjusz, jeden z naszych wielkich wodzów, jeszcze na wiele lat przed moim urodzeniem wyparł na północ ów drobny ludek, którym my w Vectis oczywiście nie potrzebowaliśmy sobie zaprzętać głowy, jako że oddzielał nas do niego wielki szmat lądu. Atoli gdy ojciec wyjaśnił mi całą sprawę, ucałowałem jego dłoń i czekałem na jego rozkazy; my, Rzymianie w Brytanii urodzeni, wiemy, cośmy winni naszym rodzicom.

— Mój ojciec śmiałyby się ze mnie, gdybym go pocałował w rękę... — rzekł Dan.

— Co kraj, to obyczaj! — odpowiedział Parnejuszu. — W każdym razie jeżeli ktoś nie słucha ojca i matki, bogi mu tego na pewno nie przebaczą... Ojciec mój, wnosząc z naszej rozmowy, że mam zamiar poważny, wyprawił mnie do Clausentum. Wypadło mi tam odbywać musztrę piechoty w koszarach zawalonych wojskami posiłkowymi. Ładne towarzystwo! Takiej hałastry nie gołonych i nie mytych barbarzyńców nigdy chyba już nie oglądał, choć nieraz jeszcze przebywałem z nowo zaciężnymi! Gdyby ich nie tłuc kijem w brzuch i puklerzem po twarzy, nigdy by ich człek nie nauczył porządnie stać w szeregu. Gdy już wprawił się w tym, czego wymagano ode mnie, instruktor powierzył mi garść

<sup>130</sup>Scytowie, lp r.m. Scyta — wojowniczy koczownicy pochodzenia irańskiego, zamieszkujący w starożytności ziemie położone na północ i wschód od Morza Czarnego. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>cesarz Gracjan miał gwardię przyboczną złożoną z samych [...] Scytów i [...] zaczął się ubierać tak jak oni. [...] Coś równie niesłychanego, jak gdyby mój rodzony ojciec pomalował się na niebiesko! — tj. jakby ojciec, Rzymianin, przejął obyczaje Piktów, rdzennych mieszkańców Brytanii, którzy malowali i tatuowali całe ciała. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>Dioklecjan, Gaius Aurelius Valerius Diocletianus Augustus (244–311) — cesarz rzymski, za którego panowania cesarstwo rozpadło się na zachodnie i wschodnie. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>Wał Hadriana a. Mur Hadriana (ang. Hadrian's Wall a. Roman Wall) — system fortec połączonych z początku nasypem, następnie murem, chroniący południową, rzymską część Brytanii przed napadami Piktów z górzyściej północy, długi na ponad 100 km. Wał powstał w latach 121–129 n.e., a w 142 r. o 150 km na płu. od niego Rzymianie zbudowali drugą linię umocnień, Wał Antonina, który jednak musieli opuścić po kilkudziesięciu latach. [przypis edytorski]

Galów i Iberyjczyków<sup>134</sup> (prawdziwą garść, bo było to zgarnięte z najzapadlejszych kątów świata!), ażebym ich musztrował, póki nie będą przydzieleni do oddziałów w głębi kraju. Czyniłem, co w mej mocy, by zrobić z nich jakich takich żołnierzy. Pewnej nocy wybuchł nagle pożar w jednym z dworków na przedmieściu. Nim inne oddziały zdążyły się zebrać, już skrzyknąłem mą garstkę i wzięliśmy się do gaszenia ognia. Gdyśmy sobie podawali wiadrami wodę ze stawu, postrzegłem jakiegoś nie znanego mi człeka stojącego na łące. Wsparty na lasce, długo przyglądał się w spokoju naszej robocie, aż w końcu odezwał się do mnie: „Któżes ty zacz?”

„Nowicjusz oczekujący przydziału” — odrzekłem po prostu, nie wiedząc, jaki to potomek Deukaliona<sup>135</sup> stoi przede mną.

„Czyś rodem z Brytanii?” — on na to.

„Tak jest, a ty chyba jesteś z Hiszpanii!” — odparłem słysząc w jego słowach coś, co mi przypominało rzenie muła iberyjskiego.

„A jaki byś chciał mieć tytuł, gdy powrócisz do domu?” — spytał śmiejąc się.

„Zależy... raz taki, drugi raz owaki — odpowiedziałem. — Ale teraz jestem zajęty i nie mam czasu na gadanie!”

On się już nic nie odzywał, ale gdyśmy uratowali mienie rodzinne cnych właścicieli onego dworku, krzyknął na mnie i odezwał się spoza kuszcz<sup>136</sup> laurowego: „Słuchaj no, młody panie Taki-owaki! Odtąd będziesz się nazywał centurionem siódmej kohorty trzydziestego legionu, zwanego *Ulpia Victrix*. W ten sposób łatwiej mi będzie ciebie pamiętać. Co do mnie, to ojciec twój i inni jeszcze ludzie zwą mnie Maximusem<sup>137</sup>... To rzekłszy cisnął mi gładką laskę, na której był się wspierał, i oddalił się... Jam zasię myślał w oną chwilę, że mnie ta laska z nóg zwali!

— A kimże był ten człowiek? — spytał Dan.

— Był to sam Maximus, nasz wódz naczelny! Głównodowodzący wojsk rzymskich w Brytanii! Ten sam, który był prawą ręką Teodozjusza podczas wojny z Piktami! Nie dość, że wręczył mi osobiście laskę centuriońską, ale od razu awansował mnie o trzy stopnie... i to w tak słynnym legionie! Nowo zaciężny zazwyczaj rozpoczyna od służby w dziesiątej, odwodowej kohorcie... i musi ciężko dorabiać się każdego stopnia!

— Bardzo cię uradował ten awans? — zapytała Una.

— O tak! Byłem rad niezmiernie. Zrazu myślałem, iż Maximus wyróżnił mnie za mą dzielną postawę i za sprawność w marszu; atoli gdym powrócił do domu, *pater* wyjaśnił mi, że niegdyś służył pod rozkazami Maximusa w czasie wielkiej wojny piktyjskiej, przeto teraz uprosił u niego, by darzył mnie swą laską...

— Młokos jeszcze był z ciebie! — zawołał Puk ze swej gałęzi.

— Słusznie powiadasz — odrzekł Parnezjusz. — Nie bądźże zazdrosny z tego powodu, mój Faunie! Później... wiedzą bogowie, żem poniechał igraszek!

Puk skinął głową potakująco, podparłszy brodę brunatną dłonią i zapatrzywszy się kędyś w dal wielkimi, znieruchomiałymi oczyma.

— W wigilię mego odjazdu składaliśmy przodkom zwykłą, skromną domową ofiarę... ale pomnę, iż nigdy w życiu nie modliłem się tak żarliwie do wszystkich Manów... czyli łaskawych duchów... jak owego wieczora. Potem popłynąłem z ojcem łodzią do Regnum, stąd zaś poprzez kredowe wzgórki powędrowaliśmy na wschód do Anderidy.

— Co to Regnum?... Co to Anderida? — zapytały dzieci, zwracając twarzyczki w stronę Puka.

— Regnum to dziś Chichester — odrzekł Puk wskazując w stronę wiatraka — zaś Anderida to dzisiejsze Pevensey.

I wyciągnął rękę poza siebie, w kierunku południowym.

— Co? Znowu Pevensey? — zdziwił się Dan. — Czy tam, gdzie wylądował Weland?

— Nie tylko Weland, ale i wielu innych — odrzekł Puk. — Pevensey to niemłoda osada... nawet w porównaniu ze mną!

<sup>134</sup>Iberyjczy — mieszkańcy prowincji rzymskiej położonej na terenach dzisiejszej Hiszpanii. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>Deukalion (mit. gr.) — syn tytana Prometeusza i Pandory, jedyny ocalały z zesłanego przez Zeusa potopu. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>kuszcz (daw.) — krzak, krzew. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>Magnus Clemens Maximus (ok. 335–388) — wódz rzymski. [przypis edytorski]

— Kwatery główna trzydziestego legionu znajdowała się latem w Anderidzie, ale khorta siódma, do której należałem, stała na północy, na straży Wału. Maximus właśnie odbywał w Anderidzie przegląd wojsk posiłkowych (Abulków, jak mi się zdaje), więc zatrzymaliśmy się u niego, gdyż był on z dawną przyjaciele mego ojca. Ledwośmy tam przebyli dziesięć dni, gdy przysłano mi rozkaz, bym na czele trzydziestu ludzi przyłączył się do mej kohorty...

Tu Parnejusz zaśmiał się radośnie.

— Nigdy się nie zapomina pierwszej wyprawy wojennej! Szczęśliwszy byłem od cesarza, gdy wiodł mój oddział przez północną bramę obozu, gdy pozdrawialiśmy kolejno strażę oraz ołtarz Zwycięstwa.

— Jak? Jak? — zapytali jednocześnie Dan i Una.

Parnejusz uśmiechnął się i powstał lśnią przepyszną zbroją.

— O, w ten sposób! — odpowiedział i z wolna, precyzyjnie wykonał kolejno wszystkie tempa rzymskiego ukłonu wojskowego, który kończy się głuchym szczękiem tarczy opadającej na dawne miejsce poniżej łopatki.

— Hej! Niełatwo wykonać rzecz podobną! — zawołał Puk z uznaniem.

— Wyruszyliśmy w pełnym rynsztunku — mówił dalej Parnejusz usiadłszy. — Ale zaledwie droga weszła w Wielki Bór, moi ludzie poczęli oglądać się w stronę zwierząt juczych, by złożyć tarcze na ich grzbiecie: „O nie! — zawołałem. — W Anderidzie możecie się stroić i cackać jak kobiety, ale póki jesteście pod moim dowództwem, musicie dźwigać oręż i zbroję!”

„Ależ dziś taki upał! — rzecze jeden z nich. — A my nie mamy lekarza... Co będzie, jeśli nabawimy się gorączki albo porażenia słonecznego?”

„To umierajcie! — odparłem. — Rzym na tym nic nie straci, może nawet zyska! Tarcze na ramię! Do góry włócznie! Przysnurować sandały!”

„Niech ci się nie zdaje, żeś już cesarzem Brytanii!” — krzyknął jeden z tych drabów. Zdzielilem go natychmiast po głowie drzewcem włóczni i zapowiedziałem ludziom (byli to sami rodowici Rzymianie), że w razie najmniejszego rokoszu pozbędę się jednego z nich. Klnę się na światłość słoneczną, iż mówiłem szczerze! Moi dzicy Galowie w Clausentum nigdy do mnie nie odzywali się w ten sposób.

Gdy to się działo, z gęstwy paproci wyjechał konno Maximus w towarzystwie mego ojca i skierował się na drogę. Odziany był w purpurę, jak gdyby już dostąpił godności cesarskiej; nagolennice miał z białej skóry koźlej, lamowanej złotem. Na jego widok moi żołnierze rozpierchli się jak przepiórki. On przez czas jakiś nie odzywał się ani słowem, jeno spoglądał na nich, zmarszczywszy brwi nader groźnie. Potem kiwnął na nich palcem, a oni natychmiast zeszli się — a raczej przyczołgali — na miejsce zbiórki.

„Stańcie tu na słońcu, chłopcy!” — zawołał Maximus, a oni ustawili się w dwuszeregu na najprzykrzejszym kawałku gościńca. Maximus zwrócił się do mnie: „Jak byś postąpił, gdybym się tu nie był zjawił?”

„Zabiłbym tego człowieka!” — odpowiedziałem.

„Zabij go teraz! — rzekł Maximus. — On nawet palcem nie kiwnie”.

„Nie — odpowiedziałem. — Odebrałeś mi oto władzę nad tymi ludźmi. Byłbym tylko twoim katem, gdybym go zabił w tej chwili”. A czy wiecie, co to znaczyło? — To pytanie Parnejusz skierował do Dana.

— Rozumiem! — odrzekł chłopiec. — Byłby to przecie postępek nieładny.

— I ja to samo myślałem — rzekł Parnejusz. — Maximus zmarszczył się na moją odpowiedź i burknął: „O, ty nigdy nie będziesz cesarzem... ba, nawet wodzem armii!”

Milczałem na to, ale ojciec miał podobno zadowoloną minę, gdy mówił: „Przyszedłem tutaj, by zobaczyć, jak się prowadzisz”.

„No i zobaczyłeś! — rzekł Maximus. — Mnie już twój syn nie będzie potrzebny. Pozostanie do końca życia oficerem legionu... a mógł zostać prefektem jednej z moich prowincji. A teraz posil się z nami i wypij kielich wina. Twoi ludzie zaczekają, póki nie skończysz”.

Moja nieszczęśliwa trzydziestka stała nieruchomo, niby skórzane buklaki z winem, zalewając się rzęsiстым potem od słonecznego gorąca, zaś Maximus poprowadził nas na miejsce swego postoju, gdzie już służba zastawiła obiad.

Przywódca, Sprawiedliwość

„Za rok — powiadał nalewając nam własnoręcznie wino — będziesz wspominał, żeś siedział przy stole z cesarzem Brytanii... i Galii”.

„Owszem, owszem — wtrącił się *pater* — potrafisz kierować dwoma mułami: Galią i Brytanią”.

„A za pięć lat wspominać będziesz (to mówiąc podał mi puchar pełen szkarłatnego, korzeniami zaprawnego wina), żeś pił z cesarzem Rzymu!”

„O nie! Trzech mułów nie zdołasz już prowadzić! — zawołał *pater*. — Rozedrą cię na sztuki!”

„A wtedy, stojąc koło Wału, pośród wrzosowisk, zapłaczesz łzami gorzkimi, żeś przeżył urojoną sprawiedliwość ponad łaskę cesarza Rzymu!”

Siedziałem spokojnie, nic nie mówiąc. Nie należy głosu zabierać, gdy przemawia wódz odziany w purpurę.

„Ale nie gniewam się na ciebie — ciągnął dalej Maximus. — Zbyt wiele zawdzięczam twojemu ojcu...”

„Nie zawdzięczasz mi nic oprócz kilku rad, których nigdy nie słuchałeś” — odpowiedział ojciec.

„...przeto nie mogę wyrządzać krzywdy nikomu z waszej rodziny — ciągnął dalej Maximus. — Ba, możesz nawet być wybornym trybunem wojskowym, ale o ile wolno mi coś o tym powiedzieć, to życie całe upłynie ci koło Wału i tu umrzesz...”

„Możliwe — ozwał się mój ojciec. — Ale niezadługo mogą tu wtargnąć Piktowie oraz ich sprzymierzeńcy. Nie można przeto zabierać wszystkich wojsk z Brytanii, by zdobywać dla ciebie władzę cesarską. Wszak niepodobna liczyć na to, że na północy będzie wiecznie trwał spokój”.

„Idę tam, gdzie mnie los woła” — odparł Maximus.

„Owszem, idź za nim — burknął ojciec wyrywając rosnącą obok paproć. — Idź i gin, jak zginął Teodozjusz!”

„Ach! — westchnął Maximus. — Mój stary wódz zginął za to, iż zbyt wiernie służył cesarstwu. I ja może zginę... ale nie z tego powodu...” I okraślił usta dziwnym jakimś, smętnym uśmiechem, od którego krew mi się ścięła w żyłach.

„Wobec tego i ja pójdę tam, gdzie mnie los powołuje — odezwałem się. — Biorę mych ludzi i ruszam pełnić straż koło Wału”.

On patrzył na mnie długo, pochylając na bok głowę, jak to mają we zwyczaju Hiszpanie, a w końcu rzekł: „Idź, mój chłopcze!” Na tym skończyła się nasza rozmowa. Zbyt radowałem się odmarszem, bym mógł pamiętać o licznych zleceniach, jakie miałem dać moim domownikom. Ludzi swoich znalazłem tam, gdzie ich pozostawiłem; pomimo kurzu i skwaru nie ruszyli się nawet na krok z miejsca. Zaczęliśmy kroczyć naprzód, ale ów straszliwy uśmiech ciągnął, niby wschodni wiatr, w ślad za mną. Nie zatrzymaliśmy się aż do zachodu słońca... a wtedy urządziliśmy postój... o tam! — To mówiąc odwrócił się w stronę Pukowej Górki i wskazał na zarosły jeżynami grzbiet Kuźnicznej Grapy, poza chatą starego Hobdena.

— Co? Tam? Przecież tam jest tylko stara kuźnia... gdzie kiedyś kuto żelazo! — zawołał Dan.

— I dobre to było żelazo! — rzekł Parnejusz spokojnie. — Tu dałem do naprawy trzy płyty naramienne oraz kazałem znitować grot włóczni. Kuźnię dzierżawił od rządu jednooki kowal z Kartaginy<sup>138</sup>, którego (jak sobie przypominam) nazywaliśmy Cyklopem<sup>139</sup>. Kupiłem odeń błam skór bobrowych które podarowałem potem siostrze, by sobie nimi wysłała podłogę w swej świetlicy.

— Ależ to chyba nie mogło być tutaj! — upierał się Dan.

— Właśnie, że było! Od ołtarza Zwycięstwa w Anderidzie aż do pierwszej kuźni w tym lesie jest dwanaście mil i siedemset kroków. Wszystko to zawiera się w mej marszrucie. Nie tak to łatwo zapomnieć pierwszą wyprawę wojenną. Mógłbym wyliczyć wam wszystkie miejsca postoju między tą miejscowością i...

Pochylił się naprzód, a oczy jego zatrzymały się na zachodzącym słońcu, które zniżyło się już do szczytu wzgórza Cherry Clack i przesączało swe blaski pomiędzy pniami drzew.

<sup>138</sup>*Kartagina* — miasto fenickie na wybrzeżu Afryki (w miejscu, gdzie dziś leży Tunis), stolica imperium morskiego, pokonanego przez Rzymian ostatecznie w 146 r. p.n.e. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>*cyklop* (mit. gr.) — olbrzym z jednym okiem pośrodku czoła. [przypis edytorski]

Wnętrze Dalekiego Boru było przetkane czerwienią, złotem i czernią, a zbroja Parnejusza jarzyła się jak gdyby ogarnięta płomieniem.

— Zaczekajcie chwilę! — zawołał podnosząc rękę, a blaski słoneczne zaiskrzyły się na jego szklanej bransolecie. — Zaczekajcie! Odprawię modły do Mitry<sup>140</sup>!

Powstał i wyciągnął ręce w stronę zachodu, nucąc poważnym głosem jakieś uroczyście brzmiące słowa.

W chwilę później i Puk przyłączył się do śpiewu, wtórując głosem przypominającym gędbę dzwonów. Nim pieśń ukończył, ześliznął się z Volaterrae<sup>141</sup> na ziemię i dał dzieciom znak ręką, by za nim poszły. Ruszyły więc w drogę, a gdy szły, wydawało się im, że ów śpiew gna je naprzód i prowadzi kędyś bezwolnie. Szły więc i szły w miedzianozłocistej poświatli rozlewającej się po listkach brzoźowych. Puk, idąc pośrodku, nucił jakąś pieśń dziwną, z której można było wyróżnić słowa:

*Cur mundus militat sub vana gloria,  
cuius prosperitas est transitoria?  
Tam cito labitur eius potentia,  
quam vasa figuli, quae sunt fragilia!*

(Przecz<sup>142</sup> świat wojuje dla próżnej chwały,  
skoro blask szczęścia tak jest nietrwały?  
Moc jego rychło pęka i ginie  
jako gliniane kruche naczynie!)

Znaleźli się, sami nie wiedząc kiedy, przy zamkniętej drewnianej furtce ogrodu.

*Quo Caesar abiit, celsus imperio?  
vel dives, splendidus totus in prandio  
dic, ubi Tullius...*

(Gdzie dzisiaj Cezar, z władzy swej dumny?  
Gdzie uczt Lukulla<sup>143</sup> przepych dziś szumny?  
Gdzie Marek Tuliusz<sup>144</sup>, słynny wymową?...)

Śpiewając ciągle, Puk ujął Dana za rękę i tak nim zakręcił, iż chłopak znalazł się naprzeciw Uny przechodzącej właśnie przez furtkę. Furtka zamknęła się, a w tejsze chwili Pak rzucił dzieciom na głowę trzy czarodziejskie, niepamięć przynoszące listki: dębu, głogu i jesionu.

— No, no, ale się spóźniłeś! — zawołała Una. — Czy nie mogłeś wcześniej wyjść z domu?

— Owszem, wybrałem się już dość dawno, ale... ale nie wiedziałem, że to tak późno. Gdzieś ty była?

— W Volaterrae... Czekałam na ciebie!

— Bardzo cię przeraszam — rzekł Dan. — Wszystkiemu winna ta okropna łącina...

## PIEŚŃ RZYMIANINA URODZONEGO W BRYTANII<sup>145</sup>

Dziadowi memu był on nieznajomy...  
I ja też nie wiem, czy w mym życiu całem<sup>146</sup>

<sup>140</sup>Mitra (mit. indoirañska) — bóg światła i prawdy, czczony także wśród Rzymian w pierwszych wiekach naszej ery; wierni przechodzili kolejne stopnie wtajemniczenia („gryfa”, „lwa” itp.), jednym z ważnych obrzędów była ofiara z byka, składana w tajemnicy w podziemiach. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>Volaterrae — miasto, niegdyś etruskie, w Italii; dzisiaj nosi nazwę Volterra. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>przecz (daw.) — dlaczego, czemu. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>Lucius Licinius Lucullus (109–57) — rzym. wódz i polityk, słynny z wystawnego życia. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>Marek Tuliusz Cyncero, Marcus Tullius Cicero (106–43) — rzym. pisarz i mówca. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>Pieśń rzymsianina urodzonego w Brytanii — w wersji ang.: A british-roman song (A.D. 406). [przypis edytorski]

<sup>146</sup>całem — dziś popr. forma: całym. [przypis edytorski]

dane mi będzie — szczęśliwym udziałem —  
ujrzeć gród Romy:

gród ten prześwietny, w sztuk wszelkich diademie,  
boskich i ludzkich rąk dzieło olbrzymkie —  
gród, pod którego pieczęią stare rzymskie  
wyrosło plemię...

Oby zeń wyszło nowe pokolenie,  
co by, nie bacząc na znoje i złomy,  
walczyło trzykroć mężnie, niestrudzenie,  
na chwałę Romy!

Serce, potrójnym okryte pancerzem,  
bij mocno, tętnij mocą swą odwieczną  
w całym cesarstwie! Wszak z ciebie serdeczną  
krew naszą bierzem —

Miasto, Serce

my, syny twoje, choć nie żyjem blisko  
twoich wzgórz siedmiu kochamy cię! Któż by  
w biedzie ci skąpił pomocy i służby,  
państwa ognisko?

#### 6. POD WAŁEM HADRIANA

Kiedy przez mą Lalusię opuszczałem Rzym,  
krocząc szlakiem legionów do Rimini  
(do Ri-, do Ri-, do Rimini),  
przysięgała, że ze mną i z puklarzem mym  
jej serduszko podąży do Rimini  
(do Ri-, do Ri-, do Rimini!)

Ale orły znów w dalszy puściły się bieg:  
żołnierz za swym sztandarem iść musi!  
Więc zwiedziłem Brytanię i galicki brzeg,  
i krainę pontyjską<sup>147</sup>, kędy sypie się śnieg —  
śnieg tak biały jak szyja Lalusi  
(La-la-la, La-la-la-la, Lalusi!),  
a tak zimny jak serce Lalusi!  
(La-Ia-la-lalalala! Lalusi!)

I rzuciłem Brytanię, i rzuciłem Pont,  
i rzuciłem w Rzymie spokojny kąć —

(Z głosu śpiewaka nie znać było, by się zbyt głęboko przejmował tymi stratami):

urojonej ufając pokusie!  
I rzuciłem też Galię... Lecz największy błąd,  
że rzuciłem... rzuciłem Lalusię!  
(La-la-la! La-la-la! Lalage! Lalage!  
Lalala-lalalala! Lalusię! )

<sup>147</sup>kraina pontyjska — Pont, prowincja rzym. w Azji Mniejszej. [przypis edytorski]

Dzieci stały właśnie koło furtki wychodzącej w stronę Dalekiego Boru, gdy posłyszały to śpiewanie. Nie mówiąc ni słowa pobiegły pędem do znanej im dziury w płocie i tak nie zważały na nic po drodze, iż o mało nie przydeptały sójki, która właśnie jadła z ręki Puka.

— Pomału! — zawołał Puk. — Kogóż tu szukacie?

— A kogóż by, jak nie Parnejusza! — odpowiedział Dan. — Dopiero teraz przypomnieliśmy sobie, co się wczoraj działo! O, nieładnie z nami postępujesz!

Puk parsknął śmiechem powstając z ziemi.

— Bardzo was przepraszam... ale dzieci, które spędziły pół dnia ze mną i rzymskim centurionem, muszą otrzymać dawkę czarodziejskiego środka na uspokojenie nerwów, zanim zasiądą do podwieczorku z guwernantką. Hej, Parnejuszu! Bywajże, bywaj!

— Jestem na twe zawołanie, mości Faunie! — zabrzmiała odpowiedź od strony Volaterrae. Dzieci dostrzegły błysk spiżowej zbroi pomiędzy kępami brzoź oraz przyjazne migotanie jego wielkiej tarczy podniesionej w górę.

— Cha! Cha! Cha! — śmiał się jak dziecko Parnejusz. — Wypędziłem Brytańczyków i zająłem ich warownię! Ale Rzym jest wspaniałomyślny! Pozwalam wam przyjść tu na górę!

Przeto wygramolili się wszyscy na majdan forteczny.

— Cóż to była za piosnka, którą śpiewałeś przed chwilą? — zapytała Una usiadłszy.

— Ta piosnka?... E, to „Rimini”. To jedna z tych śpiewek, które ustawicznie wędrują po całym cesarstwie. Szerzą się jak zaraza przez pół roku, czasem przez rok, póki nie spodoba się legionistom jakaś inna melodia, w której takt mogliby maszerować.

— Opowiedz im coś o waszych marszach, Parnejuszu — prosił Puk. — Dziś tak niewielu ludzi przebywa pieszo całą tę krainę!

— Tym gorzej dla nich! — odrzekł Parnejusz. — Gdy nogi odpowiednio się zahartują, nie ma nic przyjemniejszego i zdrowszego nad dalekie marsze. Wyrusza się, ledwo podniosą mgły poranne, a dobija się do celu w jaką godzinę po zachodzie słońca.

— A cóżecie mieli do jedzenia w czasie drogi? — zapytał Dan pośpiesznie.

— Słoninę, bób i chleb, a czasem i wino, jeżeli udało się go nieco zdobyć w gospodzie. Ale żołnierze są już z urodzenia nieznośnymi zrzędami. Otóż zaraz pierwszego dnia moi ludzie poczęli utyskiwać na nasze brytańskie zboże, zmielone w wodnym młynie, twierdząc, iż nie jest ono tak pożywne jak ta drapiąca w gardle strawa, którą miele się w żarnach obracanych przez rzymskie woły. Ostatecznie jednak musieli przynieść tej naszej mąki i nią się pożywiać.

— Przynieść? A skąd? — zapytała Una.

— Z tego nowoczesnego młyna poza kuźnię.

— Z młyna za kuźnię? Toż to nasz młyn! — zawołała Una spoglądając na Puka.

— Tak jest! Wasz młyn! — odpowiedział Puk. — A jak się wam zdaje, ile lat on sobie liczy?

— Nie mam pojęcia. Czy pan Ryszard Dalyngridge o nim opowiadał?

— Opowiadał... — odrzekł Puk. — Ale już za czasów pana Ryszarda był on bardzo stary; liczył sobie kilka ładnych stuleci.

— Za moich czasów był on jeszcze nowy — rzekł Parnejusz. — Moi żołnierze, wyspawszy sobie mąkę do hełmów, patrzyli na nią z obrzydzeniem, jak na jakie kłębowisko żmij, oczywiście chcąc mnie wytrącić z równowagi. Ale ja tylko... przemówiłem do nich... i od razu zawarliśmy przyjaźń. Przyznać się muszę, że od nich nauczyłem się rzymskiego tempa marszu. Jak wiecie, poprzednio służyłem jedynie w oddziałach posiłkowych, które się w marszu spieszą jak szewcy na jarmark. Zgoła inny jest krok legionistów: długi, powolny, miarowy, nie zmieniający się od rana do wieczora. „Tempo żołnierskiego chodu — cecha rzymskiego narodu”, powiada przysłowie. Dwadzieścia cztery mile w ciągu ośmiu godzin: ani mniej, ani więcej. Głowa i włócznia do góry, tarcza na plecach, pancerz rozchylony przy szyi na szerokość dłoni — w taki sposób odbywaliśmy wraz z naszymi orłami marsze przez Brytanię.

— A czy mieliście jakie przygody? — zapytał Dan.

— Na południe od Wału trudno o przygodę — odparł Parnejusz. — Najgorszym kłopotem, jaki mi się zdarzył, było to, że musiałem raz udać się do urzędnika w północnej części kraju, wnosząc zażalenie na jakiegoś wędrownego filozofa, który sobie podrwiwał

z naszych orłów. Wykazałem jak na dłoni, że ten nieborak umyślnie nam zagroził drogę; wówczas urzędnik jął szperać w swej księdze i oświadczył filozofowi, że bez względu na to, jakich bogów wyznaje, powinien okazać należną cześć Cezarowi.

— I cóż wtedy zrobiłeś? — zapytał Dan.

— Ano, cóż? Poszedłem dalej! Po cóż miałem wtrącać się do nie swoich spraw, gdy mym jedynym celem było jak najszybsze dotarcie do wyznaczonego mi stanowiska? I tak maszerowałem przez dwadzieścia dni... Oczywiście, im dalej na północ, tym mniej spotyka się ludzi na drodze. W końcu człek wychodzi z lasów i musi piąć się na nagie wzgórza, gdzie wyją wilcy wśród zwalisk dawnych grodów. Nie ma tu ani pięknych dziewcząt, ani dobrodusznych urzędników, którzy znali twego ojca i zapraszają cię w gościnę do siebie. Nie posłyszysz plotek koło świątyń i etapów, chyba jakie złowrogie wieści o dzikich zwierzętach. Spotkać tam bowiem można myśliwców i dostawców zwierząt cyrkowych, którzy wloką na łańcuchu spętane niedźwiedzie i wilki w kagańcach. Koń twój płoszy się na ich widok, a twoi ludzie mają powód do uciechy. Zamiast dworów i ogrodów raz po raz obaczysz zamknięte zewsząd warownie, opatrzone basztami-strażnicami z szarego kamienia, i wielkie, murem kamiennym opasane owczarnie, strzeżone przez zbrojnych Brytańczyków z Północnego Wybrzeża. Na wierzchołkach nagich gór, poza nie osłoniętymi domami, uganiają cienie chmur niby hufce pędzącej konnicy i widać kłęby czarnego dymu wynoszącego się znad kopalń i kamieniołomów. Uciążliwa droga snuje się bez końca, bez końca... wiatr poświstuje ci w pióropuszu... mijasz ołtarze, poświęcone legionom i wodzom już zapomnianym, strzaskane posągi bogów i bohaterów oraz tysiące mogił, spoza których wyglądają ku tobie górskie lisy i zające. Upalna w lecie, a mroźna w zimie jest owa rozległa kraina, pełna złomisk skalnych i krasnych wrzosowisk. A gdy już ci się zdaje, żeś dotarł na sam koniec świata, widzisz nagle dym ciągnący się, jak zasięgnąć okiem od wschodu na zachód, a potem pod jego pokrowcem obaczysz wszędy gromadki domów, świątyń, sklepów, teatrów, koszar i spichlerzy, porozrzucane niby kości do gry po jednej (i zawsze tylko jednej) stronie długiego, niezbyt wysokiego rzędu wieżyc, to wznoszącego się wzwyż, to opadającego, to chowającego się w załomach gruntu, to znów ukazującego się wyraziście. To właśnie ów słynny Mur!

— Ach! — westchnęły dzieci, dotąd z zapartym oddechem słuchające tego opowiadania.

— Rozumiem wasze zdumienie! — rzekł Parnejusz. — Nawet starzy wiarusi, którzy od lat pacholących szli pod znakami legionów, powiadają, że w całym cesarstwie nic nie sprawia takiego wrażenia jak ten mur oglądany po raz pierwszy!

— A czy to naprawdę taki mur... jak dokoła warzywnego ogrodu? — zapytał Dan.

— O nie! To ów sławny mur, o którym wam już wspominałem. Wznoszą się tam potężne baszty, poprzegradzane szeregiem mniejszych wieżyczek, służących za strażnice. Mur tak szeroki, że nawet w najwęższym miejscu trzech ludzie zbrojni z tarczami na ramieniu mogą iść jeden obok drugiego, przechodząc od strażnicy do strażnicy. Wzdłuż jego górnej powierzchni ciągnie się z dwu stron niski ochronny murek, sięgający ludziom ledwie do szyi, tak iż z daleka widać jedynie hełmy straży przesuwające się to w jedną, to w drugą stronę niby paciorki. Mur jest na trzydzieści stóp wysoki, a od strony Piktów, to jest od północy, znajduje się głęboka fosa, usiana brzeszczotami starych mieczy, grotami włóczni natkniętych na drzewce i obręczami kół nawleczonymi na łańcuchy. Mały Lud nieraz tu się zakrada, by kraść żelastwo na ostrza swych strzał.

Atoli miasto, rozpostarte pod murem po jego południowej stronie, nie mniejszego godne jest podziwu. Dawniejszymi czasy były tu jeno okopy i rowy, a nikomu nie pozwalano wznosić trwałych budowli. Teraz owe szanice przeważnie poburzone i przebudowano wzdłuż całego muru, tak iż utworzyło się miasto ciągnące się wąskim pasem na przestrzeni ośmiu mil. Wyobraźcie sobie tylko: takie miasto ciągnące się nieprzerwanie od Ituny do Segedunum, od zachodu aż do chłodnego wschodniego wybrzeża, miasto gwarne, zgiełkliwe i ruchliwe, w którym raz po raz obaczysz to walki kogutów, to konne wyścigi, to znów oblawę na wilki! Po jednej stronie muru wielkie bory, zwaliska i wrzosowe rozłogi, w których ukrywają się Piktowie, po drugiej zaś olbrzymie miasto, długie niby wąż i jako wąż złośliwe a podstępne. Doprawdy, był to jakby wąż wylegujący się pod ścianą nagrzaną słońcem!

Miasto



Moja kohorta, jak mi oznajmiono, znajdowała się w Hunno, gdzie wielki gościniec północny wychodzi na drugą stronę muru, do prowincji zwanej Walencja. — Tu Parnezjusz roześmiał się. — Prowincja Walencja! Szliśmy przeto gościńcem do owego miasta Hunno, a gdyśmy do niego dotarli, stanęliśmy w osłupieniu. Ujrzelśmy istny kiermasz... w którym uczestniczyły wszystkie narody ze wszystkich zakątków cesarstwa. Jedni brali udział w wyścigach konnych, inni siedzieli za stołem w winiarni, inni przyglądali się ogarom szczwanym na niedźwiedzie, wielu zaś gromadziło się w jakimś rowie, by patrzeć na walkę kogutów. Jakiś młokos, niewiele starszy ode mnie, lecz mający (jako widziałem) szarżę oficerską, osadził przede mną konia i spytał, czego szukam.

„Mego oddziału” — odpowiedziałem pokazując swoją tarczę. — To mówiąc Parnezjusz podniósł tarczę, na której widniały trzy rzymskie dziesiątki, podobne do liter, jakie widuje się na beczułkach wina.

„Szczęśliwy omen! — zawołał młodzik. — Wasza kohorta pełni służbę na wieży sąsiadującej z naszą, ale wszyscy żołnierze właśnie poszli przyglądać się walce kogutów. Bawimy się tu doskonale. Chodź ze mną, to oblejemy nasze orły!” Miało to znaczyć, że chce mnie poczęstować winem.

„Owszem, pójdę z tobą, ale wpierw muszę zameldować przybycie mych ludzi” — odpowiedziałem, czując gniew i wstyd jednocześnie.

„E, wkrótce wyrośniesz z tego dzieciństwa! — ofuknął mnie ów kolega. — To ci dopiero służbista! Ale nie chcę szkodzić twej karierze. Idź no dalej, do posągu bogini Romy... trafisz do niego z pewnością! Główny gościniec, który wiedzie do Walencji!” Roześmiał się głośno i odjechał. Posąg wspomniany było widać o jakie ćwierć mili, więc poszedłem wprost ku niemu. Swojego czasu przechodził tędy główny gościniec do Walencji, ale obecnie z obawy przed najazdami Piktów zatarasowano bramę, a na bruku przed murem ktoś wyskrobał słowo: „*Finis*”<sup>148</sup>! Weszliśmy tam niby do jakiej jaskini. Stanąwszy, przybiliśmy krok ostatni i jak jeden mąż zatknęliśmy w ziemię trzydzieści włóczni. Echo huknęło z arkady jak z wnętrza beczki, jednakże nikt nie wyszedł na nasze spotkanie. Po jednej stronie były drzwi, na których widniała wymalowana nasza cyfra. Weszliśmy cichaczem do środka. Znalazłszy tam śpiącego kucharza, rozkazałem mu, by dał nam co do jedzenia, po czym wdrapałem się na szczyt muru, by rozejrzeć się po krainie piktyjskiej i... zacząłem rozmyślać... Zamurowana brama sklepiona, przed którą na bruku wypisano „*Finis!*”, wywarła na mnie przygnębiające wrażenie, bom przecie był jeszcze niemal pacholęciem...

— Jakież to przykre! — rozżaliła się Una. — Ale potem chyba ci było weselej, gdy dostałeś dobry...

Dan trącił ją łokciem, nie pozwalając dokończyć zaczętego słowa.

— Weselej? — gorzko uśmiechnął się Parnezjusz. — Miało mi być wesoło, gdy żołnierze kohorty, którą miałem dowodzić, bez hełmów przyszli z walki kogutów, niosąc ptaki pod pachą, i pytali mnie, ktom *zacz*<sup>149</sup>? Nie, nie było mi wesoło... ale i moja nowa kohorta też niebawem czuła się niewesoło... Napisałem do matki, że mam się dobrze, ale powiadam wam, moi drodzy — to mówiąc wyciągnął ręce ponad obnażonymi kolanami — powiadam wam, że najgorszemu z mych nieprzyjaciół nie życzyłbym takich cierpień i udręczeń, jakich doznawałem przez pierwsze miesiące mego pobytu przy Wale! Pomyślcie sobie: oprócz mnie (ja zaś myślałem, że postradał łaskę mego wodza Maximusa) był pomiędzy oficerami może jeden taki, który nie miał na sumieniu jakiegoś głupstwa lub złego postępku. Ten zabił człowieka, ów przywłaszczył sobie cudzy grosz, inny ubliżył któremuś z urzędników lub bluźnił bogom... i za to posłano ich pod Wał, by tu ukryli się przed hańbą lub karą. I tacy to ludzie stanowili naszą starszyznę... a miejcie w pamięci, że załoga Wału była prawdziwą zbieraniną wszelkich warstw społecznych i plemion naszego cesarstwa. Na każdej wieży mówiono innym językiem i czczono inne bogi. W jednej rzeczy wszakże wszyscy byli wzajem sobie podobni. Bez względu na to, jaką bronią posługiwał się kto z nas przed przybyciem w to miejsce, każdy na Wale Hadriana musiał stać się, za wzorem Scytów, łucznikiem. Przed strzałą Pikt nie ucieknie ani się pod nią nie przemknie, zresztą sam też łucznikiem jest wyborym. On się zna na tym!

<sup>148</sup>*finis* (łac.) — koniec. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>*ktom zacz* (daw.) — kim jestem. [przypis edytorski]

— Przypuszczam, że musieliście toczyć ciągle walki z Piktami — rzekł Dan.

— O nie! Piktowie rzadko występują do walki. Przez całe pół roku nie zdarzyło mi się obaczyć Pikta nawet na lekarstwo. Oblaskawieni Piktowie opowiadali nam, że ich dzicy pobratymcy wszyscy wywedrowali na północ.

— Co to znaczy „oblaskawieni Piktowie”? — zaciekał się Dan.

— Ano, tacy Piktowie (a jest ich wielu), którzy znają nieco wyrazów naszej mowy i przekradają się przez Wał, by sprzedawać nam kuce i psy wilczury. Bez konia, psa i przyjaciela człowiek zginąłby snadnie. Bogowie dali mi psa i konia, i przyjaciela, a pomnij, mój chłopcze, gdy wyrośniesz na młodzieńca, że nie ma daru tak cennego jak przyjaźń, albowiem los twój może zależeć od tego, kto ci będzie pierwszym w życiu prawdziwym przyjacielem.

— Słowa jego mają oznaczać — rzekł Puk szczerząc zęby — że jeżeli postarasz się sam być dobrym kolegą za lat młodych, to na pewno w latach dojrzałych będziesz się przyjaźnił z przyzwoitymi ludźmi. Jeżeli będziesz łobuzem, to będziesz miał samych łobuzów za towarzyszy swego żywota. Posłuchajcie, jak cnotliwy Parnejusz rozprawia o przyjaźni!

— Nie jestem znowu tak cnotliwy! — odrzekł Parnejusz. — W każdym razie wiem, co to dobroć. Co się zaś tyczy mojego przyjaciela, to chociaż nie miał się czego spodziewać, jednakże był dziesięć tysięcy razy lepszy ode mnie. Przestań się śmiać, mości Faunie!

— Och młodości, co wiecznie wszystkiemu wierzysz! — zawołał Puk kołysząc się na gałęzi nad jego głową. — Opowiedzcie im o twoim Pertinaxie!

— On to był tym przyjacielem, którego zesłali mi bogowie... Ten chłopak, który mnie zaczął w dniu mojego przybycia. Był mało co starszy ode mnie, a dowodził kohortą Victoria Augusta, stojącą na wieży sąsiadującej z nami i z Numidyjczykami. Dzielnością i zaletami rycerskimi przewyższał mnie znacznie.

— Dlaczego więc przebywał na Wale? — skwapliwie zapytała Una. — Przecież sam mówiłeś, że każdy z ludzi, którzy tam stali, nabroił coś złego...

— Z nim było zgoła inaczej. Utraciwszy ojca, chował się w Galii pod opieką wuja, bogatego człowieka, który nie zawsze odnosił się uprzejmie do jego matki. Gdy Pertinax dorósł, wykrął różne jego sprawki, przeto wuj przemocą i fortelem wsadził go na okręt i wysłał na służbę przy Wale. Zapoznaliśmy się z sobą podczas obrzędu w naszym przybytku... po ciemku. Była to ofiara byka — objaśnił Parnejusz Pukowi.

— Wiem, o co ci chodzi! — odrzekł Puk i zwrócił się do dzieci: — Ale wy jeszcze byście wszystkiego nie rozumieli. Parnejusz chce przez to powiedzieć, że spotkał się z Pertinaxem w świątyni.

— Tak... spotkaliśmy się najpierw w pieczarze... i obaj zostaliśmy podniesieni do stopnia Gryfów. — To mówiąc Parnejusz podniósł na chwilę rękę ku szyi. — On był już dwa lata na Wale, przeto dobrze znał Piktów. Od niego nauczyłem się, jak trzeba nosić wrzos.

— Co to znaczy? — zapytał Dan.

— Znaczy to tyle, co chodzić z oblaskawionym Piktym na wyprawę łowiecką w głąb kraju piktyjskiego. Póki jesteś gościem tego Pikta i nosisz gałązkę wrzosu na widocznym miejscu, póty możesz czuć się tam całkiem bezpiecznie. Jeżelibyś wyprawiał się tam samopas, zabito by cię z pewnością, o ile byś przedtem sam nie utopił się w bagnach. Prócz Piktów nikt nie zna drogi przez owe ciemne i zdradzieckie trzęsawiska. Stary Allo, jednooki, cherlawy Pikt, od którego kupowaliśmy koniki, był naszym zażyłym przyjacielem. Początkowo wyprawialiśmy się tam jedynie po to, by uciec od owego straszliwego miasta i pogawędzić o naszych rodzinnych sprawach. Potem Allo nauczył nas polować na wilki i na wielkie jelenie o rogach podobnych do żydowskich świeczników. Rodowici rzymscy oficerowie patrzyli na nas z pewną pogardą, ale myśmy woleli wrzosowiska niżli ich zabawy. Wierzaj mi — tu Parnejusz zwrócił się do Dana — że chłopak rychło pozbędzie się wszelkich zmartwień i kłopotów, gdy jedzie oklep na koniu lub ściga zwierzynę. Czy przypominasz sobie, mój Faunie — tu zwrócił się do Puka — ten mały ołtarz, który wzniosłem ku czci Pana Sylwana<sup>150</sup> koło lasu sosnowego za potokiem?

<sup>150</sup>*Pan Sylwan, Silvanus* (mit. gr. i rzym.) — bóg lasów i łąk, odpowiednik gr. Pana. [przypis edytorski]

— Jaki ołtarz? Czy ten kamienny z sentencją z Ksenofonta<sup>151</sup>? — zapytał Puk odmiennym niż dotąd głosem.

— Nie. Nie znam wcale Ksenofonta. Ten ołtarz chyba wznosił Pertinax, gdy mu się udało przypadkiem strzelać z łuku ustrzelić zająca. Ja swój ołtarz usypałem z okrągłych kamyczków na pamiątkę pierwszego niedźwiedzia, którego zabił. Cały dzień trzymałem się nad budową.

To rzekłszy zwrócił twarz śpiesznie ku dzieciom.

— W ten to sposób żyliśmy przez dwa lata koło Wału. Od czasu do czasu miewaliśmy drobne utarczki z Piktami, po większej części jednakże czas nam płynął na polowaniach w krainie piktyjskiej, w towarzystwie starego Allo. On nas zwykle nazywał swymi dziećmi, a myśmy bardzo polubili jego i jego barbarzyńskich rodaków, chociaż nigdy nie zezwoliliśmy na to, by nas pomalowali na sposób piktyjski. Ślady tego malowania pozostają aż do śmierci.

— A jak to się robi? — spytał Dan. — Czy to coś podobnego do tatuowania?

— Nakłuwa się skórę do krwi, a potem się wciera różnobarwne soki roślinne. Allo był malowany na niebiesko, czerwono i zielono od stóp do głów i powiadał, że to należy do powinności ich religii. O tej swojej religii często nam opowiadał (Pertinax bardzo się interesował takimi sprawami), a gdyśmy się dobrze z nim pokumali, opowiadał nam i o tym, co działo się w Brytanii poza murem. A działo się podówczas bardzo wiele poza naszymi plecami. Świadczyć się światłością słoneczną — dodał poważnym głosem — że niewiele było takich zdarzeń, o których by ci mali ludzie natychmiast nie byli powiadomieni. Allo opowiedział mi o tym, jak to Maximus przeprawił się do Galii, ogłosiwszy się w Brytanii cesarzem, i jakie wojska, i jakie zastępy wychodźców z nim podążyły. Do nas na Wał te wiadomości dotarły dopiero po upływie dni piętnastu. Potem on nam opowiadał, jakie wojska brał z sobą co miesiąca Maximus, by pomagały mu w zdobywaniu Galii... a przekonywałem się, że podane przez niego liczby zawsze były ściśle. Opowiem wam jeszcze jedną rzecz dziwną...

Oplótł dłońmi kolana i oparł głowę o brzeg leżącej poza nim tarczy.

— Późnym latem, gdy zaczynają się pierwsze przymrozki, a Piktowie wykurzają pszczoły z barci, wzięliśmy kilka młodych ogarów i pojechaliśmy na łowy za wilkiem. Nasz wódz, Rutilianus, dał nam dziesięć dni urlopu, więc wyruszyliśmy poza drugi wał, opasujący prowincję Walencję, wdzierając się w wyższe góry, kędy nie ma nawet śladu dawnych zwalisk rzymskich. Przed południem ubiliśmy niedźwiedzicę; Allo zaczął obdzierać ją ze skóry. Naraz spojrzał w górę i tak mówi do mnie: „Gdy będziesz komendantem Wału, moje dziecko, nie będziesz mógł już tak się zabawiać”.

Równie dobrze mogłem zostać prefektem dolnej Galii, przeto roześmiałem się na owe słowa i rzekłem: „Poczekaj no, aż zostanę tym komendantem!” „Nie, nie czekajmy! — odrzekł Allo. — Posłuchajcie mej rady i wracajcie obaj do domu!” „Ależ my nie mamy domu! — rzekł Pertinax. — Wiesz przecie o tym równie dobrze jak my. Nasza kariera już się skończyła... Przeciwno nam obu zagięto w dół palec na znak niełaski. Jedynie ludzie nie mający nic do stracenia mogą narażać się na skręcenie karku na waszych kucykach”. Pocziwiec roześmiał się tak, jak to się śmieją Piktowie... krótkim, urywanym śmiechem, przypominającym szczekanie lisa w noc mroźną. „Kocham was wielce — rzekł po prostu. — Zresztą, jeżeli znacie się nieco na łowach, mnie to jeno zawdzięczacie. Posłuchajcie mej rady i wracajcie do domu”.

„Nie możemy — odpowiedziałem. — Po pierwsze bowiem, ja utraciłem względy mego dowódcy, po wtóre zaś Pertinax ma wuja...”

„O jego wuju nic mi nie wiadomo — odrzekł Allo — ale z tobą, Parnezjuszu, jest kłopot... Twój wódz ma o tobie dobre mniemanie”.

„*Roma Dea!* — zawołał Pertinax podnosząc się z legowiska. — A skądże ty możesz wiedzieć, oo myśli Maximus, stary kobyłowłoku?”

W tejże chwili tuż za nami wyskoczyło olbrzymie wilczysko (czy wiecie, jak blisko umieją podpełznąć dzikie zwierzęta, gdy ludzie zajęci są posiłkiem?). Nasze psy, dobrze wypoczęte, puściły się za nim w pogoń, my zaś podążyliśmy ich tropem. Wilk biegł i biegł, aż zaciągnął nas w jakąś odległą okolicę, nie znaną nawet ze słyszenia. Biegliśmy

<sup>151</sup>*Ksenofont* (430–354 p.n.e.) — gr. historyk grecki. [przypis edytorski]

nieprzerwanie, prosto jak strzała, aż do zachodu słońca i właśnie w tę stronę, gdzie zachodziło słońce. Na koniec dotarliśmy do długich mierzei, wijących się pośród krętych strug rzecznych, a u stóp naszych, na szarym wybrzeżu morskim, obaczyliśmy wyciągnięte na ląd okręty. Naliczyliśmy ich czterdzieści siedem; nie były to rzymskie galery, ale czarnoskrzydłe, krukom podobne statki z Północnego Kraju. Na statkach uwijali się ludzie, a słońce połyskiwało na ich szyszakach... Były to skrzydlate szyszaki ludzi z Północnego Kraju, kędy już nie władną Rzymianie. Przyglądaliśmy się im, licząc ich i dziwując się wielce, bo chociaż już dawniej dochodziły nas słuchy o „Skrzydlatych Kołpakach”, jak ich zwali Piktowie, to jednak dotąd nigdy nie udało się nam ich spotkać.

„Oddalcie się stąd! Oddalcie się stąd! — zawołał Allo. — Tu już mój wrzos nie będzie wam obroną. Zginiemy niechybnie!” Głos mu się trząsał i trzęsły się pod nim nogi, gdy to mówił. Poczuliśmy przeto szybko rejterować... wymykając się przy świetle miesięcznym poprzez wrzosowiska, aż wreszcie nad rankiem nasze zziąbane koniki padły na ziemię, potknąwszy się na jakichś zwaliskach.

Gdyśmy się ocknęli, skostniali z zimna, Allo właśnie mieszał jakąś strawę gotującą się na wrzątku. W kraju Piktów nikt nie zapala ogniska gdzie indziej, jak tylko w pobliżu osady. Mali ludkowie mają zwyczaj porozumiewać się na odległość za pomocą dymu, więc gdy ujrzą jakiś niezwykły dym, zlatują się natychmiast rojnie i z hałasem jak pszczoły... a umieją też kasać jak pszczoły!

„To, cośmy widzieli wczoraj wieczorem, była to przystań kupiecka — rzekł Allo. — Nic innego, tylko przystań kupiecka!”

„Nie lubię słuchać bajek, gdy jestem na czczo — odrzekł Pertinax wodząc kędyś daleko wzrokiem, a miał oko bystre niby orzeł. — Przypuszczam więc... przypuszczam... że i tam także jest przystań kupiecka?” To mówiąc wskazał jakiś dym wznoszący się kędyś ze szczytu odległego wzgórza sposobem, któryśmy nazywali „hasłem Piktów”: puf! puf-puf! puf-puf-puf! Znaki te czynią Piktowie to opuszczając mokrą skórę na ogień, to znów ją podnosząc.

„Nie! — rzecze Allo chowając misę do worka. — To znak dla was i dla mnie. Los wasz już się wypełnił. Chodźcie za mną”.

Poszliśmy więc. Kto nosi gałązkę wrzosu, musi słuchać Pikta, któremu zaufał... atoli ów dym przeklęty był od nas odległy o dwadzieścia mil kędyś na wschodnim wybrzeżu, a w powietrzu było gorąco jak w łaźni.

„Cokolwiek się zdarzy — mówił Allo, gdy nasze koniki, postępując, ruszyły w dalszą drogę — chciałbym, żebyście o mnie pamiętali”.

„Nie zapomnę o tobie — odrzekł Pertmax. — Przez ciebie nie jadłem dziś śniadania”.

„Czymże jest dla Rzymianina garstka tłuczonego owsa? — zaśmiał się Allo śmiechem do żadnego śmiechu niepodobnym. — A cóż byście zrobili, gdyby wam samym wypadło być garstką owsa zmiażdżoną dwoma kamieniami młyńskimi?”

„Jestem Pertinax, a nie król Edyp<sup>152</sup>, co rozwiązywał zagadki!” — odrzekł mój przyjaciel.

„Dureń jesteś — ofuknął go Allo. — Twoim i moim bogom grożą obce bogi, a ty nie umiesz się zdobyć na nic innego, jak na drwiny”.

„Ludzie, którym grozi niebezpieczeństwo, żyją długo” — wtrąciłem się do rozmowy.

„Dajcie, bogowie, by ziściły się twoje słowa! — odrzekł Allo. — Ale jeszcze raz was proszę, byście o mnie nie zapominali”.

Wspięliśmy się na ostatni, goły i skwarny pagórek i jęliśmy oglądać na morze leżące o trzy albo cztery mile na wschód od nas. Stała tam na kotwicy mała galera, zbudowana wedle modły północnogałijskiej. Pomost był rzucony na ląd, a żagiel do połowy rozwinięty. Zaś tuż pod nami, w rozpadlinie górskiej, stał sam jeden, trzymając konia, Maximus, cesarz Brytanii!... Miał na sobie strój łowiecki i podpierał się, jak zwykle, laseczką. Odwrócony był do nas tyłem, ale jam go i tak poznał i zaraz powiedziałem o tym Pertinaxowi.

„E! zbykowałś jeszcze gorzej niż Allo! — odburknął mi Pertinax. — Pewno obaj dostaliście porażenia słonecznego!”

<sup>152</sup>Król Edyp (mit. gr.) — Edyp został królem Teb, ponieważ uwolnił miasto od Sfinksa, który zadawał przechodniom zagadkę i zabijał tych, którzy nie umieli odpowiedzieć. [przypis edytorski]

Maximus ani się nie poruszył, pókiśmy nie stanęli przed nim. Wtedy zmierzył mnie wzrokiem od stopy do głowy i zapytał bez ogródek: „Cóż to? Znowuś głodny? Zdaje mi się, że to taki mój los, iż karmić cię muszę, ilekroć się spotkamy! Ale mam tu strawę, to ją nam Allo ugotuje!”

„O nie! — sprzeciwił się Allo. — Książę udzielny na własnej ziemi nie usługuje cesarzom-włóczęgom. Nakarmię obu moich chłopców, nie pytając ciebie o pozwolenie”. To rzekłszy począł rozdmuchiwać przygasłe ognisko.

„Mylilem się! — zawołał Pertinax. — Wszyscyśmy widocznie poszaleli! Mów, czego sobie życzysz, szaleńcze, zwany cesarzem!”

Na zaciśnięte wargi Maximusa wybiegł straszliwy uśmiech, który ludzi napawał taką trwogą; ale dwa lata pobytu na Wale sprawiają, że człowiek przestaje obawiać się ludzkich spojrzeń — przeto ów uśmiech nie przeraził mnie wcale.

„Mniemałem, Parnejuszu — rzekł Maximus — że spędzisz całe życie jako centurion na Wale. Ale z tego, co tu mam przy sobie (to mówiąc jął gmerać w zanadru), wnioskuję, że umiesz równie dobrze myśleć, jak rysować”. I wyciągnął z zanadru zwój pergaminów. Były to listy pisane przeze mnie do rodziny, a pełne rysunków przedstawiających to wojowników piktyjskich, to niedźwiedzia, to różnych ludzi, jakich spotykałem na Wale. Matka i siostra moja bardzo lubiły te rysunki.

Maximus wręczył mi jeden z tych rysunków podpisany: „Żołnierze Maximusa”. Obrazek przedstawiał szereg pękatych bukłaków z winem, koło których stał nasz stary lekarz ze szpitala w Hurmo, lubując się ich zapachem. Ilekroć Maximus zabierał stojące w Brytanii oddziały, by wesprzeć wojsko podbijające Galie, tylekroć przysyłał do garnizonów miejskich większą ilość wina... zapewne w celu zapobieżenia rozruchom. Stąd to u nas na Wale każdą łagiew wina przezywano „Maximusem”. Takich to „Maximusów” wrysowałem liczbę pokaźną... i czubek każdego przystroiłem cesarskim szyszakiem.

„Nie tak dawno — mówił dalej Maximus — o wiele mniejsze żarty pociągały za sobą doniesienie do cesarza!”

„Prawda, Cezarze! — odrzekł Pertinax. — Zapominasz jednakże, iż było to wówczas, zanim ja, przyjaciel twojego przyjaciela, zasłynąłem jako mistrz w rzucie włócznią!” To mówiąc podniósł swą włócznię myśliwską i wprawdzie nie wymierzył jej w Maximusa... ale kołysał ją w ręce... o tak!

„Mówiłem o czasach dawniejszych — rzekł Maximus, ani nie mrugnawszy okiem. — Teraz mogę jedynie być rad temu, iż widzę młodzieńców, którzy umieją myśleć o sobie... i o swoich przyjaciółach. — Tu skinął głową w stronę Pertinaxa. — Te listy wypożyczył mi twój ojciec, Parnejuszu, więc z mej strony nie masz czego się obawiać”.

„Istotnie nie masz czego się obawiać” — powtórzył Pertinax i otarł o rękaw ostrze włóczni.

„Musiałem uszczuplić załogi w Brytanii, bo mi było potrzeba wojska w Galii. Teraz przybyłem, by zabrać część wojska stojącego załogą na Wale”.

„Życzę ci powodzenia! — odrzekł Pertinax. — Będziesz miał z nas pociechę nie lada! Wiesz, kto jesteśmy? Ostatnie wyrzutki społeczeństwa, szumowiny całego cesarstwa... ludzie bez nadziei i przyszłości. Co do mnie, prędkiej bym zaufał skazanym na śmierć zbrodniarzom”.

„Tak mniemasz? — rzekł Maximus głosem całkiem poważnym. — Ale to długo nie potrwa... Tylko do czasu, gdy podbiję całą Galie. W takich wypadkach zawsze trzeba coś na szwank wystawić: albo życie, albo duszę, albo spokój... albo inną jakąś drobnostkę”.

Tymczasem Allo obszedł wokół ognisko, niosąc skwierczący kawał sarniny. Począstował najpierw nas obu.

„Aha! Rozumiem! — zawołał Maximus. — Widzę, że jesteście we własnym kraju. Prawda, należy się wam to. Opowiadano mi, Parnejuszu, że masz całą drużynę własną między Piktami”.

„Chodziłem z nimi na łowy — odpowiedziałem. — Podobno mam tu garstkę przyjaciół w krainie wrzosowisk”.

„On jest jedynym waszym rycerzem, który nas rozumie” — wtrącił się Allo i rozpoczął długą przemowę, sławiącą nasze zalety, po czym opowiedział, jakieś przed rokiem wyratowali jedno z jego prawnucząt z paszczęki wilka...

— Czy to była prawda? — zapytała Una.

— Tak, ale wszystko to było ni przypiął, ni przyłatał. Ten mały, zielony człowieczek lubił gadać... jak... Cycero. — Sławił nas, jakbyśmy byli naprawdę wielkimi ludźmi. Maximus ani na chwilę nie spuszczał z nas oka.

„Wystarczy! — rzeki w końcu. — Wysłuchałem raport, jaki mi o was dał Allo. Teraz posłucham waszego raportu o Piktach”.

Zacząłem opowiadać wszystko, com wiedział, a Pertinax nieraz uzupełniał kilkoma słowami mą opowieść. Oświadczyłem, że Pikt nie wyrządzi nikomu nic złego, jeżeli tylko ktoś zada sobie trud zrozumienia jego życzeń i potrzeb. Uraza ich do nas płynęła głównie z tego, żeśmy spalali ich wrzosowiska. Dwa razy do roku cała załoga Wału wyruszała na północ w ich krainę i uroczyście paliła wrzos na dziesięć mil wokoło. Nasz wódz Rutilianus nazywał to „oczyszczaniem terenu”. Piktowie oczywiście zmykali jak oparzeni, więc całe nasze zwycięstwo polegało na tym, żeśmy latem niszczyli krzewy dające kwiecie ich pszczołom, a na wiosnę tratowaliśmy paszę ich owiec.

„Prawda, święta prawda! — rzekł Allo. — Jakże możemy przyrządzać nasz święty napitek wrzosowy, jeżeli spalicie paszę naszych pszczołek?”

I takeśmy długo rozmawiali. Maximus raz po raz rzucał bystre zapytania, z których można było zmiarkować, iż wiedział wiele o Piktach, a jeszcze więcej o nich myślał. W końcu odezwał się do mnie: „Jeżelibym ci oddał w zarząd dawną prowincję Walencję, to czy potrafiłbyś utrzymać Piktów w spokoju, póki nie podbiję Galii? Ale odsuń się w bok, byś nie widział twarzy Alla, i mów szczerze, co sam myślisz”.

„Nie — odpowiedziałem. — Tej prowincji już nie da się wskrziesić. Zbyt długo Piktowie zażywali wolności...”

„Pozostaw im własne rady gminne i niech sami zaopatrują w broń swych wojowników! — kusił mnie Maximus. — Jestem pewny, że będziesz rządził nimi bardzo łagodnie”.

„I na to się nie zgodzę — odparłem. — Przynajmniej teraz nie mogę. Zbyt wielkiego doznawali ucisku Piktowie, przeto przez długie lata trudno im będzie mieć zaufanie do czegokolwiek, co wiąże się z imieniem Rzymian”.

W tej chwili posłyszałem za sobą szept starego Allo: „Poczcwiy chłopak!”

„W takim razie cóż mi zalecasz, by utrzymać Północ w spokoju na czas mej wyprawy do Galii?”

„Zostaw ich samych sobie — odpowiedziałem. — Zakaż wypalać ich wrzosowiska... a ponieważ ludkowie to niebogaci, więc przyslij im od czasu do czasu parę okrętów zboża”.

„I przykaż, by je rozdzielali tubylczy włodarze, a nie jacyś greccy szachraje” — dodał Pertinax.

„I pozwól, by w razie choroby leczyli się w naszych szpitalach” — napomknąłem.

„O, chyba umarliby tam ze strachu” — zauważył Maximus.

„Nie umrą, jeżeli przyprowadzi ich tam Parnezjusz — rzekł Allo. — W tej okolicy, nie dalej jak na dwadzieścia mil wokoło, mógłbym wam pokazać ze dwudziestu Piktów pokąsanych przez wilki i podrapanych przez niedźwiedzie. Ale Parnezjusz musi pobyc z nimi w szpitalu; inaczej zwiariują z trwogi”.

„Wszystko tak, jak przewidywałem — rzekł Maximus. — Wszystko to jest dziełem jednego człowieka... jak to zresztą zawsze bywa w świecie. Zdaje mi się, że w danym wypadku tym jednym człowiekiem jesteś ty!”

„Pertinax i ja — to jedno” — odrzekłem.

„Niechże wam będzie... byleście pracowali dobrze! A teraz, mój Allo, przekonales się, że nie żywię złych zamiarów względem waszego plemienia. Możesz więc odejść, bo chcemy porozmawiać na osobności” — rzekł Maximus.

„Nie ma potrzeby! — odrzekł Allo. — Wszak jestem ziarnem pomiędzy dwoma kamieniami młyńskimi, muszę przeto wiedzieć, jak będzie się obracał kamień dolny. Chłopcy wyznali ci prawdę, ale tyle tylko, ile sami wiedzą, ja zaś, władco, dopowiem ci resztę. Oto lękam się ludzi przybyłych z Północy”. To mówiąc przycupnął jak zając wśród wrzosu i obejrzał się za siebie.

„Ja też się ich obawiam — rzekł Maximus. — Inaczej nic przybyłbym tutaj”.

„Słuchaj! — ozwał się Allo. — Dawno, dawno temu zawitały do naszych wybrzeży Skrzydlate Kołpaki (tą nazwą oznaczał przybyszów z Północy) i rzekły: »Rzym upada! Obalcie go w gruzy!« Przeto wszczęliśmy wojnę z wami i zostaliśmy pobici przez waszych wojowników. Wówczas rzekliśmy do Skrzydlatych Kołpaków: »Jesteście kłamcami!

Wskrzęście naszych rycerzy, których Rzym pozabijał, a uwierzymy wam!« Odeszli przeto zawstyżeni. Teraz znów ośmielili się przyjść i opowiadają starą bajkę, której niektórzy z nas zaczynają już wierzyć: iż Rzym upada!»

„Niech no będę miał przez trzy lata spokój na Wale, a pokażę wam i tym krukowi złowieszczy, jako kłamią!” — krzyknął Maximus.

„Tęgo i ja tobie życzę! Pragnę uratować tę odrobinę ziarna, jaka jeszcze pozostała pomiędzy kamieniami młyńskimi. Ale wy strzelacie do nas, Piktów, gdy podkradamy się do zasieków wielkiej fosy, by wypożyczyć sobie stamtąd trochę żelaziwa; spalacie nam wrzośy, które są jedynym naszym żniwem; napastujecie nas wielkimi kuszami albo kryjecie się za Wał i prażycie nas greckim ogniem. Jakże przeto mogę zapobiec temu, by nasza młodzież dawała posłuch Skrzydlatym Kołpakom... zwłaszcza zimą, kiedy głód nam doskwiera? Nasza młodzież powiada: »Rzym nie umie ani wojować, ani rządzić, a żołnierzy dobiera sobie spośród Brytyjczyków. Skrzydlate Kołpaki pomogą nam rozwalić Wał. Pozwól, byśmy im pokazali tajne przejścia przez trzęsawiska«. Czy ja pragnę tego? O nie! — To mówiąc splunął jako wąż przez zęby. — Choćby mnie miano spalić żywcem, dochowam wiernie tajemnic mego narodu. Dwaj moi chłopcy mówili prawdę. Zostaw Piktów w spokoju. Pokrzepiaj nas, pocieszaj i nakarmiaj... ale z daleka, z ręką na plecach. Parnezjusz nas rozumie. Niech więc on obejmie dowództwo nad Walem, a rękę ci, że z łatwością utrzymam naszą młodzież w spokoju... (tu trzasnął w palce) ot, przez rok cały. W następnym roku nie tak łatwo mi pójdzie. W trzecim roku... być może! Widzisz, daję ci całe trzy lata. Jeżeli przez ten czas nie dowiedziesz nam, że Rzym jest silny w ludzi i groźny orężem, zapowiadam ci, że Skrzydlate Kołpaki zaczną rozwalać Wał od jednego i drugiego morza, a gdy spotkają się w środku, tedy już będziecie musieli stąd uchodzić. Ja bym się tym nie martwił, gdyby nie to, iż wiem dobrze, że gdy jedno plemię wspiera drugie, ma zawsze na widoku jedną tylko cenę... My, Piktowie, też zginiemy... Skrzydlate Kołpaki zetrą nas... ot, na taki pył!” — I rzucił w powietrze garstkę drobnej kurzawy.

„O *Roma Dea!* — ozwał się półgłosem Maximus. — Więc to zawsze i wszędzie jest dziełem jednego człowieka!...”

„I życiem jednego człowieka — dodał Allo. — Jesteś cesarzem, ale nie bogiem. Możesz umrzeć”.

„O tym też pomyślałem — rzekł Maximus. — Doskonale. Jeżeli wiatr się nie zmieni, rano będę już przy wschodnim krańcu Wału. Zatem jutro, podczas przeglądu, zwrócę na was szczególną uwagę i zamianuję was naczelnikami załogi stojącej na Wale... byście pełnili umówioną służbę”.

„Jeszcze chwilka, Cezarze — rzekł Pertinax. — Każdy człowiek zna swą cenę... a tyś mnie jeszcze nie kupił”.

„Co? I ty zaczynasz targować się tak wcześnie?! — zawołał Maximus. — No, czego ci potrzeba?”

„Sprawiedliwości względem wuja mego Icenusa, duumwira w Divio, w Galii” — odrzekł Pertinax.

„O jedno tylko życie ci chodzi? Myślałem, że raczej zależeć ci będzie na pieniądzech lub urzędzie. Juści, podaruję ci go. Zapisz imię jego na czerwonej stronie tej tabliczki... odwrotna strona przeznaczona jest dla ulaskawionych...” — i wy dobył z zanadru woskowe tabliczki podręczne.

„Nic mi nie przyjdzie z jego śmierci — rzekł Pertinax. — Moja matka jest wdową, a jam jest daleko... nie mam pewności, czy wuj wypłaca jej całkowite dożywocie...”

„Nie troszcz się o to. Moje ramię jest dostatecznie długie. We właściwym czasie przejrzymy rachunki twojego wuja. A teraz bywajcie mi zdrowi do jutra, naczelnicy załogi Muru!”

To rzekłszy oddalił się. Przyglądaliśmy mu się, jak kroczył ku swej galerze, z każdym krokiem malejąc nam w oczach. Po obu stronach leżeli, gromadkami po dwudziestu, ukryci Piktowie; on jednak szedł spokojnie, nie oglądając się w prawo ani w lewo. Wsiadł na okręt i gnany powiewem wieczornej morki pomknął chyżo na południe. Oniemieliśmy patrząc, jak śmiało wypłynął na pełne morze. Zrozumieliśmy, że ziemia niewiele wydała ludzi jemu równych. Niebawem Allo przyprowadził koniki i przytrzymał je nam przy wsiadaniu, czego dotąd nigdy był nie robił.

„Zaczekajcie chwilę” — rzekł Pertinax, po czym zbudował z darni mały ołtarzyk, zaśłał

Ofiara, Obrzędy, List

go gałązkami kwitnącego wrzosu, a na wierzchu położył list od pewnej dziewczyny w Galii.

„Co czynisz, przyjacielu?” — zapytałem.

„Skladam ofiarę zmarłej młodości” — odpowiedział, a gdy płomienie zżarły list, przytłumił je stopą. W chwilę później odjechaliśmy w kierunku Wału, nad którym poruczono nam zwierzchnictwo.

Parnezjusz umilkł. Dzieci siedziały cicho, nie pytając nawet, czy to już koniec opowieści. Puk skinął głową i wskazał im drogę na skraj lasu.

— Bardzo mi przykro — rzekł — ale musicie już odejść.

— Czyśmy jemu nie sprawili jakiejś przykrości? — zapytała Una. — On taki zamyślony... i taki daleki...

— O nie, moi kochani! Poczekajcie do jutra. To przecież niedługo... A pamiętajcie, że bawiliście się w „Pieśni starożytnego Rzymu”...

Istotnie była to rzecz jedyna, jaką dzieci zachowały w pamięci, przelazszy przez wiadomą im dziurę w płocie, którą gałęziami swymi osłaniały trzy drzewa: dąb, glóg i jesion.

## PIEŚŃ KU CZCI MITHRASA

Mithrasie, boże poranku! Hejnały ku czci twej biega!  
„Rzym jest panem narodów, lecz tyś jest panem wszystkiego!”  
Teraz, przy rannym apelu, przy rannej zmianie wart,  
Mithrasie (wszak jesteś żołnierzem!), na dzień ten daj siłę i hart!  
Mithrasie, boże południa! Rozlał się żar po rozłogach.  
Szyszaki nam wżarły się w czoło — i pieką nas trepki na nogach.  
Teraz, w godzinie wytchnienia, nim oczy zmorzy nam znój,  
Mithrasie (wszak jesteś żołnierzem!), zachowaj lud wierny twój!  
Mithrasie, boże zachodu! Co morskie pozłacasz wełny,  
co wschodzisz i zachodzisz — zarówno nieśmiertelny!  
Teraz, gdy sen nas czeka, gdy wino nalano w kruż,  
Mithrasie (wszak jesteś żołnierzem!), strzeż nas do świtu zórz!  
Mithrasie, boże północy! Gdzie kona Byk olbrzymi,  
spójrz na dziatwę twą w mrokach! Ofiarę naszą przyjmij!  
Dróg zbudowałeś wiele, co wiodą pod świetny twój tron:  
Mithrasie (wszak jesteś żołnierzem!), naucz nas chlubny mieć zgon!

Modlitwa

## 7. SKRZYDLATE KOŁPAKI

W sam raz nazajutrz było tak zwane „dzikie popołudnie”. Tatuś i mamusia poszli z wizytą, panna Blake urządziła sobie przejażdżkę na rowerze, więc dzieci zostały same aż do ósmej.

Grzecznie odprowadziły kochanych rodziców i drogą nauczycielkę poza zabudowania dworskie, po czym dostały od ogrodnika liść kapusty pełen agrestu, a od Helenki „dziko” przyrządzony podwieczorek. Agrest zjedli na poczekaniu, by się nie porozgniała, a liść kapusty zamierzali podzielić między trzy krowy pasące się koło teatru. Ale po drodze znaleźli nieżywego jeża, którego, ma się rozumieć, musieli pogrzebać, przeto liść, jako rzecz użyteczna, nie mógł pójść na marne.

Potem podeszli do kuźni. Tam zastali starego ogrodnika Hobdena oraz jego syna, pszczelarzyka, który wprawdzie niezupełny miał porządek w głowie, ale za to umiał przenosić całe roje pszczół gołymi rękoma. Ten to pszczelarzyk wygłosił wierszyk o padalcu, gdzie były takie słowa:

I gdybym miał oczy większe cokolwiek,  
nic by mi żaden nie zrobił człowiek.

Następnie wszyscy razem zjedli podwieczorek w pasiece. Stary Hobden przyznał, że placek dany im przez Helenkę jest prawie tak dobry jak ten, jaki piekla jego żona, następnie pokazał im, jak się zastawia sidła na zające; łapać króliki umieli już od dawna.

Potem wygramolili się długim parowem ku dolnemu brzegowi Dalekiego Boru. Ta połać leśna jest bardziej posępna i ciemniejsza niż Volaterrae, gdyż znajdował się tam dół po marglu, pełny czarnej wody, wokół którego sterczą kikuty wierzb i olszyn, obwieszane

Sielanka



pokrowcami mokrego, kosmatego mchu. Atoli na uschniętych konarach nieraz przysiadła ptactwo, a stary Hobden powiada, że gorzka woda wierzbowa jest jakby lekarstwem dla chorych zwierząt.

Siedli na zrąbanym pniu dębowym w cieniu brzoźowego zagajnika i zaczęli skręcać sidła dane im przez Hobdena. Naraz stanął przed nimi Parnezjusz.

— Jak cicho przyszedłeś! — zawołała Una usuwając się, by zrobić mu miejsce. — A gdzie Puk?

— Właśnie przed chwilą naradzałem się z Faunem, czy mam opowiedzieć do końca moje dzieje, czy też pozostawić powieść nie dokończoną — odrzekł Parnezjusz.

— Mówiłem tylko, że jeżeli on wam będzie opowiadał wszystko tak, jak się zdarzyło, to wy nic nie zrozumiecie — ozwał się Puk wyskakując żwawo, niby wiewiórka, spoza leżącej kłody.

— Ja i tak nie rozumiem wszystkiego — rzekła Una — ale lubię słuchać opowiadań o małych Piktach.

— A ja tylko tego nie rozumiem — rzekł Dan — skąd Maximus miał tak dokładne wiadomości o Piktach, przebywając w Galii.

— Ten, kto zdobywa sobie godność cesarską, musi tym czy innym sposobem wypatrzyć wszędzie wszystko — odrzekł Parnezjusz. — Słyszałem to z własnych ust Maximusa po wielkich igrzyskach.

— Po igrzyskach? Jakie to były igrzyska? — zapytał Dan.

Parnezjusz wyprężył ramię i zwrócił wielki palec ku ziemi.

— Zapasy gladiatorów — odpowiedział. — Takie właśnie igrzyska urządzało przez dwa dni ku jego czci, gdy wylądował niespodzianie pod Segedunum, u wschodniego krańca Wału. Tak, nazajutrz po naszym spotkaniu z cesarzem odbyły się u nas dwudniowe igrzyska, ale mnie się wydaje, że największe niebezpieczeństwo groziło wtedy nie nieszczęsnym zapaśnikom na arenie, lecz Maximusowi. Minęły te czasy, kiedy legionieści nie śmieli odzywać się wobec imperatora. Gdy jego lektyka, kołysząc się, torowała sobie z trudem drogę wśród ciżby, wzdłuż całego Wału, aż hen, na zachód, biegł za nim nieprzerwany pomruk i wrzawa. Cała załoga stłoczyła się wokół niego, krzycząc, wyczyniając błazeńskie żarty, domagając się żołdu, lepszych kwater i tysiąca innych rzeczy, jakie tylko roily się w głowach tych zdziczałych, rozwydrzonych ludzi. Lektyka była jako krucha łódka pośród balwanów: raz po raz zanurzała się, niekiedy tonęła, ale nim człowiek zdołał zamknąć oczy z przerażenia, ona już wypływała na powierzchnię.

Parnezjusz trząsł się, gdy to mówił.

— Czy żołnierze byli źli na niego? — zapytał Dan.

— Źli? Nasrożyli się jak wilki w klatce, gdy pomiędzy nimi przechodzi dozorca. Gdyby na chwilę odwrócił się w tył albo na chwilę spuścił wzrok ku ziemi, już by na Wale w godzinę później obwołano nowego cesarza. Nieprawdaż, Faunie?

— Tak jest. Tak było i tak zawsze będzie! — odrzekł Puk.

— Późnym wieczorem przyszedł do nas goniec z wezwaniem do cesarza. Udaliśmy się za nim do świątyni Zwycięstwa, gdzie Maximus zamieszkiwał wraz z naczelnym komendantem Wału, Rutilianusem. Komendanta tego rzadko widywałem dawniejszymi czasy, ale dostawałem od niego urlop zawsze, ilekroć wybierałem się na wrzosowiska. Był to wielki żarłok, więc trzymał aż pięciu kucharzy sprowadzonych z Azji, a wspomnieć się godzi, że za przykładem całej swej rodziny wierzył wyroczniom. Gdyśmy weszli do jego kwatery, stoły były już sprzątnięte, ale jeszcze było czuć w powietrzu zapach jego wybornej wieczerzy, on zaś sam wypoczywał na sofie, za stołem. Maximus siadł na boku pomiędzy długimi zwojami rachunków. Drzwi wejściowe zamknięto, a Maximus zwrócił się do komendanta:

„Oto twoi ludzie!”

„Rozpoznam ich zawsze, Cezarze” — odrzekł Kutilianus przetrąsłszy kąty oczu wykrzywionymi palcami i wpatrując się w nas rybem wzrokiem.

„Doskonale! — odrzekł Maximus. — A teraz słuchaj! Nie wolno ci rozporządzać się ani jednym żołnierzem, ani jedną tarczą na Wale, o ile ci chłopcy nie upoważnią cię do tego. Bez ich pozwolenia wolno ci tylko jeść... i nic więcej. Oni są głową i rękami, ty tylko — brzuchem...”

Władza

„Niech się dzieje wola Cezara — mruknął pocziwiec. — Jeżeli nie uszczuplisz mej płacy i mych dochodów, to ustanawiaj sobie kogo zechcesz moim zwierzchnikiem... choćby wyrocznie moich przodków. Przeszły... przeszły świetne czasy Rzymu!” — To rzekłszy przewrócił się na drugi bok i zasnął.

„Ma, czego pragnął — rzekł Maximus. — A teraz zajmijmy się tym, co mnie potrzebne!”

Rozwinął zwoje pergaminu, zawierające pełny rejestr wszelkich wojsk regularnych i posiłkowych, znajdujących się na Wale, włączając w to nawet listę chorych przebywających dnia tego w szpitalu w Hurmo. Ach, ależ wzdychałem ciężko, gdy jego pióro skreślało nam oddział za oddziałem naszych najlepszych... a raczej najmniej złych żołnierzy. Ogołocił nam dwie wieże z załogi scytyjskiej, z dwóch wież zabrał posiłkowe oddziały północnych Brytańczyków, wziął też dwie kohorty numidzkie, wszystkich Daków i połowę Belgów. Podobny był do orła szarpiącego ścierwo.

„A teraz mi powiedzcie, ile macie katapult?”

I już się zabierał do przeglądania nowego rejestru, gdy Pertinax dłonią zasłonił mu rękopis.

„Nie, Cezarze! — zawołał. — Nie kuś bogów za bardzo. Bierz ludzi albo maszyny... ale nie jedno i drugie... Inaczej i my wypowiemy ci służbę”.

— Maszyny? — zdziwiła się Una.

— Tak, maszyny oblężnicze... olbrzymie katapulty, czyli kusze, wysokie na stóp czterdzieści, sypiące całymi pękami ostrych kamieni albo kowanych grotów. Nic im się nie oprze. Maximus w końcu zostawił nam te katapulty, ale zabrał bez pardonu iście cesarską część naszej załogi. Gdy zwił z powrotem rejestry, przy nas pozostał jedynie szkielet naszego wojska!

„Cześć, Cezarze! Pozdrawiają cię ludzie idący na śmierć! — zaśmiał się Pertinax. — Jeżeli teraz jaki wróg oprze się o Wał... zwali go bez wysiłku”.

„Dajcie mi trzy lata zwłoki, o których mówił Allo — odpowiedział Maximus — a będziecie tu mieli dwadzieścia tysięcy doborowych żołnierzy... wybór ich wam pozostawię. Ale teraz zaczyna się wielki hazard... gra przeciw bogom... Stawkami są Brytania, Galia, a może i Rzym. Chcecie być moimi partnerami?”

„Będziemy twoimi partnerami, Cezarze” — odpowiedziałem bez wahania, bo nigdy mi się nie zdarzyło spotkać równego jemu człowieka.

„Dobrze. Jutro wobec całego wojska zamianuję was naczelnikami Wału”.

Wyszliśmy z kwatery na oblane światłem księżycowym boisko, gdzie uprzątno ślady niedawnych igrzysk. Obaczyliśmy wielki posąg bogini Romy stojący na szczycie Wału; szron lśnił na jej szyszaku, a włócznia mierzyła w stronę gwiazdy północnej. Przyglądaliśmy się migotaniu ognisk wzdłuż wież strażniczych oraz szeregowi czarnych katapult, coraz malejących, w miarę jak się od nich oddalali. Wszystko to znane nam było do znudzenia, ale w ową noc wydawało się nam czymś jakby nowym i nieznanym, ponieważ wiedzieliśmy, że nazajutrz obejmiemy nad tym zwierzchnictwo...

Żołnierze radośnie powitali wiadomość o naszym mianowaniu... ale gdy Maximus odjechał, zabierając z sobą połowę sił naszych, gdy musieliśmy zająć stanowiska w opuszczonych wieżach, gdy mieszkańcy miasta zaczęli się uskarżać na upadek handlu, gdy nastały burze jesienne... O, wówczas ciężkie dni nadeszły dla nas obu! Odtąd Pertinax był czymś więcej niż moją prawą ręką. Urodzony i wychowany niegdyś w wielkim dworze w Galii, wiedział, jakimi słowami przemawiać do każdego z żołnierzy: od rdzennie rzymskich centurionów aż do nikczemnych psów libijskich z trzeciej kohorty. Z każdym z nich tak rozmawiał, jak gdyby ten człowiek zupełnie mu dorównywał poziomem wykształcenia i umysłu. Co się mnie tyczy, wiedziałem doskonale, co należy czynić, ale przy tym wszystkim zapomniałem, że spełnić rzecz każdą można tylko w miarę sił ludzkich. Był to wielki błąd z mej strony.

Ze strony Piktów nie obawiałem się niczego, przynajmniej na czas jednego roku, ale Allo ostrzegł mnie, że Skrzydlate Kołpaki niebawem przyplyną i z dwóch stron uderzą na Wał, by pokazać Piktom naszą słabość. Zacząłem więc pośpiesznie przygotowywać się do obrony, a pośpiech ten bynajmniej nie był przedwczesny. Na krańcach Wału umieściłem najlepszych żołnierzy, jakich mieliśmy, a na wybrzeżu ustawiłem osłonięte katapulty. Spodziewaliśmy się, iż Skrzydlate Kołpaki nadlecą — jak to było w ich zwyczaju — wraz

z zamiecią śnieżną, po dziesięć do dwudziestu statków naraz, i zależnie od wiatru zawina bądź koło Segedunum, bądź koło Ituny.

Otóż gdy okręt przybija do brzegu, załoga musi zwiąć żagiel. Trzeba więc wypatrzeć chwilę, gdy ludzie podciągają w górę dolny brzeg żagla, a wtedy katapulty winny cisnąć nań całą siatkę pełną potłuczonych kamieni (żelaznych grotów nie używa się w tym wypadku, gdyż mogłyby podziurawić płótno). Żagiel, jak worek, napęlnia się kamieniami, przeważając na bok okręt; ten wali się w morze, a ono już go wyprzątnie do czysta. Garstka ludzi czasami dostanie się na ląd, ale bardzo nieliczna... Gdyby nie czatowanie na brzegu wśród zawiei śniegu i siekącego piasku, nie można by tej roboty uważać za uciążliwą. Tak to broniliśmy się przed Skrzydlatymi Kołpakami w ową zimę.

Wczesną wiosną, gdy wiatry wschodnie tną człowieka ostro po twarzy, niby noże, wiele okrętów nieprzyjacielskich zebrało się znowu pod Segedunum. Allo zapowiedział mi, że wrogowie nasi nie spoczną, póki w otwartej walce nie zdobędą choćby jednej wieży. Istotnie walczyli w otwartym polu. Mieliliśmy z nimi ciężką pracę od świtu do nocy... Gdy już się bój zakończył, ujrzeliśmy jakiegoś człowieka, który wynurzył się spośród szczątków rozbitego statku i zaczął płynąć ku wybrzeżu. Jąłem mu się przyglądać. Po chwili fala wyrzuciła go tuż pod moje stopy.

Pochyliwszy się nad nim, spostrzegłem na szyi jego taki sam medalik, jaki ja noszę — to mówiąc Parnejusz sięgnął ręką ku szyi. — Przeto, gdy odzyskał mowę, zadałem mu pewne pytanie, na które można było odpowiedzieć w pewien określony sposób. On w odpowiedzi wyrzekł mi właśnie potrzebne słowo... słowo, które jest hasłem stopnia Gryfów w tajemnej wiedzy mego boga, Mithrasa. Osłoniłem go przeto tarczą, póki nie odzyskał sił. Jak widzicie, nie jestem ułomek, ale on był o głowę wyższy ode mnie. Powstawszy zapytał: „A cóż teraz będzie?” „Zrób, co ci się podoba, mój bracie — odpowiedziałem. — Wolno ci odejść albo pozostać”.

Spojrzał na morze huczące spienioną kipiela. Widać tam było jeden jeszcze statek nie uszkodzony, stojący poza zasięgiem strzału naszych katapult. Kazałem zaniechać strzelania, rozbitek zaś dał znak ręką w stronę owego statku. Statek podjechał natychmiast, jak pies przybywa na skinienie swego pana. Gdy przybliżył się na sto kroków do wybrzeża, on odgarnął w tył włosy i rzucił się w morze. Wciągnięto go na pokład i statek oddalił się. Wiedziałem, że pomiędzy wszystkimi narodami jest wielu wyznawców Mithrasa, przeto nie myślałem już więcej o tym zdarzeniu.

W miesiąc później, gdym znajdował się koło świątyni Pana, mości Faunie, obaczyłem Alla nadjeżdżającego z końmi i otrzymałem od niego wielki złoty naszyjnik wysadzany koralami. Zrazu myślałem, że to łapówka od jakiegoś kupca z miasta, przeznaczona dla starego Rutilianusa. „O nie! — zaprzeczył Allo temu przypuszczeniu. — To podarek od Amala, Skrzydlatego Kołpaka, którego wyratowałeś pod Segedunum. Mówi o tobie, że jesteś prawdziwym mężczyzną”.

„I on też jest dzielnym mężczyzną. Powiedz mu, iż będę nosił ten podarek” — odrzekłem.

„E, Amal jest jeszcze młody i nierozważny, ale my możemy pogadać jak ludzie rozsądni. Otóż wasz cesarz dokonywa tak wielkich czynów w Galii, że Skrzydlate Kołpaki zapragnęły zostać jego przyjaciółmi, a raczej przyjaciółmi sług jego. Mniemają, że ty i Pertinax możecie prowadzić ich do zwycięstw”. Tu Allo spojrział na mnie z ukosa, jak kruk jednooki.

„Wszak mówiłeś, Allo — odparłem — że jesteś ziarnem pomiędzy dwoma kamieniami młyńskimi. Bądź więc zadowolony, że miałą równo, i nie wtykaj między nie ręki”.

„Ja? — zawołał Allo. — Jednakową nienawiść czuję dla Rzymu, jak dla Skrzydlatych Kołpaków. Jeżeli jednak Skrzydlate Kołpaki dojdą do przekonania, że ty i Pertinax połączycie się kiedyś z nimi przeciwko Maximusowi, to zostawią was na jakiś czas w spokoju, póki się nie namyślicie. A przecie pewna zwłoka potrzebna jest i wam, i mnie, i Maximusowi. Jeżeli wasza wola, zaniosę pomyślną odpowiedź Skrzydlatym Kołpakom... coś takiego, nad czym będą musieli długo się namyślać. My, barbarzyńcy, jesteśmy wszyscy jednacy. Siedzimy przez pół nocy, roztrzaskując każde słówko, jakie powie ktoś z Rzymian. Nieprawdaż?”

„Nie mamy ludzi, więc musimy walczyć słowami — rzekł Pertinax posłyszawszy, o co idzie. — Zdaj całą sprawę na mnie i na Alla”.

Przeto Allo zaniósł Skrzydlatym Kołpakom odpowiedź, iż nie będziemy z nimi walczyć, jeżeli oni nas zostawią w spokoju. Niewątpliwie byli nieco wyczerpani stratami, jakie ponieśli w bitwach na morzu, bo rychło zgodzili się na rozejm. Przypuszczam, że Allo, który jak każdy koniarz lubił łgarstwa, opowiedział im, że my pewnego dnia zamierzamy powstać przeciw Maximusowi, jak Maximus powstał przeciw Rzymowi.

Jakoż w ciągu najbliższych miesięcy przepuścili bez szwanku okręty ze zbożem, które posyłałem Piktom drogą północną. Przeto Piktowie byli syci przez całą zimę, a jam był rad temu, bo uważałem ich niemal za swoje dzieci. Wszystkiego wojska na Wale mieliśmy ledwie dwa tysiące, toteż pisałem wiele razy do Maximusa i prosiłem go... błagałem nawet... by przysłał mi choć jedną kohortę z moich dawnych wojsk północnobrytańskich. Ale on nie mógł się obejść bez nich. Były mu potrzebne do coraz to nowych zwycięstw w Galii.

Potem nadeszły o nim wieści, że pokonał i zgładził cesarza Gracjana. Wówczas, sądząc, że już mu teraz nie potrzeba pomocy, napisałem doń znowu, domagając się przysłania ludzi. Odpisał mi w te słowa: „Z tego listu dowiesz się, że na koniec załatwiłem porachunki z tym szczeniakiem Gracjanem. Nie zginąłby, gdyby się nie stropił i nie stracił głowy, co zawsze jest nieodpowiednią rzeczą dla cesarza. Donieś swemu ojcu, iż poprzestanę na kierowaniu dwoma mułami, gdyż o ile syn dawnego mego zwierzchnika nie uroi sobie, że powinien skruszyć mą potęgę, utwierdzę się na stanowisku cesarza Galii i Brytanii, a wtenczas wy, dzieci moje, dostaniecie tylu żołnierzy, ilu tylko wam będzie potrzeba. W chwili obecnej nie mogę wam przysłać ani jednego”.

— Kogo on miał na myśli, pisząc o synu swego zwierzchnika? — zapytał Dan.

— Myślał o Teodozjuszu, cesarzu rzymskim, synu owego Teodozjusza, pod którego rozkazami walczył niegdyś w czasie wojny z Piktami. Dwaj ci ludzie nigdy się nie lubili, a gdy Gracjan zamianował młodszego Teodozjusza cesarzem Wschodu (przynajmniej takie mnie doszły słuchy), Maximus rozpoczął wojnę z synem swego zwierzchnika. To było jego fatum<sup>153</sup> i przyczyną jego upadku. Ale cesarz Teodozjusz, o ile mi wiadomo, to dobry człowiek.

Parnezjusz zamilkł na chwilę, a potem znów podjął opowieść:

— Odpisałem Maximusowi, że choć na razie mamy na Wale spokój, jednak byłbym wielce rad, gdybym miał nieco więcej ludzi i kilka nowych katapult. On mi na to odpowiedział: „Musicie jeszcze czas jakiś poczekać w cieniu mych laurów, póki nie zmiarkuje, co zamierza młody Teodozjusz. Może powita we mnie kolegę-cesarza, ale być też może, że zbroi się przeciwko mnie. Tak czy owak, nie mogę w chwili obecnej dać wam ani jednego żołnierza”.

— Ależ on zawsze to samo pisał — zauważyła Una.

— To prawda. Nie usprawiedliwiał się przed nami i powiadał, że dzięki wieściom o jego zwycięstwach mieliśmy przez długi, długi czas zapewniony spokój na Wale. Piktowie wpaśli się jak ich własne owce na wrzosowiskach, a garstka żołnierzy, jaka przy mnie została, wyćwiczyła się doskonale w sztuce wojennej. Zresztą i Wał miał wygląd obronny i warowny. Ja jednak zdawałem sobie sprawę, jak słabi jesteśmy w istocie. Wiedziałem, że gdyby nawet fałszywa wieść o jakiejś kłęsce Maximusa dotarła do Skrzydlatych Kołpaków, oni by tu na pewno zawitali z poważniejszą siłą, a wtedy... a wtedy... Wał musiałby runąć! Na Piktów nie zważałem wcale, ale w ciągu lat ubiegłych zapoznałem się po trosze z siłą Skrzydlatych Kołpaków. Siła ta rosła z dniem każdym, ja natomiast nie mogłem powiększyć liczby mych żołnierzy... Maximus ogołocił z ludzi Brytanię na naszych tyłach, a ja sam czułem się jako człowiek stojący ze spróchniałym kijem przed połamaną zagrodą i zamierzający odpędzać rozjuszony byki... Takie, moi drodzy, mieliśmy życie na Wale... oczekując, oczekując i oczekując posiłków, których Maximus ani myślał nam przysłać. Nagle doniósł nam, że przygotowuje armię przeciwko Teodozjuszowi. Takie to słowa odczytał mi przez ramię Pertinax, gdyśmy byli razem na naszej kwaterze: „Powiedz ojcu, że fatum zmusza mnie do tego, bym poganiał trzy muły, bo inaczej one rozedrą mnie na strzępy. Mam nadzieję, że w ciągu roku uporam się raz na zawsze z Teodozjuszem, synem Teodozjusza. Wówczas ty dostaniesz w zarząd Brytanię, a Pertinax, jeśli będzie miał ochotę, zostanie namiestnikiem Galii. Dziś chciałbym mieć was przy sobie,

<sup>153</sup>fatum (łac.) — przeznaczenie. [przypis edytorski]

byście zaprowadzili ład w moich wojskach posiłkowych. Proszę was, nie dawajcie wiary pogłoskom o mej chorobie. Wprawdzie jakieś tam drobne lichy siedzi w mym cielsku, ale wyleczę się żwawą konną przejażdżką do samego Rzymu”.

Wówczas rzekł Pertinax: „Z Maximusem już kaput! Piszę jak człek obłąkany. Widzę to dobrze, bom sam już ogarnięty rozpaczą. A cóż to on zamieścił w dopisku? »Powiedz Pertinaxowi, że spotkałem się z nieboszczykiem jego wujem, duumwirem w Divio, i że otrzymałem od niego dokładne wyrachowanie z pieniędzy należących się jego matce. Wyprawiłem ją z odpowiednią eskortą, jako matkę bohatera, do Nicei, gdzie klimat jest cieplejszy«”.

„Oto masz dowód — rzekł Pertinax. — Nicea<sup>154</sup> jest już niedaleko od Rzymu. W razie wojny matka może wsiąść na okręt i uciec do Rzymu. Tak jest, Maximus przewiduje śmierć rychłą i dlatego spełnia kolejno wszystkie swoje obietnice! W każdym razie cieszę się, że wuj mój się z nim spotkał”.

„Czy dziś napastują cię czarne myśli?” — zapytałem.

„Czarne czy nie czarne, ale prawdziwe — odrzekł Pertinax. — Bogom sprzykrzyła się ta gra, którą wiedliśmy przeciw nim. Teodozjusz rozbija Maximusa. Wszystko skończon-  
ne!”

„Czy mu to napiszesz?” — zapytałem.

„Patrz, co mu napiszę!” — odrzekł i wzięwszy pióro, napisał list radosny jak pogodny dzień, czuły jak list kobiecy, a pełen żartów. Nawet ja, czytając przez ramię, nabierałem otuchy... póki... póki... nie obaczyłem jego twarzy!

„A teraz — rzekł zapieczętowując pismo — obaj jesteśmy już nieboszczykami, mój bracie. Chodźmy do świątyni”.

Modliliśmy się przez chwilę do Mithrasa w miejscu, gdzie tylekroć zasyłaliśmy doń modły. Odtąd dzień za dniem upływał nam wśród ponurych wieści. Tak doczekaliśmy się zimy...

Pewnego poranku, gdy wyjechaliśmy konno na wschodnie wybrzeże, znaleźliśmy tam na piasku jasnowłosego mężczyznę, na pół zmarzniętego, przywiązanego do kilku strza- skanych desek. Przewróciwszy go, poznaliśmy po sprzączce u pasa, że był to Got z jednego ze wschodnich legionów. W pewnej chwili człowiek ten otworzył oczy i krzyknął głośno: „On już nie żyje! Miałem przy sobie listy, ale Skrzydlate Kołpaki zatopiły okręt!” To rzekłszy skonał nam na rękach.

Nie pytaliśmy, kto już nie żyje. Wiedzieliśmy doskonale! Gnani śnieżną zawieruchą, popędziliśmy do Hunno, myśląc, że Allo może się tam znajduje. Był już tam istotnie, czekał w naszej stajni. Po twarzach naszych zmiarkował, jaką otrzymaliśmy wiadomość.

„Stało się to w namiocie nad brzegiem morza... — wyjąkał. — Został ścięty przez Teodozjusza. Wysłał list do was, pisany w przededniu stracenia. Skrzydlate Kołpaki list ten przejęły, rozbiwszy okręt, na którym jechał posłaniec. Wieść rozszerza się jak pożar po wrzosowiskach. Nie miejcie do mnie żalu! Już nie potrafię utrzymać naszych młodzieńców na wodzy”.

„Obym mógł to samo powiedzieć o naszych żołnierzach — odrzekł ze śmiechem Pertinax. — Ale oni nie potrafią uciec, za co niech Bogom będą dzięki!”

„Cóż poczniecie? — zapytał Allo. — Przynoszę wam rozkaz... a raczej zlecenie... od Skrzydlatych Kołpaków, byście przystali do nich wraz z waszymi ludźmi i wyruszyli na południe grabić Brytanię”.

„Bardzo mi przykro — odrzekł Pertinax. — Ale nas tu postawiono właśnie w tym celu, żeby zapobiec ich najazdowi i grabieży”.

„Zabiją mnie, jeżeli im zaniosę tę odpowiedź — rzekł Allo. — Zawsze obiecywa-  
łem Skrzydlatym Kołpakom, że zbuntujecie się, gdy Maximus upadnie. Ja... ja nigdy nie przypuszczałem, by on mógł upaść...”

„Niestety, stało się tak, mój biedny barbarzyńco! — odrzekł Pertinax śmiejąc się cią-  
gle. — No, no! Nie miej strachu! Za dużo dobrych koni kupiliśmy od ciebie, byśmy cię mieli rzucić na pastwę twoim przyjaciołom. Jesteś wprawdzie posłem, ale my cię uwięzi-  
my”.

<sup>154</sup>Nicea — miasto nad Morzem Śródziemnym. [przypis edytorski]

„Tak, to będzie najlepsze — rzekł Allo wyciągając jeden z postronków. Związaliśmy go lekko, bacząc na sędziwy wiek pocziwca.

„Teraz Skrzydlate Kołpaki mogą ciebie szukać; my przez to tylko zyskamy na czasie! Patrzcie no, jak liczenie na zwłokę staje się z wolna nalogiem człowieka!” — zauważył Pertinax zawiązując postronek.

„Nie — odpowiedziałem. — Zwłoka istotnie może nam pomóc. Skoro Maximus napisał do nas list w więzieniu, to nie kto inny, tylko Teodozjusz wyprawił ów okręt, który miał nam przywieźć to pismo. Jeżeli zaś mógł przysłać statek, tedy może przysłać i posiłki”.

„Cóż nam z tego przyjdzie? — odburknął Pertinax. — Służymy Maximusowi, a nie Teodozjuszowi. Nawet gdyby jakimś cudem bożym Teodozjusz przysłał wojsko i ocalił Wał, nie możemy oczekiwać czego innego niż takiej śmierci, jaką poniósł Maximus”.

„Naszą rzeczą jest bronić Wału, bez względu na to, który cesarz umiera, a który innych zabija” — odpowiedziałem.

„Słowa te godne są brata twego, filozofa — ofuknął mnie Pertinax. — Co do mnie, jestem człowiekiem bez nadziei, więc nie gadam tak uroczyście i od rzeczy! Zbudź załogę!”

Powołaliśmy wszystkich pod broń i cały Wał od końca do końca obsadziliśmy zbrojnymi ludźmi. Starszyźnic oznajmiliśmy, że rozeszła się pogłoska o zgonie Maximusa, która może na nas ściągnąć najazd Skrzydlatych Kołpaków, lecz gdyby nawet owa pogłoska okazała się prawdziwą, można być pewnym, że Teodozjusz, chcąc ocalić Brytanię, przysłał nam pomoc... przeto powinniśmy trwać niezłomnie na posterunku... Wierzcie mi, moi drodzy, aż dziw bierze, gdy się widzi, jak ludzie znoszą złe wieści! Nieraz najsilniejszy człowiek staje się wówczas słaby jak mucha, a słaby głowę podnosi i bogom siłę zabiera. Tak było i z nami. Ostatecznie jednak Pertinax dzięki swym żartom, swej uprzejmości i pracowitości wlał odwagę i karność w nasze szczupłe zastępy — w większym stopniu, niż mogłem się spodziewać. Nawet nasza kohorta libijska — nieznośne „trzeciaki” — stała spokojnie w podbitych kirysach i nie utyskiwała na zmęczenie.

Po trzech dniach zjawilo się u nas siedmiu wodzów i przedniejszych rycerzy z narodu Skrzydlatych Kołpaków. Wśród nich był też i Amal, ów wysoki młodzian, którego spotkałem był niegdyś na wybrzeżu. Uśmiechnął się obaczywszy mój naszyjnik. Pozdrowiliśmy ich uprzejmie, jako posłów, po czym pokazaliśmy im Alla, żywego, ale związanego. Byli przekonani, żeśmy go zabili, i widziałem, że nie bardzo byliby się tym zmartwili. Allo też to spostrzegł i minę miał skwaszoną. Potem zeszliśmy się na naradę w naszej kwaterze w Hunno<sup>155</sup>. Posłowie oświadczyli, że Rzym już upada i że powinniśmy zawrzeć z nimi przymierze. Oddawali mi w zarząd całą południową Brytanię, ale wpierw żądali z niej haraczu.

„Cierpliwości! — odparłem. — Tego Wału nie kupuje się za byle co, niby pierwszą lepszą rzecz zrabowaną. Dajcie mi dowód, że mój wódz nie żyje”.

„Hola! — rzekł jeden ze starszyzny. — Dowiedźcie nam wpierw, że on żyje”. A drugi dodał przebiegle: „Co nam dacie, jeżeli przeczytamy wam jego ostatnie słowa?”

„Nie jesteśmy kupcami, by się targować! — zawołał Amal. — Zresztą temu człowiekowi zawdzięczam życie. Oto dowód, jakiego żąda”. I cisnął ku mnie list jakiś. Poznałem pieczęć: był to list Maximusa.

„Znaleźliśmy to pismo na okręcie, któryśmy zatopili! — zawołał. — Nie umiem czytać, ale rozpoznałem jeden znak, który każe mi wierzyć owej pogłosce”. I wskazał mi na grzbiecie rękopisu ciemną plamę; z ciężkim sercem stwierdziłem, iż był to ślad bohater-skiej krwi Maximusa.

„Przeczytaj! — rzekł Amal. — Przeczytaj, a przekonamy się, czyimi jesteście sługami”.

Pertinax, rzuciwszy okiem na pismo, odezwał się cichym głosem: „Słuchajcie, barbarzyńcy! Przeczytam wam wszystko!” I przeczytał to, co od tej chwili noszę stale na sercu.

To mówiąc Parnejusz wydobyl z zanadru zwinięty i poplamiony kawałek pergaminu i jął czytać ścisłym głosem:

<sup>155</sup>Hunno — nazwa celtyckiego pochodzenia. [przypis edytorski]

— „Maximus, niegdyś cesarz Galii i Brytanii, a obecnie więzień, oczekujący śmierci w Teodozjuszowym obozie nad morzem, przesyła Parnezjuszowi i Pertinaxowi, dzielnym komendantom rzymskiego Wału, pozdrowienie i pożegnanie”.

„Wystarczy! — zawołał młody Amal. — Oto dowód, któregoście żądali! Teraz musicie do nas przystać!

Pertinax spoglądał nań przez długi czas w milczeniu, a jasnowłosy młodzian zawstydził się i zarumienił jak młoda dziewczyna. Pertinax zaś czytał dalej:

„Z przyjemnością wyrządziłem w mym życiu niejedno zło tym wszystkim, którzy mi źle życzyli, ale jeżeli kiedy skrzywdziłem was dwóch, żałuję tego i proszę, byście mi przebaczyli. Trzy muły, które usiłowałem prowadzić, rozszarpały mnie na sztuki, jak przepowiedział mi twój ojciec, Parnezjusz. Nagie miecze czyhają u wnijscia namiotu, by zadać mi śmierć, jaką zadałem był Gracjanowi. Przeto ja, wasz wódz i cesarz, daję wam zwolnienie i chlubne świadectwo tej służby, którąście u mnie pełnili nie dla grosza i dla dostojenstwa, ale, jak miło mi przypuszcza, z miłości dla mnie!»

„Na światłość słoneczną! — przerwał Amal. — To był człowiek niezwykły! Zdaje się, że mieliśmy mylne mniemanie o jego sługach!”

A Pertinax czytał dalej: „Daliście mi termin, jakiego żądałem. Nie narzekajcie, jeżeli nie umiał go wyzyskać. Graliśmy wspaniale przeciwko bogom, ale oni dobrze znają wagę swoich kostek, przeto mnie przyszło płacić przegraną. Pamiętajcie, że jam był, ale Rzym *jest i będzie*. Powiedz Pertinaxowi, że jego matka przebywa bezpiecznie w Nicei, a jej pieniądze znajdują się pod opieką prefekta w Antipolis. Wspomnij o mnie ojcu twojemu i matce, których przyjaźń bardzo cenilem. Moim małym Piktom i Skrzydlatym Kołpakom daj takie zlecenie, iżby mogły je zrozumieć ich tępe głowy. Gdyby wszystko poszło po mej myśli, dziś bym jeszcze posłał wam trzy legiony. Nie zapominajcie o mnie. Pracowaliśmy razem. Bądźcie zdrowi! Bądźcie zdrowi! Bądźcie zdrowi!» Taki był list ostatni mojego cesarza!...

(Tu dzieci posłyszały chrzest pergaminowej karty, którą Parnezjusz chował z powrotem w zanadrze).

„Omyliłem się — rzekł Amal. — Słudzy takiego męża nie sprzedadzą niczego inaczej jak za cenę miecza. Rad jestem temu!” — to mówiąc wyciągnął rękę do mnie.

„Ależ Maximus zwolnił was ze służby! — ozwał się jeden z posłów. — Macie teraz prawo służyć lub rozkazywać... komu tylko zechcecie. Jeżeli nie macie ochoty nam podlegać, to zawrzyjcie z nami przymierze!”

„Dziękujemy wam — odrzekł Pertinax — przypomnijcie sobie jednak, że Maximus przykazał nam, byśmy dali wam takie zlecenia, które będą (wybaczcie, iż przytaczam jego słowa)... które będą dla waszych tępych głów zrozumiałe”. To mówiąc pokazał im przez otwarte drzwi katapultę przygotowaną do strzału.

„Rozumiemy — rzekł jeden z posłów. — Tedy zdobycie Wału nie obejdzie się bez ofiar?”

„Bardzo mi przykro — odrzekł Pertinax śmiejąc się. — Ale tylko tym sposobem można go zdobyć!” I poczęstował ich najlepszym winem południowym, jakie mieliśmy w piwnicy. Wypili, w milczeniu obtarli ryże brody i powstali zabierając się do odejścia.

Amal, przeciągając się rubasznie (wszak mieliśmy do czynienia z barbarzyńcami), przemówił: „Tak nam było miło w tym towarzystwie... a ciekawy jestem, jak się do niejednego z nas dobierać będą kruki i rekiny, jeszcze nim te śniegi stopnieją!”

„Myśl raczej o tym, jakie wojska przyśle Teodozjusz” — odpowiedziałem. Zaśmiali się, ale widziałem, że rzucony od niechcienia pocisk trafił w samo sedno.

Odeszli skwaszeni. Jeden tylko Allo ociągał się nieco.

„Widzicie — ozwał się łypiąc i mrugając oczyma — nie jestem dla nich niczym więcej jak psem... i jak psa mnie kopną, gdy wskażę ich wojownikom tajne przejścia przez nasze trzęsawiska”.

„Wobec tego ja na twoim miejscu nie śpieszyłbym się zanadto z pokazywaniem owych dróg tajemnych, póki bym się nie upewnił, że Rzymianie nie zdołają obronić Wału”.

„Tak myślisz?... O biadaż mi! — zawołał starowina. — Jam chciał tylko zapewnić pokój memu ludowi!” I pobiegł za wysokimi postaciami Skrzydlatych Kołpaków potykając się i zataczając w śniegu.

W ten to sposób, z wolna, dzień za dniem (co najgorszą bywa rzeczą dla wojsk żyjących w niepewności), zbliżała się do nas wojna. Najpierw Skrzydlate Kołpaki wtargnęły do nas od strony morza, jak to bywało dawniejszymi czasy, a my też przywitaliśmy ich po staremu... katapultami. Ponieśli ciężkie straty, jednakże przez długi czas nie ufali snadź swym kaczym nogom, bo nie pojawiali się od strony lądu. Przypuszczam, że gdy doszło do próbowania tej drogi, Drobny Lud bał się albo wstydził pokazywać im tajne przejścia wśród wrzosowisk. Tak przynajmniej wymiarkowałem z zeznań jednego z jeńców piktyjskich. Mieliśmy wśród nich zarówno szpiegów, jak i wrogów, bo Skrzydlate Kołpaki uciskały ich, ograbiając doszczętnie z zimowych zapasów. Głupie, małe plemię!

Potem Skrzydlate Kołpaki zaczęły nas naciskać z obu stron Wału. Wysłałem gońców na południe, by dowiedzieć się, co słychać w Brytanii, ale po opustoszałych stanicach, gdzie dawniej przebywało wojsko, rozpanoszyły się w ową zimę wilki, toteż nie powrócił do nas żaden z wysłańców. Poza tym mieliśmy wiele kłopotu z paszą dla koni. Trzymałem ich dziesięć, tyleż miał i Pertinax. Dnie i noce spędzaliśmy w siodle, jeżdżąc to na wschód, to na zachód, a żywiłiśmy się mięsem wybrakowanych koni. Ludność miejska też nam przyczyniała niemało zgrzyoty, więc spędziliśmy ją całą do jednej kwatery za Hurmo. Wzniesiliśmy mur po obu jej stronach, tworząc coś w rodzaju fortecy. Nasi ludzie lepiej walczyli w zwartym szyku.

Pod koniec drugiego miesiąca pogrążyliśmy się w wojnie tak głęboko, jak człowiek pogrąża się w sen lub zaspę śniegową. Zdaje mi się, żeśmy walczyli i we śnie. Wiem tylko, że m chodził tam i z powrotem po Wale, nie mogąc sobie nic poza tym przypomnieć, choć gardło mi ochrypło od dawania rozkazów, a miecz, jak miarkowałem, pracował uporczywie.

Skrzydlate Kołpaki walczyły jak wilki — gromadą. A gdzie ponosili największe straty, tam właśnie nacierali najzażarciej. Ta więc okoliczność, choć utrudniała nam obronę, nie pozwoliła im na wtargnięcie do Brytanii.

W owych to dniach wypisywałem wraz z Pertinaxem na bruku przed cegielnym łukiem wiodącym do Walencji nazwę każdej ze zwalonych wież oraz datę jej runięcia; pragnęliśmy mieć jakąś pamiątkę...

A walka? Najzawzięciej walczono zazwyczaj po obu stronach posągu bogini Romy, tuż obok domu Rutilianusa. Na światłość słoneczną! Ten stary grubas, któregośmy w ogóle nie brali pod uwagę, nagle ocknął się i odmłodził wśród grania surm bojowych! Przypominam sobie, iż twierdził, jakoby miecz jego był wyrocznią! „Poradźmy się wyroczni! — mawiał, przykładając jego rękojeść do ucha, i kiwał poważnie głową. — Dziś jeszcze pozwolono żyć Rutilianowi!” — powiedział i podkasując płaszcz, sapiąc i dysząc, stawał mężnie do walki. Tak, tak! Mieliśmy spory zapas żartów i figlików... które nam miały zastępować topniejące z każdym dniem zapasy żywności...

Tak wytrzymałiśmy dwa miesiące i dni siedemnaście. Nacierano na nas coraz ciasniejszym pierścieniem... coraz mniej miejsca nam pozostawało. Kilka razy Allo przysyłał nam wiadomość, że odsiecz już nadciąga. Nie wierzyliśmy tym wieściom, ale nasi żołnierze czerpali z nich otuchę.

Przyszedł wreszcie i koniec... nie wśród radosnych okrzyków, ale, podobnie do wszystkich poprzednich wypadków, jakby we śnie... Skrzydlate Kołpaki ni stąd, ni zowąd pozostawiły nas w spokoju przez całą noc, a potem przez dzień cały... Zbyt długa to była przerwa dla ludzi wycieńczonych do ostatka. Spaliśmy zrazu lekkim snem, gotowi zerwać się każdej chwili, potem jednak straciliśmy wszelką świadomość i leżeliśmy bezwładnie jak kłody. Oby nigdy wam nie zdarzyło się spać snem takim! Gdyśmy się obudzili, nasze wieże były pełne obcych, zbrojnych ludzi, którzy przyglądali się nam, chrapiącym w najlepsze. Zbudziłem Pertinaxa i zerwaliśmy się razem na równe nogi.

„I cóż? — zawołał jakiś młodzian w błyszczącej zbroi. — Czy chcecie walczyć przeciw Teodozjuszowi?... Patrzenie!”

Spojrzelśmy na północ... Jak zasięgnąć wzrokiem, śnieg czerwienił się od krwi, a Skrzydlate Kołpaki nie było ani śladu. Spojrzeliśmy na południe: na białym śniegu — o dziwo! — widać było orły dwóch legionów stojących w pełnej liczbie obozem. Na wschód i na zachód od nas widać było walkę i pożogę, ale koło Hunno panowała cisza zupełna.



„Nie trwóście się! — rzekł ów młodzian. — Długie jest ramię Rzymu! Ale gdzież są naczelnicy tego Wątu?”

„My nimi jesteśmy” — brzmiała nasza odpowiedź.

„Ależ wy jesteście starzy i siwowłosi! — zawołał nieznajomy. — Maximus powiadał, że oni są jeszcze młokosami!”

„Tak, było to prawdą parę lat temu — odparł Pertinax. — Nie mógłbyś nam powie-  
dzieć, jaki nas los czeka, wytworny i dobrze wykarmiony dzieciaku?”

„Jestem Ambrozjusz, zaufany sługa cesarza — odpowiedział. — Pokażcie mi pewien list, pisany przez Maximusa w namiocie pod Akwileją, a może wam uwierzę”.

Wyjąłem list z zanadru. Ambrozjusz przeczytał go, pozdrowił nas po wojskowemu i rzekł: „Los wasz od was zależy. Jeżeli zechcecie służyć Teodozjuszowi, otrzymacie odeń dowództwo legionu. Jeżeli zaś wolicie wrócić do domu, urządzimy wam triumf okazały”.

„Wolałbym łaźnię, wino, brzytwę, mydło, oliwę i wonności” — zaśmiał się Pertinax.

„O, teraz widzę, że jesteś młodzikiem! — zawołał Ambrozjusz. — A ty?” — zwrócił się do mnie.

„Nie żywimy złych zamiarów względem Teodozjusza, ale na wojnie...” — zacząłem.

„Na wojnie tak jak w miłości — przerwał Pertinax. — Wszystko, co się ma najlepszego, oddaje się tylko jednej, wybranej... mniejsza z tym, czy to zła, czy dobra osoba. Gdy już się raz to dało, nie pozostaje nic takiego, co by było godnym ofiarowania lub przyjęcia”.

„To prawda — odrzekł Ambrozjusz. — Byłem u Maximusa przed jego śmiercią. Uprzedzał Teodozjusza, że nie zechcecie mu służyć... a powiem wam szczerze, że współczuję mojemu cesarzowi”.

„Niech się tym pocieszysz, że ma Rzym — odparł Pertinax. — Proszę cię, bądź łaskaw nam pozwolić, byśmy wrócili do domu i pozbyli się tego zapachu, który nas tu otacza”.

Nie przeszkodziło to jednak, że urządzono nam triumf...

— A był to triumf dobrze zasłużony! — ozwał się Puk, rzucając kilka listków w głąb marglowego dołu. Czarne, kleiste koła rozpełzły się na cichej wodzie przed oczyma dzieci.

— Ach, chcielibyśmy dowiedzieć się tylu jeszcze rzeczy! — zawołał Dan. — Co się stało ze starym Allem? Czy Skrzydlate Kółpaki jeszcze kiedy zawitały w te strony? A co porabiał Amal?

— I co się stało z tym grubym starym wodzem, co miał pięciu kucharzy? — zapytała Una. — A co powiedziała matka, gdy przyszedłeś do domu?...

— Powiedziałaaby pewnikiem, że za długo siedzicie nad tym starym dołem... i to jeszcze tak późno — ozwał się za nimi głos starego Hobdena, a potem jego szept:

— Psst!

Dzieci ujrzały starego ogrodnika, jak stanął niby skamieniały, gdyż o kilkanaście kroków od nich siedział na tylnych łapach okazały lis i przyglądał się dzieciom, jak gdyby był z dawien dawna ich przyjacielem.

— Tuś mi, mości mykito! — mruknął półgłosem Hobden. — Kiejbym tak umiał wybadać, co się mieści w twoim łebku, tobym niejedną piękną rzecz wiedział. Chodźcie ze mną, paniczku i panienko, bo właśnie będę zamykał kurnik.

## ŚPIEW PIKTÓW

Rzym, gdy stąpa, nie baczy po drodze  
i nie zważa na żaden jęk głuchy,  
gdy kopyta rumaków tak srodze  
nasze głowy tratują i brzuchy...  
Jego straż mija rzeszę wżgardzoną,  
a my czas na naradach mitrężym,  
chcąc wziąć odwet orężny — choć pono  
język naszym jedynym orężem...

Mały, słaby z nas lud... Nienawiści  
ni miłości niewiele budzimy,  
ale kiedyś czas taki się ziści,  
iż ujrzycie, że zwalim — olbrzymy!

My jesteśmy jak robak pod korą,  
jako grzyby, zgnilizna i pleśń,  
jak zaraza, co trawi krew chorą,  
cierń, co stopę uraża boleśnie!

Mól, co niszczy kosztowną tkaninę,  
krzew jemioly, co dębu ssie drewno,  
szczur, co gryzie okrętową linę,  
swemu dziełu są rade na pewno/  
Tak, podobnie my, ludek malutki,  
nasze dzieło spełniamy wciąż skrycie,  
niewidocznie, podziemnie... Lecz skutki  
tej roboty — po latach ujrzycie!

O, nie! Ludek my mały, bezsilny!  
Znamy Ludy, co pełne są siły!  
Szlak zdradziecki im wskażem, niemylny,  
by w okrutnej was wojnie zniszczyły!

Cóż, że nowe nas jarzmo przygniecie?  
Mymy z losem już życia poddańcym!  
Ale wy... wy haniebnie zginiecie,  
my na waszych mogiłach zatańcym!

Mały, słaby z nas lud... (i tak dalej... )

#### 8. HAL RYSOWNIK

Prorocy wielkiej czci doznają wszędzie —  
wszędzie, z wyjątkiem wiosek swych rodzinnych,  
gdzie każdy, znając ich od lat dziecinnych,  
z natury rzeczy urągać im będzie.

Póki są próżni, złośliwi i młodzi,  
brakiem uznania trapią się niezwykle  
(o czym niech świadczą ich utworów cykle!),  
choć on im właśnie na dobre wychodzi!

To, czym Niniwy gród darzyć ich zdoła  
(w tym licząc pobyt w paszczy wieloryba),  
mniej dla nich znaczy niż sielska sadyba,  
gdzie o ich sławę nie troszczą się zgoła...

Cóż, że im w świecie hołdy towarzyszą?  
Tu jakich widzą, takimi ich piszą... <sup>156</sup>

W pewne dżdżyste popołudnie Dan i Una wyprawili się do małego młyna, by ba-  
wić się w korsarzy. Jeżeli ktoś nie zważa na szczury, biegające pod wiązaniem dachu,  
oraz na plewy owsa, sypiące się do obuwia, poddasze młyna jest miejscem niezwykle  
uroczym, zwłaszcza dzięki spuszczanym drzwiom tudzież widniejącym na każdej belce

<sup>156</sup>Prorocy wielkiej czci doznają wszędzie [...] Tu jakich widzą, takimi ich piszą... — nawiązanie do biblijnej historii o proroku Jonasz i wynikającego z niej powiedzenia: *Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju*. Jonasz został podczas podróży morskiej połknięty przez wieloryba, który po trzech dniach wypuścił go na brzeg. [przypis edytorski]

napisom wspominającym powódzie i zakochane pary. Światło tu dochodzi przez małe okienko, zwane „kaczym oknem”, z którego widać folwark Małe Lipy oraz miejsce, gdzie stracono Jacka Cade’a<sup>157</sup>.

Gdy wdrapali się na drabinę, wiodącą na poddasze, a zwaną przez nich „masztem koronnym” (nazwę tę wzięli z ballady o sir Andrzeju Bartonie, a Dan, wedle słów tejże ballady, „uchwycił się masztu silnie i zręcznie”), ujrzeli jakiegoś człowieka odzianego w śliwkowego koloru kaftan i obciste pluderki tejże barwy. Siedział na ramie kaczego okna i rysował coś pilnie w książce o czerwonych brzegach.

— Siadajcie! Siadajcie! — zawołał Puk siedzący na jednej z belek wsporowych. — Patrzcie, co znaczy być pięknym! Pan Henryk Dawe... przepraszam, Hal... powiada, że jestem wybornym modelem na maskarę do rymny!

Nieznamy uśmiechnął się i grzecznie uchylił aksamitnej czapeczki. Dzieci obaczyły, iż miał szpakowate włosy, zwichrzone w bujną czuprynę ponad czołem. Nie był młody... liczył sobie co najmniej czterdziestkę... ale oczy miał dziwnie młodzieńcze, choć otoczone wieńcem drobnych, zabawnych zmarszczek. U szerokiego pasa wisiała mu sakiewka z wyszywanej skóry, wyglądająca nader interesująco.

— Czy wolno się przypatrzeć rysunkowi? — zapytała Una wysuwając się naprzód.

— Ma się rozumieć! Ma się rozumieć! — odrzekł Hal robiąc im miejsce na oknie, po czym znów wziął w rękę srebrny sztyfcik i zabrał się do roboty. Puk siedział nieruchomo, a szeroki, jakby zamaryły na ustach uśmiech nie zszedł z nich ani na chwilę przez cały czas, gdy zręczne i niemylnie palce rysownika odtwarzały rysy Pukowej twarzy. Dzieci śledziły uważnie każdy ruch artysty. Naraz Hal wydobył z sakiewki trzciniowe pióro i zatemperował je małym nożykiem z kości słoniowej, wyrzeźbionym w kształcie ryby.

— O, jakież to piękne! — zawołał Dan.

— Na bok palce! Ten nożyk jest *straszliwie* ostry! Zrobiłem go sam z najlepszej holenderskiej stali. Także i tę rybę jam wyrzeźbił. Gdy jej pletwę grzbietową przesunąć w stronę ogona... o, w ten sposób... ryba polyka ostrze, jak niegdyś wieloryb połknął patriarchę Jonasza... A oto mój kałamarzyk; wokół wyrzeźbiłem czterech świętych ze srebra. Przyciśnij głowę świętego Barnaby. Otwiera się... i oto...

Zanurzył w kałamarzu zaostrzone pióro — i śmiało a dokładnie jął uwydatniać główne linie rubasznej twarzy Puka, dotąd tylko lekko zaznaczone srebrnym sztyfcikiem.

Dzieci aż usta otworzyły z podziwu, bo twarz ta wprost zdawała się wyskakiwać z kartki papieru. Hal pracował pilnie i jakby wtórował kroplom deszczu bębniącym o dachówki, rozmawiając z dziećmi — to wyraźnie, to znów półgłosem pomrukiem; od czasu do czasu przerywał rozmowę, marszcząc się albo uśmiechając do swej roboty. Opowiedział im, że urodził się w folwarku Małe Lipy i że ojciec bijął go za to, że rysował różne rzeczy zamiast pracować, aż w końcu stary ksiądz, zwany ojcem Rogerem, który malował ozdobne litery w książkach bogatych ludzi, nakłonił rodziców, by oddali mu chłopca pod opiekę niejako w charakterze terminatora malarskiego. Wraz z ojcem Rogerem podążył do Oxfordu, gdzie zmywał talerze, podawał buty i płaszczki wychowankom kolegium mertońskiego...

— Pewno ci się to nie bardzo podobało? — zagadnął Dan, zasypujący go w ogóle tysiącem najróżniejszych pytań.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Połowa Oxfordu wrzała podówczas robotą. Wznoszono nowe kolegia albo upiększano stare, a do pomocy wzywano najslawniejszych mistrzów w całym chrześcijaństwie... królów w swoim fachu, czczonych i sławionych nawet pomiędzy monarchiami. Jam ich znał i dla nich pracowałem... to mi wystarczyło. Nic więc dziwnego... że...

Tu przerwał i zaśmiał się.

— Zostałeś wielkim człowiekiem, Halu! — dokończył Puk.

— Owszem, tak mi mówiono, Robinie. Sam Bramante<sup>158</sup> nawet mi to mówił.

— Dlaczego? Coś ty robił? — zapytał Dan.

Artysta spojrział nań z ukosa.

<sup>157</sup>Jack Cade a. John Cade — przywódca buntu ludności Kentu przeciwko uciskowi ze strony monarchii, stracony w 1450 r. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>Bramante, Donato di Angelo del Pasciuccio (1444–1514) — wł. malarz i architekt. [przypis edytorski]

— Ano różne rzeczy w kamieniu i w innym materiale. Nie wiem, czy o nich słyszałeś. Można je spotkać po całej Anglii. Niedaleko szukając, ja to przebudowałem nasz mały kościółek świętego Barnaby. Praca ta kosztowała mnie więcej kłopotów i zmartwień niż wszystko, czegokolwiek tknąłem się w życiu. Ale to była dla mnie wyborna lekcja!

— Hm! — westchnął Dan. — Mieliśmy już dziś dość lekcji od samego rana!

Puk ryknął śmiechem, a Hal odpowiedział uprzejmie:

— Nie będę cię trapił nauką, mój chłopcze. Wszelakoż dziwna to rzecz pomyśleć, że ten kościółek został odbudowany, nakryty dachem i wslawiony dzięki kilku zacnym odlewaczom żelaza z Sussexu, pewnemu chłopcu okrętowemu z Bristolu, pewnemu zarozumiałemu durniowi, którego zwano Halem Rysownikiem, bo jak widzicie, zawsze coś rysował lub szkicował, a wreszcie dzięki — tu wycedził z wolna ostatnie słowa — dzięki pewnemu szkockiemu korsarzowi.

— Korsarzowi? — zawołał Dan i szarpnął się jak ryba złapana na wędkę.

— Właśnie dzięki owemu Andrzejowi Bartonowi, o którym przed chwilą śpiewaliście, włączając po drabinie.

To rzekłszy zanurzył znowu piórko w kałamarzu i z zapartym tchem ciągnął jakąś falistą linię, jak gdyby zapomniał owszystkim w świecie.

— Co? Czyżby korsarze budowali kościoły? — zapytał Dan. — Czy naprawdę oni je budują?

— Nieraz poważnie przyczyniają się do budowy — zaśmiał się Hal. — Ale ty, mój żaczku, odbywałeś już podobno lekcje przez cały ranek?

— Na lekcjach nie opowiadano nam o korsarzach, ale o królu Robercie Bruce<sup>159</sup> i jakimś tam jego pająku! — zawołała Una. — I czemuż to Andrzej Barton wam pomagał?

— Nie wiem, czy on sam odpowiedziałby ci na to pytanie — odrzekł Hal mrużąc oczy. — Robinie, po kiego licha mam opowiadać tym niewiniątkom, jakie skutki za sobą pociąga grzeszna pycha?

— O, my to dobrze wiemy! — pospieszyła z odpowiedzią Una. — Gdy ktoś jest zanadto rogaty... to znaczy krnąbrny jak koza... musi za to siedzieć... w kozie.

Hal zamyślił się na chwilę, trzymając piórko w powietrzu, a Puk jął mówić coś do niego, używając jakichś przydługich wyrazów.

— Aha! — zawołał Hal po chwili. — Rozumiem! Tak i ze mną się zdarzyło... Czy byłem rogaty, jak wy powiadacie, to inna rzecz, dość że sprawowałem się nie tak, jak należy. Dumny byłem z takich rzeczy jak krużganki... na przykład krużganek w Lincoln... dumny byłem z tego, że ręka Torrigiana spoczęła na mym ramieniu... dumny byłem z godności rycerskiej, otrzymanej za to, że wykonałem złocone floresy na okręcie „Suwren”, należącym do Jego Królewskiej Mości. Atoli nie zapomniał o mnie ojciec Roger, przesiadujący w mertońskiej bibliotece. Gdy byłem u szczytu pychy, mianowicie, gdy ja właśnie, a nie kto inny, miałem budować krużganek w Lincoln, on jednym groźnym skinieniem palca rozkazał mi, bym wracał w gliniaste okolice rodzinnego Sussexu i własnym kosztem odbudował nasz parafialny kościół, gdzie były groby sześciu pokoleń naszej rodziny. „W drogę, synu mej sztuki! — zawołał. — Zanim nazwiesz się człowiekiem dorosłym, musisz zwalczyć diabła u siebie w domu!” Zadrzałem i ruszyłem w drogę... No, jakże tam, Robinie?

I z dumą pokazał Pukowi ukończony rysunek.

— To ja! To ja bez wątpienia! — odrzekł Puk mizdrząc się tak, jakby się przeglądał w lustrze. — Ale patrzcie! Deszcz już ustał! Nie lubię przebywać pod dachem, gdy słońce świeci!

— Hopsasa! Już po robocie! — zawołał Hal zeskakując z okna. — Kto pozwoli ze mną do moich Małych Lip? Tam sobie pogawędzimy!

Zsunęli się po drabinie w dół i minawszy ociekające wodą wierzby, weszli na groblę oświeconą już słońcem.

— Mościewy! — zawołał Hal wlepiając oczy w chmielnik, gdzie pędy chmielu właśnie zaczynały okrywać się kwieciami. — Czy to winne latorośle? Nie, to nie wino!... A okręca się w przeciwną stronę niż fasola!

<sup>159</sup>Robert Bruce (1274–1329) — król Szkocji; wg legendy do wytrwałości w walce z Anglikami natchnął go widok pracowitego pająka. [przypis edytorski]

— To chmiel. Nie było go jeszcze za twoich czasów. Jest to ziele Marsa, a jego wysuszone kwiecie daje się dla smaku do piwa. Jest taki wierszyk:

W tym samym roku Pańskim do Anglii — o dziwo! —  
przywieziono Indyki, herezję, chmiel, piwo<sup>160</sup>.

— O herezjach słyszałem, chmiel widziałem przed chwilą... niech będzie Bóg pochwalony za jego piękne kształty! Ale co to są te wasze indyki?

Dzieci roześmiały się przypomniawszy sobie indyki chodzące po folwarku w Małych Lipach. Jakoż, gdy doszli do sadu na wzgórkach, całe ich stado wpadło na nich z impetem. Hal natychmiast wyciągnął szkicownik.

— To mi się podoba! — krzyknął. — Oto Pycha w purpurowych strojach! Oto szalona buta i przepych doczesny! Jakże wy nazywacie to dziwo?

— Indyki! Indyki! — zawołały dzieci, gdy stary rozgulgł tany indor rozgorzał płomieniem gniewu na widok śliwkowych spodenek Hala.

— Niech Bóg ma w swej opiece waszą wspaniałość — rzekł po chwili Hal potrząsając czapeczką tuż przed oczyma rozszoszczonego ptaka. — Dziś udało mi się naszkicować dwie piękne, a dotąd mi nie znane rzeczy.

Ruszyli w dalszą drogę i brnąc wśród trawy doszli do wzgórkach, na którym rozpostarły się Małe Lipy. Stary dworek, sięgający dachówkami niemal do ziemi, mienił się w świetle przedwiecznym jakoby barwą krwawego rubinu. Gołębie wydziobywały wapno z krawędzi komina; pszczoły, które jeszcze od czasu założenia domu gnieździły się pod dachówkami, napełniały swym gwarem upalne sierpniowe powietrze, a woń bukszpanu, rosnącego pod oknem obory, mieszała się z oparem ziemi rozmokłej po deszczu, zapachem świeżo wypieczonego chleba i śwędem drew płonących na ognisku.

Gospodyni z dzieckiem na ręku podeszła ku drzwiom, przysłoniła oczy dłonią, schyliła się, by zerwać gałązkę rozmarynu, i poszła w głąb ogrodu. Stary wyżeł, wylegający się w becce, zaszczekał ze dwa razy, by pokazać, że przecie pełni straż nad wyludnionym w tej chwili domem. Puk zatrzaskał za przybyłymi furtkę ogrodu.

— Czy dziwicie się, że kocham to miejsce? — szepnął Hal. — I cóż wiedzą mieszczuchy o przyrodzie i o przyjemnościach sielskich?

Usadowili się rzędem na starej, porznętej szczyrykami ławce dębowej, stojącej w ogrodzie, i patrzyli na strumień płynący w dolinie oraz na zarosłe paprocią parowy i wyboje koło kuźni za chatą Hobdena. Staruszek właśnie rąbał chrust w ogródku swoim przy pasiece. Łoskot uderzeń siekiery dopiero po upływie sekundy dochodził do niezbyt wyciągających się uszu dzieci.

— Hej, hej! — ozwał się Hal. — Tam, gdzie teraz ten staruszek rąbie drzewo, stała, jak pamiętam, Dolna Kuźnia... ludwisarnia mistrza Jana Collinsa. Przez ile to nocy, gdy spał tutaj, budził mnie nagle huk jego potężnego giserskiego młota! „Bum-bum! Bum-bum!” Jeżeli wiał wiatr od wschodu, słychać było, jak mistrz Tomasz Collins z kuźni w Stockens odpowiadał swemu bratu: „Łup-łup! Łup-łup!” — a młoty kowalskie Jana Pelhama w Brightling wtrącały się do tej rozmowy niby gromadka żaków recytująca bez końca: „*Hic-haec-hoc! Hic-haec-hoc!*”<sup>161</sup>, póki mnie znowu sen nie zmorzył. Tak, tak! Cała ta dolina tak rozbrzmiewała odgłosami kuźni i odlewni, jak zarośla w maju rozbrzmiewają wołaniem kukulek. Wszystko to teraz znikło i trawą zarosło.

— A cóż tam wyrabiano? — zapytał Dan.

— Działa dla okrętów królewskich... czasem i dla innych. Przeważnie kolubryny<sup>162</sup> i śmigownice<sup>163</sup>. Gdy robota była ukończona, nadjeżdżali królewscy oficerowie i zabierali nam woły od pługa, by nimi pociągnąć działa na wybrzeże. Patrzcie! Oto jeden z najprzedniejszych i najwytrawniejszych mistrzów sztuki żeglarskiej!

Przewrócił kartkę szkicownika i pokazał dzieciom głowę jakiegoś młodzieńca, pod którą był podpis „Sebastianus”.

<sup>160</sup>W tym samym roku Pańskim do Anglii, o dziwo, przywieziono indyki, herezję, chmiel, piwo — ok. 1531 r. król Henryk VIII spowodował oderwanie kościoła angielskiego od papieża, a z Ameryki przywieziono indyki i chmiel do produkcji piwa. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>*Hic, haec, hoc* (łac.) — ten, ta, to. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>*kolubryna* — ciężkie działło. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>*śmigownica* — armatka mniejszego kalibru. [przypis edytorski]

— Człek ten przybył do mistrza Jana Collinsa, przywożąc rozkaz królewski, by mu dostarczono dwudziestu kolubryn (piekielne to były armatki!) na morską wyprawę odkrywczą. Narysowałem go, gdy siedział przy naszym ognisku i opowiadał mej matce o nowych lądach, jakie zamierzał odkryć w dalekich stronach świata. Jakoż odkrył ich wiele! Miał jakiś dziwny węch, który go wiódł pośród morskich pustkowi. Nazwisko miał Cabot; rodem był z Bristolu, lecz płynęła w nim na poły krew cudzoziemska. On to mi dopomógł w budowie kościoła.

— Ja myślałem, że to Andrzej Barton ci pomagał... — przerwał Dan.

— Tak jest... ale wcześniej niż dach trzeba położyć fundamenty — odrzekł Hal. — Sebastian pierwszy wskazał mi drogę do tego dzieła. Bo gdy tu przybył, celem moim było nie służyć Bogu, co jest powinnością prawdziwego mistrza, ale pokazać ludziom tutejszym, jaki to mistrz ze mnie. Oni (co zresztą wyszło mi na dobre) tyle dbali o kunszt mój i sławę, co o ździebełko słomy przy drodze. Jakież, u licha, mam prawo (powiadali) zajmować się kościołem świętego Barnaby? Od czasów Czarnej Śmierci<sup>164</sup> kościół ten leżał w gruzach, więc niech i nadal w gruzach zostanie! Radzono mi, bym się powiesił na powrozach, jakie rozciągnąłem na wzniesionym przeze mnie rusztowaniu... Szlachta i gmin prosty, wielcy i mali — Hayesowie, Fowlowie, Fennery i Collinsowie — wszyscy jak gdyby się zmówili przeciwko mnie. Jedynie pan Jan Pelham, mieszkający tam hen, w Brightlingu, dodawał mi otuchy i zachęcał do wytrwania. Ale czyż mogłem wytrwać? Oto na przykład prosiłem mistrza Collinsa o wypożyczenie mi fury na zwiezenie belek — okazuje się, że woły poszły właśnie do Lewes po wapno. A co było, gdy mi obiecał pakę żelaznych klamer czy haków na wiązanie dachu? Albo mi ich wcale nie doręczono, albo, gdy doszły, były połamane i pokrzywione... I tak działo się ze wszystkim. Nikt mi nie powiedział ani słowa, ale też nikt do niczego nie przyłożył ręki, chyba że stałem im nad głową... a wtedy wykonywali wszystko po partacku. Myślałem, że cała okolica jest widocznie zaczarowana...

— Bo też i była zaczarowana! — wtrącił się Puk opierając brodę na kolanach. — Czy nie miałeś nikogo w podejrzeniu?

— Nikogo nie podejrzewałem, póki nie przybył tu Sebastian po swe działa. Wówczas Jan Collins zaczął mu płatać takie same psie figle jak mnie z owym żelaziwem. Tydzień po tygodniu dwie lub trzy kolubryny pękały podczas odlewania i nadawały się, jak mówiono, jedynie na szimelc. Jan Collins kiwał głową i zaklinał się, że nie odda królowi ani jednego działa, które by nie było dokładnie odlane. Wszyscy Święci! Jakże się wtedy Sebastian pienił ze złości! Wiem coś niecoś o tym, bośmy nieraz siadali na tej ławie, dzieląc się naszymi strapieniami...

Gdy Sebastian zmitrężył już sześć tygodni w Lipach i udało mu się dostać zaledwie sześć kolubryn, naraz Dirk Brenzett, kapitan statku „Łabędź”, przysłał mi wiadomość, że uciekając przed pościgiem Andrzeja Bartona do portu Rye, musiał celem ulżenia okrętowi rzucić w morze wielki złom kamienny, wieziony z Francji na chrzcielnicę do naszego kościoła.

— Aha! To on uciekał przed tym korsarzem!... — zawołał Dan.

— Tak jest. Gdym sobie z tego powodu rwał włosy na głowie, przybiega do mnie Will Ticehurst, najlepszy z mych murarzy, i trzęsąc się ze strachu, Bogiem się świadcząc, zaczyna mi opowiadać, że z wieży kościelnej skoczył na niego diabeł z rogami, z ogonem, szczękający łańcuchem i tak ludzi nastraszył, iż ani rusz nie chcą się brać do roboty. Przerwaliśmy tedy umacnianie fundamentów i poszedłem na kufel piwa do gospody „Pod Dzwonem”. Spotkałem tam mistrza Jana Collinsa, a ten mi rzecze: „Rób, jak chcesz, smyku, ale ja na twoim miejscu wziąłbym sobie do serca taki znak i zostawiłbym w spokoju kościół świętego Barnaby!” A wszyscy obecni pokiwali grzesznymi głowami i zaczęli mu przyświadczać. Później poznałem, że bardziej lękali się mnie niż owego diabła...

Gdy z tą miłą nowiną wróciłem do domu, zastałem Sebastiana zajętego bieleniem pułapu w kuchni. Czynił to dla mojej matki, którą kochał jak syn rodzony.

„Nie martw się, mój chłopcze! — odezwał się do mnie. — Pan Bóg jak był, tak będzie... ale my obaj, mój Halu, jesteśmy osłami skończonymi! Oszukano nas haniebnie

<sup>164</sup>Czarna Śmierć — epidemia dżumy, która nawiedziła w połowie XIV w. zachodnią Europę i zabiła ponad 100 mln ludzi. [przypis edytorski]

i tym to większy wstyd dla mnie, żeglarza, że dotąd tego się nie domyślił. Ty musiałeś przerwać budowę dzwonnicy, bo podobno skądś tam się pojawił jakiś diabeł, ja zaś nie mogę dostać kolubryn, ponieważ Jan Collins nie może ich odlać należycie... jednocześnie zaś Andrzej Barton, jak jastrząb, krąży koło portu Rye... W jakimże celu? Ażeby zabrać te właśnie kolubryny, na które próżno czeka nieszczęsny Cabot<sup>165</sup>! I daję w zakład te ziemie, które dostanę po odkryciu nowych lądów, że wspomniane kolubryny ukrywają się w tej chwili pod dzwonnica kościoła świętego Barnaby. To tak jasne jak wybrzeże irlandzkie w samo południe!”

„Ależ oni nigdy nie odważyliby się na to! — zawołałem. — Zresztą sprzedawanie dział nieprzyjaciółom to jawna zdrada! Za to karze się szubienicą lub grzywną!”

„W każdym razie zysk ciągnie się z tego pewny i obfity! — odrzekł Sebastian. — Dla zysku ludzie nie lękają się nawet szubienicy. Wiem ci coś o tym, bom sam był kiedyś kupcem. Dla honoru Bristolu musimy wszakże raz z nimi skończyć”.

I siadłszy na kubełku wapna, począł obmyślać fortele. Rozgłosiliśmy, że we wtorek wyjeżdżamy do Londynu, i uroczysto pożegnaliśmy wszystkich naszych przyjaciół... zwłaszcza mistrza Jana Collinsa. W lasach koło Wadhurst zbczyliśmy z drogi i przez trzęsawiska wróciliśmy do wsi. Tu ukryliśmy konie w wiklinie koło plebańskiego gruntu, a z nadejściem nocy zakradliśmy się na palcach pod kościół świętego Barnaby. Mgła stała się gęsta, a księżyc słabo przez nią przeświecał.

Ledwom zamknął z powrotem drzwi dzwonnicy, aż tu Sebastian runął w ciemności jak długi.

„Do licha! — zaklął. — Podnoś nogi wysoko i obmacuj dobrze ziemię, Ha! Przed chwilą potknąłem się o lufy armatnie!”

Zacząłem iść po omacku (w dzwonnicy było ciemno jak w studni) i naliczyłem kolejno dwadzieścia kolubryn leżących na grochowinach... nawet nie były osłonięte!

„A tu z mojej strony są jeszcze dwa działka mniejszego kalibru — odzywa się Sebastian uderzając ręką po gładkim metalu. — Przeznaczone są do dolnego pokładu na statku Andrzeja Bartona. Przechytny, przechytny ten Jan Collins! Więc tu jest jego składnica, jego arsenał, jego zbrojownia! Teraz to już chyba widzisz, czemu twoje krzątanie się i wścibianie wszędzie nosa wywołało diabła na gruntach Sussexu? Od kilku miesięcy przeszkadzałeś Janowi w uczciwych zajęciach kupieckich!”

I roześmiał się zataczając się po ziemi.. Ale ponieważ o północy niezbyt ciepło bywa w ceglanej wieży, przeto powlekliliśmy się dalej po schodach, aż tu nagle Sebastian znowu się potknął... tym razem na krowiej skórze z rogami i ogonem.

„Aha! Naści, diable, kaftan! Twój diabeł zgubił swą cielesną powłokę! Co, podobam ci się w tej nowej skórze, Halu?” Odział się nią i począł skakać, jak szatany, w blasku księżycowym, przeciskającym się smugami przez okno. Wyglądał jak istny diabeł! Potem usiadł na schodach, wałąc ogonem w jakąś deskę. Z tyłu, dalibóg, zdawał się jeszcze straszliwszy niż od przodu. Przez okno wleciała sowa i zaczęła pisać z przestrachu na widok jego rogów...

„Zamykaj drzwi, jeżeli nie chcesz wpuścić diabła! — szepnął Sebastian. — Ale znów przekonywam się o fałszywości przysłowia, bo oto słyszę, Halu, jak otwierają się drzwi twej dzwonnicy”.

„Przecież je zamknąłem!... Czyżby kto miał drugi klucz?” — odpowiedziałem.

„Całe bractwo, sądząc z odgłosu kroków — odrzekł Sebastian, starając się wzrokiem przebić ciemności. — Cicho, cicho, Halu! Posłuchaj, jak stękają! Aha, niosą znów kilka mych kolubrynek! Powinienem być im wdzięczny! Jedna... dwie... trzy... już cztery przynieśli! Dalibóg, Andrzej zbroi się niczym admirał! Ogółem dwadzieścia cztery armaty!”

I oto, jakby echo, doleciał nas głucho brzmiący głos Jana Collinsa: „Dwadzieścia cztery kolubryny i dwa mniejsze działka. Jużeśmy wyrównali rachunek z Andrzejem Bartonem”.

„Na grzeczności nikt nie traci! — szepnął Sebastian. — A może mu tak upuścić ostrze sztyletu wprost na głowę?”

„W czwartek one sobie pojedą na wozach z wełną, ukryte pod workami. Dirk Brenzett będzie na nie czekał pod Udimore, jak zeszłym razem” — mówił Jan.

<sup>165</sup>Sebastian Cabot (ok. 1476–1557) — ang. żeglarz i odkrywca pochodzenia włoskiego. [przypis edytorski]

„Boże! Jakaż to rozgałęziona i poręczna instytucja handlowa! — rzekł Sebastian. — Założyłbym się, że w całej wiosce tylko my dwaj nie ciągniemy zysków z tego przedsiębiorstwa”.

Na dole było z górą dwudziestu chłopów, a gwaro było jak na targu przy Roberts-bridge. Poznawaliśmy ich po głosie, dzięki czemu mogliśmy sprawdzić ich liczbę.

Mistrz Jan Collins mówił piskliwym głosem: „Za miesiąc muszą tu się znaleźć działa dla francuskiej karaweli. Willu, a kiedy ten wasz młody dureń (to miałem być ja, za pozwoleniem!) powróci z Londynu?”

„Nie martw się o to! — posłyszałem odpowiedź Willa Ticehursta. — Kładźcie je, gdzie się wam podoba, mistrzu Collinsie. My teraz zanadto boimy się diabła, byśmy mieli zabierać się do tej wieży!” I posłyszałem, jak się drab roześmiał na całe gardło.

„Ej, Willu, diabeł nie śpi i nietrudno go zbudzić!” — rzekł jeden z obecnych (poznałem głos Ralfa Hobdena z kuźni).

„Aaa-men!” — ryknął Sebastian i nim zdołałem go powstrzymać, zbiegł pędem po schodach w dół, wyjąc przy tym bez przerwy... iście po diabelsku. Zanim zdążył dopaść tego, co stał najbliżej, już oni dali drapaką. Miły Boże! Uciekali, aż się za nimi kurzyło! Posłyszeliśmy, jak się dobijali do drzwi gospody „Pod Dzwonem”, wówczas i my wzięliśmy nogi za pas.

„A co teraz? — zapytał Sebastian podciągając krowi ogon w górę, by nie płatał się wśród haszczy. — Nadpsułem trochę gębę gości Collinsowi!”

„Jedźmy do imć pana Jana Pelhama” — odparłem. Był to jedyny człowiek, który trzymał moją stronę.

Pojechaliśmy tedy do Brightlingu, mijając zagrody należące do pana Jana; strażnicy leśni o mało co nas nie postrzelili, biorąc za kłusowników. Zaprowadzono nas przed sędziowski trybunał pana Jana. Gdyśmy mu opowiedzieli wszystkie nasze przygody i pokazaliśmy krowią skórę, którą Sebastian miał wciąż jeszcze przytroczoną u pasa, pan Jan uśmieł się do łez.

„Doskonale! Doskonale! — zawołał. — Jeszcze przed świtem stanie się zadość sprawiedliwości. Jakaż zanosiscie skargę? Mistrz Collins to mój stary przyjaciel!”

„Ale ja go nie uważam za przyjaciela! — krzyknąłem w złości. — Gdy sobie pomyślę, jak on i jemu podobni oszukiwali mnie na każdym kroku, jak żmudnie i marudnie odwlekali budowę kościoła...” — na samą tę myśl słowa wzięły mi w gardło.

„Tak, ale przecież przekonałeś się, że kościół ten był im potrzebny do innego celu...” — odrzekł Pelham tonem uprzejmym.

„Tak samo były im potrzebne moje kolubryny! — wrzasnął z kolei Sebastian. — Byłbym już daleko na Zachodnim Oceanie, gdyby moje działa były gotowe. Tymczasem te działa zostały sprzedane przez twego przyjaciela jakiemuś tam szkockiemu korsarzowi!”

„Gdzież macie na to dowody?” — zapytał pan Jan gładząc brodę.

„Toż nie dalej jak przed godziną o mało co nie połamałem sobie nóg na tych armatach... i słyszałem przecie, jak Jan wydawał rozkazy, dokąd je wywieźć mają!” — krzyknął Sebastian.

„E! To tylko słowa próżne! — odpowiedział Jan Pelham. — Mistrz Collins umie łąć jak najęty”.

Mówił to tak poważnie, że przez chwilę posądzając go o współludział w tym pokątnym handlu i mniemałem, jakoby już nie było ani jednego uczciwego ludwisarza w całym Sussexie.

„Mówmy do rzeczy! — krzyknął Sebastian i palnął krowim ogonem w stół. — Czyjeż więc to są działa?”

„Oczywiście, że twoje — odrzekł pan Jan. — Przybyłeś po nie z dokumentem królewskim w rękę, a mistrz Collins odlał je w swej ludwisarni<sup>166</sup>. Jeżeli on ma ochotę przenosić je z Dolnej Kuźni i składać je w wieży kościelnej, tym ci lepiej dla ciebie! W ten sposób znajdują się one bliżej gościńca, ty zaś oszczędzisz sobie cały dzień drogi. Czemuż więc robisz tyle hałasu, mój chłopcze, zamiast podziękować za szczerą sąsiedzką przysługę?”

„Szkoda, że odplaciłem mu się za to tak mamie! — odmruknął Sebastian przyglądając się swoim pięściom. — Ale co powiesz o mniejszych działach? Miałbym z nich wielki

<sup>166</sup>ludwisarnia — warsztat, w którym wyrabia się ze spiżu dzwony, działa, świeczniki itp. [przypis edytorski]



pożytek, ale cóż... o nich nie było ani słowa w królewskim rozkazie”.

„To tylko uprzejmość, serdeczna uprzejmość! — odrzekł imć pan Jan. — Nie ulega wątpliwości, iż powodowany przywiązaniem do króla i miłością ku tobie, mistrz Jan daje ci w przydatku te dwie armatki bezpłatnie. To jasne jak to wschodzące słońce, mój młokosie!”

„Prawda! — rzecze na to Sebastian. — Ach, mości panie Janie, panie Janie, czemuż to waszmość nie wybierzesz się nigdy na morze! Szkoda waszmości na lądzie!” To mówiąc spojrział nań z serdeczną wdzięcznością.

„Czynię, co mogę, na mym stanowisku! — Tu imć pan Jan znowu poglądził brodę i przemówił do nas grzmiącym, sędziowskim głosem: — Ale, za pozwoleniem, wy dwaj, moi chłopcy, hulacie sobie o północy (co mi się zgoła nie podoba!), rozbijacie się koło szynkowni i napastujecie mistrza Collinsa podczas jego... — tu zamyślił się na chwilę — ...podczas spełniania przezeń dobrych uczynków... pełnił je tak skrycie, iż nie wiedziała lewica, co czyni prawica, a wyście, powtarzam, napastowali go okrutnie”.

„Prawdę mówisz, mości panie Janie — odrzekł Sebastian. — A gdybyś widział, jak on uciekał!”

„Potem zaś jedziecie na złamanie karku, wpadacie do mnie nocą i zawracacie mi głowę baśniami o jakichś tam korsarzach, wozach z wełną i skórach krowich, które to baśnie, acz wielce ucieszne i rozweseliły mnie niepomiernie, jednakże nie licują z moim rozsądkiem i urzędową powagą. Przeto gotów jestem towarzyszyć wam do owej wieży, wzięwszy z sobą kilku podległych mi ludzi i ze trzy lub cztery wielkie wozy, by dać ci rękojmię, że mistrz Jan Collins odda ci dobrowolnie twoje kolubryny i pomniejsze działa, mości Sebastianie. — Tu znowu wrócił do zwykłego tonu: — Ostrzegałem już dawno starego lisa i jego sąsiadów, że te pokątne frymarki i dorobki przysporzą im kiedyś biedy niemało... jednakowoż nie mogę powywieszać połowy mieszkańców Sussexu za wywóz kilku dział... Cóż, chłopcy, zadowoleni jesteście z wyroku?”

„Ja sam dopuściłbym się zdrady za dwie armatki!” — zawołał Sebastian zacierając ręce.

„I właśnie za takiego kubana<sup>167</sup> pogodziłeś się z ową zdracą! — rzekł pan Jan. — A teraz na koń! Jedziemy po armaty!”

— Ale prawda, że mistrz Collins wciąż jeszcze myślał o przesłaniu tych armat Andrzejewi Bartonowi? — zapytał Dan.

— Na pewno myślał o tym — odrzekł Hal. — Ale one już nie do niego należały. Brzask różowił się na niebie, gdy wtargnęliśmy zniemacka do wsi. Na czele jechał konno imć pan Jan w lekkiej zbroi z pióropuszem powiewającym na hełmie; za nim kroczyło trzydziestu mocnych chłopów z Brightlingu, po pięciu w jednym rzędzie. Za nimi postępowały cztery wielkie wozy, a koło nich czterej trębacze, trąbiąc hucznie, jakby na urągawisko, ową piosenkę: „Nasz król jegomość do Normandii jedzie...” Gdy stanęliśmy przed wieżą i zaczęliśmy z niej wyciągać działa, przypomniał mi się zupełnie jeden z obrazków wymalowanych przez ojca Rogera w mszale królowej, przedstawiający zdobywanie twierdzy przez Francuzów.

— A co myśmy... chciałem powiedzieć, co wtedy zrobiła nasza wioska? — zapytał Dan.

— O, zachowała się godnie, bardzo godnie! — zawołał Hal. — Choć mnie oszukali tak brzydko, jednakże byłem z nich dumny. Wyszedli sobie z zagród, popatrzyli na nasz zbrojny oddział, jak gdyby na przejeżdżającą pocztę, i sznurując usta poszli każdy do swojej roboty. Żadnego słowa ni znaku! Woleli zginąć niż dopuścić do tego, by Brightling miał triumfować nad nimi. Szubrawiec Will Ticehurst posunął się nawet do tego, że wychodząc z gospody „Pod Dzwonem”, gdzie od rana raczył się piwem, przebiegł tuż przed rumakiem imć pana Jana.

„Uważaj, mości diable!” — zawołał pan Jan ściągając cugle.

„Ho, ho! — odkrzyknął mu Will. — Czy to dziś targ? Czy przypędziliście tu wszystkie ciolki z Brightlingu?”

Bezczelny drab! Miałem go wysmagać rzemieniem, ale widząc jego śmiałość, darowałem mu te plagi!... Wszelakoż mistrz Collins najlepiej się popisał! Ten ze szczęką podwiązaną (widać Sebastian porządnie mu ją przetrzącił) pojawił się na ulicy właśnie

<sup>167</sup>kubana (daw.) — opłata za umożliwienie transakcji a. łapówka. [przypis edytorski]

w chwili, gdyśmy wyciągali jedno z mniejszych dział przez kruchnę.

„Zdaje mi się, że wam to cacko trochę cięży — zauważył. — Jeżeli mi zapłacicie, to wam pożyczę mego wasaga, bo niedobrze będzie maleństwu leżeć na wozach z wełną”.

Sebastian chciał coś odpowiedzieć, ale mu głosu nie stało: otwierał jeno i zamykał usta jak ryba. Był to jedyny raz w życiu, że go widział tak zdumionym i osłupiałym.

„Bez urazy — rzekł mistrz Jan. — Kupiliście tę armatkę nader tanio, więc myślałem, że nie poskąpicie mi grosza, gdy pomogę wam ją przewieźć”. Tak, to był istotnie cios mistrzowski! Powiadają, że ten ranek kosztował naszego Jana ze dwieście funtów, a on nawet okiem nie mrugnął, gdy widział, żeśmy działa załadowali na wozy i powieźli do Lewes.

— A potem też nic nie dał poznać po sobie? — zapytał Puk.

— Tylko raz jeden. Było to wówczas, gdy ofiarował do kościoła świętego Barnaby grające dzwony. (O, teraz już nie było takiej rzeczy, której by Collinsowie, Hayowie, Fowlowie czy Fennery nie uczynili dla przyozdobienia kościoła! „Proś, a otrzymasz!” — było stałą ich śpiewką). Właśnie zadzwoniliśmy w nie po raz pierwszy w ową porę, gdy on znajdował się na wieży, wraz z czarnym Mikołajem Fowlem, który fundował piękne balaski do naszego kościoła. Szelma jedną ręką ścisnął sznur od dzwonu, a drugą drapie się w szyję, powiadając: „Prędszej się nadał na ramę dzwonu niż na moją szyję!” I na tym koniec! Taki to był nasz Sussex... zawsze nierozważny, buńczuczny i junacki!

— A co potem się stało? — spytała Una.

— Potem... wróciłem do Anglii — odrzekł Hal z wolna. — Ta lekcja odczyła mnie próżności... jednakowoż powiadano, że dzięki mnie kościół świętego Barnaby stał się prawdziwym klejnotem... tak jest — klejnotem! No i pewnie! Zbudowałem go wśród swoich i dla swoich... a słusność miał ojciec Roger: nigdy nie zaznałem tylu zgryzot, ale i tylu triumfów, co tutaj. Taki to już jest bieg rzeczy... Kochany, kochany kraj!

I w zamyśleniu opuścił głowę na piersi.

— Koło kuźni stoi wasz tatuś. O czym on tak rozprawia ze starym Hobdenem? — odezwał się Puk otwierając dłoń, w której trzymał jakieś trzy listki.

Dan spojrział w stronę chaty Hobdena.

— Aha, wiem. Chodzi o ten stary dąb zwalony w poprzek strumienia. Ojczulek zawsze mówi, że trzeba go wykopać.

W dolinie było tak cicho, że basowy głos Hobdena doszedł wyraźnie do uszu dzieci:

— Niech ta pan robi, jako się panu podoba... ale kiejby nie te kręte korzeniska, już by tu dawno brzeg się oberwał. Jeżeli pan to drzewo wykopie, to w brzegu bedom takie dziury, że przy najbliższej powodzi strumyk wyleje. Ale niechta pan robi, jako się mu widzi. Jaśnie pani to lubi siadywać kole paproci na tym pniaku.

— No, no! Jeszcze o tym pomyślę — odpowiedział ojciec.

Una parsknęła cichym śmiechem.

— Jakież to diabeł siedzi w tej dzwonnicy? — z gnuśnym uśmiechem zapytał Hal. — Sądząc z głosu, jest to chyba któryś z Hobdenów.

— Ależ ten dąb zwalony jest wyborynym mostem dla królików pomiędzy trzema polami i naszą łąką — odezwała się Una. — Hobden powiada, że tam najlepiej zastawiać sidła na króliki... właśnie dziś dwa złapał. Hobden nigdy nie pozwoli wykopać tego dębu!

— Ach ten Sussex! Ten Sussex, zawsze nierozważny, buńczuczny i junacki! — wymamrotał Hal niewyraźnie.

W tejsze chwili mały zegar na kościele świętego Barnaby wydzwonił piątą godzinę, a głos ojca, wołający w stronę Małych Lip, do reszty rozproszył uroki czarnoksięskiego zaklęcia.

## PIEŚŃ PRZEMYTNIKÓW

Jeżeli zbudzisz się w noc ciemną i słyszysz tętent koni,

niech do okienka, na ulicę, ciekawość cię nie goni!

Nie pytaj o nic, główki nie susz w niepotrzebnym trudzie:

do ściany buzię zwróć, dziecino, aż przejdą owi ludzie!

Dwadzieścia pięć koników różnych  
urządza nocą wyścig!

Koroneczki dla dziewczeczki,  
a dla szpiega liścik!

Tytoń wiozą dla proboszcza, dla pisarza wódzę!  
Do ściany buzię zwróć, dziecino, aż pójdą stąd ci ludzie!

Jeżeli bawiąc się wśród lasu, napotkasz małe beczki,  
oblane smolą, obwiązane, pełne gorzałeczki,  
o, nie rozgłaszaj, coś znalazła, i nie bierz do zabawy,  
lecz chrustem przykryj baryłeczki — a jutro znikną z trawy!

Złodziej, Piraci

Jeżeli ujrzysz rozwalone na oścież stajni wrota,  
gdy widzisz, że czyjś koń zdyszany powalił się u płota,  
gdy twoja mama łąta odzież, podartą i stężałą,  
z wilgotną plamą na podszewce... nie pytaj, co się stało!

A gdy ujrzysz mundur, gdy celną straż napotkasz,  
nadstawiaj ucha, lecz nie paplaj! Niech wiedzą, żeś nie plotkarz!  
I choćby główkę twą głąskali, urodę twą chwalili,  
o, nie mów, kędy kto przebywał, gdzie bawi w onej chwili!

Gdy w noc w podwórzu kroki słyszysz lub hasło dane gwizdkiem,  
nie wołaj służby!... Psów szczekania czekaj przede wszystkim!  
Wszak widzisz, że nasz Bryś i Azor spokojnie siedzą w budzie  
i nie zrywają się z łańcucha, gdy jadą stąd ci ludzie!

Gdy spełnisz, co ci polecono, przy pierwszej sposobności  
dostaniesz lalkę prosto z Francji, prawdziwy cud piękności!  
Laleczkę w czepku koronkowym, z jedwabną pelerynką,  
od ludzi tych — w nagrodę za to, żeś grzeczną jest dziewczynką!

Dwadzieścia pięć koników różnych  
urządza nocą wyścig!  
Koroneczki dla dziewczeczki,  
a dla szpiega liścik!

Tytoń wiozą dla proboszcza, dla pisarza wódzę!  
Nie pytaj o nic, nie susz główki w niepotrzebnym trudzie:  
do ściany buzię zwróć, dziecino, gdy jadą precz ci ludzie!

#### 9. RÓJKA W DYMCHMURCH

Bzzz! Bzzz! Słuchajże, słuchaj brzęczenia swych pszczół!  
Choćbyś wobec sąsiadów tajne myśli knuł,  
ale nam, pszczołom, wyznać musisz sekret wszelki,  
inaczej ci nie damy miodu ni kropelki!

Kłamstwo

Uroczą panną młodą,  
gdy ślubny włoży tren,  
swym pszczółkom wieść niech poda!  
Inaczej — pierzchną hen!

Odleć hen, pierzchną jak sen,  
w świat pomkną w rojnej czeredzie!  
Ale kto kłamstwem nie zwodzi pszczół,

to pszczoła go nie zwiedzie!

Ochrczinach czy pogrzebie,  
wieść smutną czy wesołą,  
zza mórz przybyłą do ciebie,  
wyjawić musisz pszczołom!

Przez wrota do stodoły  
wlatywać pozwól im zawsze,  
bo tak ciekawe są pszczoły  
jak człek — a może ciekawsze!

Pod drzewem zły przytułek,  
gdy grom się zacznie jawić!  
Gdzie krążą roje pszczołek,  
nikogo nie nienawidź!

Bo one wnet odlecą het —  
i nigdy już nie wrócą.  
Lecz kto nie smuci nigdy pszczoł,  
pszczołki go nie zasmucą...

Właśnie zmierzch zapadał, gdy lekki deszczyk wrześnieowy zaczął skrapiać plecy ludzi zajętych zbieraniem chmielu. Mamusie jeły pośpiesznie uchodzić z ogrodów, tocząc przed sobą podskakujące wózki dziecięce; sprzątnięto płachty napełnione chmielem i zamknięto księgi rejestrów. Młode pary, tuląc się pod parasolami, wracały do domu, kawalerowie szli poza nimi, prowadząc pełną śmiechów rozmowę. Dan i Una, którzy po lekcjach pomagali zbierać chmiel, poszli piec ziemniaki do suszarni, gdzie już od miesiąca mieszkał zajęty suszeniem stary Hobden, wraz z błękitnooką Bietką, suczką rasy owczarskiej.

Usiedli, jak zwykle, na wysłanym workami tapczanie naprzeciw pieców suszarskich; gdy zaś Hobden podniósł w górę drzwiczki paleniska, wpatrzyli się, jak zwykle, w złożone tlejących węgielków, rozlewających miłe ciepło po ciemnym wnętrzu starej, kolistej budowli. Staruszek przyniósł kilka nowych kawałków węgla, połupał je z wolna, drobniusko, i niestrudżonymi palcami kładł je w ogień — tam gdzie najczęściej były potrzebne. Potem powoli sięgał poza siebie i silną dłonią, podobną do żelaznej szufli, zagarniał podawane mu przez Dana ziemniaki. Następnie układał je starannie dokoła ogniska, po czym stał przez chwilę, odbijając się czarną sylwetką na tle czerwonego zarzewia. Gdy na koniec zamknął drzwiczki pieca, w całej suszarni zrobiło się nagle ciemno jak o zmroku, więc Hobden zapalił małą świeczkę w latarni. Dzieci znały doskonale wszystkie etapy przygotowania i lubiły je bardzo.

Syn Hobdena, pszczelarczyk, który w głowie nie wszystko miał do rzeczy, ale za to umiał wybornie obchodzić się z pszczołami, wśliznął się, niby cień, do suszarni. Dzieci nie domyśliłyby się nawet jego przybycia, gdyby nie Bietka, która nagle zaczęła wesoło merdać kusym ogonkiem.

Na dworze, wśród szemrzącego deszczu, rozległ się czyjś głos nucący tubalnie:

Zmarła stara babuleńka — rok temu bez mała,  
gdy o chmielu zaśpiewali, zaraz zmartwychwstała!

— Cóż to takiego! — zawołał stary Hobden oglądając się pośpiesznie. — Dyc nie było na świecie dwóch ludzi, co by mieli głos taki!

A tymczasem już było słycać drugą zwrotkę:

Moiściewy, dzisiok pewnie chmiel zbierają chłopcy,  
z których, kiedym była młoda, nikt mi nie był obcy!

W drzwiach ukazał się jakiś mężczyzna.

— No! No! — zawołał Hobden. — Powiadają, że zbieranie chmielu potrafi z grobu wyciągnąć nawet nieboszczyka... a tera to ja już temu wierzę... To ty, Tomek?... Tomek Shoesmith?

I zniżył latarnię, by przyjrzeć się przybyłemu.

— Cóż to, Ralfie! Czy tak długo trzeba się nad tym zastanawiać?

To mówiąc nieznanymi wielkimi krokami wszedł do suszarni. Był to chłop olbrzymi, o całe trzy cale wyższy od Hobdena, o ciemnej twarzy, siwych bokobrodach i jasnych, niebieskich oczach. Podali sobie ręce, a dzieci posłyszały, jak twarde dłonie zatrzeszczały w silnym uścisku.

— Oho! Widzę, że chwytny masz zawdy tęgi! — zawołał Hobden. — ileż to lat będzie... trzydzieści czy czterdzieści... jak rozwaliłeś mi głowę na jarmarku w Peasmarsh?

— E, tylko trzydzieści, a resztą co tam wspominać to rozbitcie głowy. Wyrównaliśmy się dokumentnie, boś ty mi się odplacił tyczką od chmielu. A jak dostałeś się wtedy nocką do domu? Czy przepłynąłeś przez moczary?

— Dostałem się tą samą drogą, jaką bażant wlaź do torby Gubbsa... Trza było mieć tylko odrobinę szczęścia i dużo przemyślności — odpowiedział stary Hobden śmiejąc się na całe gardło.

— Widzę, że nie zapomniałeś jeszcze chodzić po lasach... A czy jeszcze bawisz się w ten sposób?

Tu nieznanomy wykonał taki gest, jak gdyby przykładał do oka strzelbę.

Hobden odpowiedział mu szybkim ruchem ręki, naśladującym zastawianie siodeł na króliki.

— O nie! Teraz mi tylko to pozostało. Trza liczyć się z siłami wieku. A co to się z tobą działo przez tyle lat?

Byłem ci ja w Plymouth, w Dover byłem przecie —  
oj, tułałem ci się, chłopcy, po szerokim świecie!

— zaśpiewał chłop wesolo. — Myślę, że poznał Starą Anglię, wela tylko można.

Tu zwrócił się ku dzieciom i mrugnął na nie, jakby wyzywająco.

— Tak? To ci tam musieli nabajać różnych niestworzonych rzeczy. Ja ino raz byłem w Starej Anglii... dojechałem aż do samego Wiltshire... tam mnie oszwabili porządnie, kiej kupowałem rękawice ogrodnicze! — burknął Hobden.

— E, wszędzie ludziska potrafią człowieka okłamać — odpowiedział Tomasz. — Widzę, że już na dobre przyłgnąłeś do swoich stron i nie chce ci się stąd ruszać.

— Starego drzewa nie trza przesadzać, bo uschnie — zaśmiał się Hobden. — A mnie mniej się kwapi do śmierci, jak tobie dzisiaj do pomagania mi przy chmielu.

Olbrzym oparł się o ceglana ścianę suszarni i rozpostarł szeroko ręce.

— Najmij mnie do roboty! — zawołał i obaj, śmiejąc się, ruszyli na górę.

Po chwili dzieci posłyszały szuranie łopatami po wielkim płótnie, na którym leżały żółte kiście chmielu, suszące się nad ogniem. W miarę jak przewracano chmiel na drugą stronę, suszarnia zaczęła wypełniać się słodką, usypiającą wonią.

— Kto to taki? — szepnęła Una do pszczelarzyka.

Na strychu suszarni słychać było ciężkie kroki posuwające się to w jedną, to w drugą stronę, a gwar rozmowy przeplatał się częstym i stłumionym śmiechem.

Nagle przez otwór w górze zsunął się worek do chmielu i począł pęcznieć i tężeć w miarę, jak weń sypano suszki chmielowe.

„Brzęk!” — stuknęła prasa i ugniotła syпки miąższ w twardą cegielkę.

— Powoli! — zawołał Hobden. — Przedrzesz worek, jeżeli będziesz tak walił. Jesteś tak nieostrożny jak byczek Gleasona, mój Tomku. No, na teraz wystarczy. Chodź, usiądziemy sobie przy ogniu.

Zeszli w dół, a gdy Hobden otworzył drzwiczki pieca, by zobaczyć, czy ziemniaki już się upiekły, Tom Shoemsmith rzekł do dzieci:

— A nasypta mi dużo soli, to zara obaczycie, kim jestem.

To rzekłszy, znowu mrugnął na nich. Pszczelarczyk znów się zaśmiał, a Una spojrzała na Dana pytającym wzrokiem.

— Ja i tak wiem, kim jesteś — mruknął stary Hobden wygrzebując z pieca ziemniaki.

— Naprawdę wiesz? — mówił dalej Tomek spoza jego pleców. — Niektórzy z nas nie znoszą podków, kościelnych dzwonów i płynącej wody... Ale skoro mowa o bieżącej wodzie... — tu zwrócił się do Hobdena, który właśnie wycofał się nieco z izby — czy pamiętasz tę wielką powódź w Robertsbridge, kiedy młynarczyk utonął na równej drodze?

— O, dobrze pamiętam! — odpowiedział stary Hobden przysiadając na kupie węgla koło drzwi. — Było to właśnie w owym roku, kiej starałem się o moją żonę nieboszczkę. Byłem wtedy u pana Pluma za woźnicę i zarabiałem dziesięć szylingów na tydzień. Moja kobita mieszkała hawok na trzęsawiskach.

— Cudaczny to kraj, ta trzęsawica romneyska — zauważył Tomek Shoemsmith. — Słyszałem, jak mówiono, że cały świat dzieli się na Europę, Azję, Afrykę, Amerykę i romneyskie mokradła.

— Juści nie inaczej sobie myślą tamtejsi ludziska — potwierdził Hobden. — Nie małom się natrudziłem, by namówić moją babę, żeby wyprowadziła się stamtąd.

— A skąd to ona pochodziła?... Bom ci już zapomniał, mój Ralfie.

— Ano z Dymchurch, spod Wału — odpowiedział Hobden trzymając w ręce ziemniak.

— Więc czy była z domu Pett, czy Whitgift?

— Whitgift — odrzekł Hobden i rozłamawszy ziemniak, zaczął go zajadać z tą przedziwną zręcznością, jaką okazują w jedzeniu ludzie nawykli do posilania się choćby wśród największego wichru na dworze. — Z czasem, gdy pożyła trochę wśród borów, nabrała zupełnego rozsądku, ale przez pierwsze dwadzieścia parę lat była z niej istna dziwaczka, na którą nie było rady. A przy tym miała osobliwie szczęśliwą rękę do pszczół.

Odkrajał kawałek ziemniaka i rzucił go za próg.

— Aha! Słyszałem, że Whitgiftowie umieją zobaczyć przez młyńskie koło więcej niż ktokolwiek inny — rzekł Shoemsmith. — Czy ona też to potrafiła?

— O nie! Było to zacne kobiecisko... świeć Panie nad jej duszą... i nie zajmowała się nijaką sztuką czarnoksiężską! — obruszył się Hobden. — Ino, że czytała różne znaki i wróżby z przelotu ptaków, ze spadania gwiazd, z rójki pszczół... i innych podobnych rzeczy. I nieraz też leżała w łóżku, nie śpiąc przez noc całą... i nad słuchując, jako mówiła, różnych nawoływań.

— E, to niczego nie dowodzi — odrzekł Tom. — Wszyscy mieszkańcy trzęsawisk byli z wiek wieka przemytnikami... więc widać miała we krwi to nad słuchiwanie po nocach.

— No, pewnością — rzekł Hobden uśmiechając się. — Pamiętam, jak to szmuglowano nie tylko na trzęsawiskach, ale i bliżej... Ino, że moja kobieta tym się nie zajmowała. Plotła mi ciągiem różne bajdy — tu głos zniżył — o jakichś tam... jakichś... Czterolatkach...

— Tak, słyszałem, że mieszkańcy moczarów wierzyli w takie rzeczy — rzekł Tom wpatrując się w szeroko otwarte oczy dzieci, tulących do siebie suczkę.

— Czterolatki?! — zawołała Una. — Nie! Chyba Czaroludki! Tak, już teraz rozumiem<sup>168</sup>.

— Górcy Ludkowie! — poprawił pszczelarczyk rzucając ku drzwiom połowę ziemniaka.

— Oto go macie! — zawołał stary Hobden wskazując na niego. — Mój syn wziął po matce nie tylko oczy, ale i te swoje dziwactwa. Tak właśnie ona nazywała te dziwy!

— A ty co myślałeś... o tym wszystkim?

— Hm! Hm! — zamruczał Hobden. — Człek, który po ciemku tyle, co ja, nachodził się po polach i gajach, nigdy nie zejdzie ze swej drogi, chyba że mu przyjdzie uciekać przed stróżem.

<sup>168</sup> Czterolatki?! [...] Chyba Czaroludki! — zacny Hobden może niechcący, może naumyślnie przekręca właściwą nazwę. W oryginale „Czaroludki” zwą się *Fairies* (czyt. *fejryz*), a w wersji Hobdena — *Pharisees* (czyt. *fejryz*), co oznacza... faryzeuszów. [przypis tłumacza]

— Ale w innym wypadku? — nalegał Tomasz. — Widziałem przed chwilą, jak rzucałeś najlepszy kąsek za próg. Czy ty w to wierzysz... czy może...?

— E, na tym zimnioku było takie duże, czarne oczko — wymijająco odrzekł Hobden.

— Moje małe oczko widocznie go nie dojrzało... Wyglądało mi to tak, jak gdybyś przeznaczał ten kąsek dla kogoś, komu mógł być potrzebny. Ale dajmy temu spokój. Czy ty wierzysz... czy może...?

— Nie mówię nic, bom nic nie słyszał i niczego nie widział... Ale jeżelibyś powiedział, że w nocnych godzinach po lesie uwija się coś więcej oprócz ludzi, zwierząt, ryb i ptaków, nie wiem, czybym nazwał cię kłamcą. A teraz na ciebie kolej, Tomasz. Co ty powiesz na to wszystko?

— Ja zrobię tak jak ty — i nic o tym nie powiem, ale za to opowiem ci jedną gadkę, a ty już sobie zrób z nią, co ci się będzie podobało.

— Baj, baj, będziesz w raju — mruknął Hobden, ale skwapliwie zaczął nabijać fajkę.

— Mieszkańcy Żuław<sup>169</sup> nazywają to „Rójką w Dymchurch” — rzekł z wolna Tomasz. — Czyście kiej o tym słyszeli?

— Moja kobieta opowiadała mi to kilkadziesiąt razy. Czasami, bywało, jużem pod koniec prawie zaczynał wierzyć.

To rzekłszy Hobden przeżegnał się i zapalił tytoń w fajce u żółtego płomienia świecy. Tom rozsiadł się wśród węgla, oparłszy olbrzymi łokieć na równie olbrzymim kolanie.

— Czy byliście, paniczku, kiej na Żuławach? — spytał Dana.

— Raz tylko... i to nie dalej jak w Rye — odpowiedział Dan.

— E, toś był ino na samym ich skraju! Tam dalej jest się czemu przypatrować: dzwonnice stoją obok kościołów, baby-znachorki nie siedzą w chałupach, ino przed progiem, morze se szumi ponad łądem, a dzikie kaczkę gnieźdzą się po rowach. Całe Żuławy są pokratkowane rowami i śluzami, groblami i ściekami... Kiej nadchodzi przypływ, wszystko to zaczyna bełtać się i bulgotać, a potem słyhać, jak morze na prawo i lewo wzbiera wzdłuż wielkiej tamy. A czy widziałeś, jaka to tam równia jest na Żuławach? Zdawałoby się, że nic łatwiejszego, jak przejść ją całą z jednego końca na drugi. Bogać tam! Te wszystkie rowy i kanaliki tak się tam wiją i płaczą jak kądziel na kołowrotku czarownicy, że i w biały dzień nietrudno tam zablądzić.

— A to wszystko dlatego, że tam wydrzynowali wody do rowów! — wtrącił się Hobden. — Kiej jeszcze starałem się o mą kobietę, wszędy tamok były zielone sitowia... a jakże... zielone sitowia... a blocki starosta hasał sobie tam i sam swobodnie kiej żaba...

— Któż to był taki? — zapytał Dan.

— A któż by jak nie ta frybryja i gorączka, co się na bagniskach lęgnie! Raz czy dwa poklepała ona i mnie po ramieniu: wytrzymałem się porządnie. Ale teraz to drynowanie wody wyгнаło precz wszystkie fybryje, więc se ludzie żartem powiedają, że się pon starosta obalił w rowie i kark se skręcił. A jest to miejsce wyborne i la kaczek, i la pszczoł.

— I stary to kraj — mówił dalej Tomasz. — Ludzie tam mieszkają od niepamiętnych czasów. Mówiąc między nami, owe Czterolatki zawdy podobno miłowały ten kraj bardziej niż inne okolice Starej Anglii. Tak powiedają ludziska tamtejsi, którzy zapewne przekonali się o tym na własnej skórze, bo przecie od wieków, odkąd owce runem porastały, odbywali z ojca na syna nocne wyprawy, przemycając towar wszelaki. Mówią, że ilekroć to czynili, zawdy widywali owe Czterolatki, co najmniej po kilka naraz. Były natrętne i bezczelne jak króliki. Tańczyły w biały dzień po gościńcach, a wieczorem zapalały zielone światełka po przekopach, snując się tam i z powrotem jak prawdziwi przemycnicy. Ba, czasami w niedzielę zamykały przed nosem księdzu albo kościelnemu drzwi kościoła.

— E, to przemycnicy właśnie tam chowali wódkę albo drogie hafty, póki nie mieli znów sposobności wyprawić się na trzęsawiska. Nieraz mi o tym opowiadała moja nieboszczka — odrzekł Hobden.

— Założyłbym się, że nie wierzyła temu, co mówiła... nie byłaby z domu Whitgiftówna! Wszystkie opowieści są w tym zgodne, że Żuławy były dla Czterolatek najulubieńszym siedliskiem, póki ojciec królowej Bietki<sup>170</sup> nie wprowadził do nas reformacji.

Wierzenia, Religia

<sup>169</sup>Żuławy — tu: Romney Marsh, tereny na pld. wybrzeżu Anglii, w hrabstwach Kent i Sussex, na wschód od Pevensey; żuława — urodzajne, zalewowe ziemie przy ujściu rzeki do morza. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>ojciec królowej Bietki — Henryk VIII (1491–1577), wprowadził w Anglii reformację, aby uniezależnić się od papieżstwa i uzyskać rozwód z pierwszą żoną, która nie mogła dać mu syna. Królowa Elżbieta (tu w zdr. Bietka)

— To chyba było coś jakby akt parlamentu? — zapytał Hobden.

— Pewnikiem. W Starej Anglii nigdy się człek nie obejdzie bez aktów, dokumentów i wezwań sądowych. Ojciec królowej Bietki, jak powiadają, dostał taki akt, co mu na wszystko pozwalał, i zaczął haniebnie dawać się we znaki parafialnym kościołom, przy czym pozabijał ludzi co niemiara. Niektórzy w Anglii z nim trzymali, ale niektórzy inaczej na to patrzyli; powstały różne partyje, mordowały się one i paliły wzajemnie; kto był górą, nie oszczędzał drugiego, a okrucieństwu nie było miary. To zatrwżyło owe Czterolatki, albowiem dla nich zgoda między ludźmi jest jadłem i napojem, a nienawiść trucizną.

— Tak samo i dla pszczół — wtrącił się pszczelarczyk. — Pszczoły nie chcą mieszkać koło domu, gdzie panuje nienawiść.

— Prawda — rzekł Tomasz. — Więc one wszystkie reformacje wypłoszyły od nas Czterolatki, jak żniwiarz, chodzący koło ostatniego zagonu pszenicy, wypłasza króliki. Zleciały się tu ze wszystkich stron na Żuławę i powiadają: „Czy to pięknie, czy niepięknie, będziemy musieli i stąd uchodzić, bo już skończyły się szczęśliwe dni Anglii, a nas zaczęto prześladować pospołu ze świętymi obrazami”.

— Czy one wszystkie tak się na to zapatrywały? — zapytał Hobden.

— Wszystkie, prócz jednego, któremu na imię było Robin... możecie ta o nim kiedy słyszeli?... A czego się tak śmiejecie, dziatki? — zwrócił się do Dana. — Nijakie czarne zgryzoty nie trapiły Robina, bo on przyłgnał do ludzi i spoufalił się z nimi wielce. Jemu też nie chciało się uchodzić ze Starej Anglii... więc go posłano między ludzi, ażeby prosił ich o pomoc. Ale ludziska zawdy myślą ino o własnych kłopotach, więc Robin w żaden sposób nie mógł przemówić im do serca. Słyszając jego słowa, myśleli, że to szelest fal morskich pluszczących się na Żuławach.

— A czego wam... to jest... Czaro... Czterolatkom było potrzeba? — zapytała Una.

— Ano czegoż by jak nie łodzi? Ich skrzydełka, nie większe od skrzydełek motyli, pomęczyłyby się setnie i nie potrafiłyby przelecieć Kanału Angielskiego<sup>171</sup>... Potrzeba więc im było łodzi i paru flisaków, co by ich przewieźli do Francji, gdzie jeszcze nie niszczone obrazów<sup>172</sup>. Nie mogły znosić okrutnego dźwięku kanterberskich dzwonów, nawołujących do palenia na stosie coraz większej gromady biednych chłopów i kobiet, nie mogły ścierpieć widoku hardych gońców królewskich, jeżdżących po całym kraju i nakazujących niszczenie obrazów. o nie! Nie mogły się z tym nijak pogodzić! Ale bez pożegnania i bez życzliwości ludzkiej niepodobna im przecie było dostać łodzi i przewoźników. A ludzie krzatali się jeno wedle swych jenteresów, nie bacząc na to, że Żuławy roily się i roily coraz większym napływem Czterolatek z całej Anglii, siłających się wszelkimi sposobami, żeby ich smutna doła poruszyła do głębi serca ludzkie... Nie wiem, czyście słyszeli, że Czterolatki są podobne do małych dzieci?

— Moja baba zawdy mi to powiedała — rzekł Hobden zakładając ogorzale ręce.

— I prawdę ci mówiła. Jeżeli zgromadzić wiele dzieci na jednym miejscu... to łatwo się między nimi pojawi choroba i one poumierają. Podobnie bywa, gdy się w jednym miejscu zgromadzi wiele Czaro... Czterolatek... One wprawdzie nie powymierają, ale ludzie, którzy chodzą między nimi, łatwo nabawiają się choroby i giną, choć Czterolatki wcale tego sobie nie życzą... Ludzie o tym nie wiedzą, ale to wszystko prawda... Nieraz o tym słyszałem! Czterolatki, tak zatroskane i przerażone, na próżno siłac się prośbami trafić do serc ludzkich, w końcu zaniechały grzecznego obejścia się z ludźmi. Jakoby jakaś sroga burza przeciągnęła nad Żuławami! Widywano dziwne światła świecące nocą przez okna kościelne; widywano, jak bydło rozpraszało się nagle, choć nikt go nie straszył, owce zbijały się w kupę, choć nikt ich nie spędzał; konie pieniały się, choć nikt na nich nie jeździł; widywano coraz więcej zielonych światełek błyszczących wśród rowów; słyszano więcej niż zwykle drobnych nóżąt, przytupujących wokoło domów. Po całych dniach i nocach ludziska spotykali albo czuli koło siebie jakieś dziwa, które nigdy nie umiały wyrazić, czego im potrzeba. O, musiało być ludziom wtedy gorąco! Nie rozumieli, co się dzieje, nie mogli sobie znaleźć nijakiej rady przez cały ten czas, gdy Czterolatki roily się

była owocem drugiego małżeństwa Henryka. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>Kanał Angielski, ang. *English Channel* — kanał La Manche. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>niszczone obrazy — skrajnie protestancka frakcja, dominująca w Anglii za panowania Edwarda VI, zorganizowała w 1549 r. konfiskatę dóbr kościelnych, niszczone wtedy katolickie święte obrazy i naczynia liturgiczne. [przypis edytorski]



na trzęsawiskach... Ale, że byli ludźmi, i to ludźmi z Żuław, więc se w końcu pomyśleli, że wszystkie te znaki wróżą cosik niedobrego, że albo morze rozwali wielką tamę koło Dymchurch i zaleje ich, jak zalało niegdyś Winchelsea<sup>173</sup>, albo że ich nawiedzi morowe powietrze. Pozierali hen daleko w górę — ku chmurom — albo na morze, chcący zmiarkować, co się święci... a nikiej nie przyszło im do głowy, by obaczyć, oo się dzieje niewysoko, tuż obok nich... bo i tak nie ujrzeliby tam niczego.

A w Dymchurch, pod tamą, mieszkała biedna wdowa. Nie miała ani męża, ani majątkości, więc łatwiej jej było wczuć się w cudzą biedę. Zrozumiała, że za jej progiem snuje się niedola, cięższa i sroższa niż wszystko, cokolwiek sama zniosła w swym życiu. Bo ta wdowa miała dwóch synów; jeden urodził się ślepy, a drugi zaniemówił, spadłszy z tamy jeszcze w dziecięcym wieku. Byli już dorośli, ale nie umieli zarobić na siebie, więc pracowała na nich, hodując pszczoły, i dawała porady.

— Jakie porady? — zapytał Dan.

— Ano takie: jak znaleźć rzecz zgubioną, co przykładać dziecku do szyjki, jeżeli ma skrzywioną, i jak pogodzić zwaśnionych kochanków. Niedolę, ciągnącą przez Żuławy, przeczuwała tak, jak węgorz przeczuwa nadchodzącą burzę. Była to mądra kobieta, zna-chorka.

— Moja kobieta też przedziwnie wyczuwała każdą odmianę pogody — rzekł Hobden. — Widywałem, jak przed burzą sypały się iskry z jej włosów niby z kowadła. Ale nigdy nie dała się namówić do dawania porad.

— Ona kobieta była z tych, co zgadują sny. W noc jedną, gdy leżała w łóżku, schorowana, nękana gorączką, nagle przyszła do niej senna zmora, zastukała do okna i zawołała: „Wdowo Whitgift! Wdowo Whitgift!” Kobieta, słysząc szelest piór i głos piskliwy, myślała, że to czajki nawołują, ale w końcu wstała, ubrała się i otworzyła drzwi w stronę trzęsawiska... A wtedy posłyszała wokół siebie jęk i troskę, trzęsące światem jako mocna frybra, więc poczęła wołać: „Co to takiego? Ach, co to takiego?”

Wówczas coś się stało takiego, jakoby wszystkie żaby wraz poczęły skrzeczeć, potem jakoby wszystkie trzciny poczęły szeleścić po rowach, a potem wielka fala przypląwu zahuczała wzdłuż tamy. Więc kobieta nie posłyszała odpowiedzi.

Trzy razy nawoływała i trzy razy przypląw zagłuszył jej wołanie. Na koniec udało się jej trafić na chwilę ciszy, a wtedy krzyknęła: „Jakaż to niedola chodzi po trzęsawiskach, od miesiąca już ciążąc mi na sercu i nie dając wypoczynku memu ciału?” W tej chwili poczuła, że jakaś mała rączynka trzyma ją za brzeg spódnicy. Schyliła się, by pochwycić tę rączkę... i...

Tu Tomasz Shoesmith przerwał na chwilę, wyciągnął wielką pięść ku ognisku i uśmiechnął się do niej.

— ...i pyta: „Czy morze chce zalać nasze Żuławy?” Bo była z krwi i kości Żuławianką i kochała swe strony rodzinne.

„Nie — odpowiedział cichuśki głosik. — Niech ci to snu nie zakłóca!”

„Czy grozi nam morowe powietrze?” — zapytała, bo nie wiedziała, że są jeszcze inne klęski na świecie.

„Nie! Niech ci to snu nie zakłóca!” — odrzekł Robin.

Więc odwróciła się, już zamierzając wniść z powrotem do domu, ale owe głosiki zaczęły labiedzić tak przeraźliwie i żałośnie, iż zatrzymała się i zawołała: „Jeżeli nie jest to żadna boleść ludzka, tedy cóż wam poradzę?”

Czterolatki poczęły wołać na nią ze wszystkich stron, żeby dała im łódkę, bo chcą odpłynąć do Francji i nigdy już tu nie wrócić.

„Łódka jest pod tamą — odpowiedziała wdowa — ale nie potrafię jej spuścić na morze ani też pokierować tam, gdzie potraza”.

„Daj nam swoich synów! — zawołały spolem wszystkie Czterolatki. — Użycz im pozwolenia z dobrowoli, aby nas przewieźli... o matko, matko!”

„Jeden jest ciemny, a drugi niemy — odpowiedziała wdowa. — Ale tym więcej Kocham ich obu... a wy mi ich zgubicie na wielkim morzu.” A właśnie w tej chwili one głosy przeniknęły ją aż do głębi serca, a były pomiędzy nimi i głosiki dziecięce. Wszystkiemu

<sup>173</sup>morze rozwali wielką tamę koło Dymchurch i zaleje ich, jak zalało niegdyś Winchelsea — mowa o wielkiej powodzi, która w lutym 1287 r. zniszczyła południowe wybrzeża Anglii. Miasto Winchelsea zostało odbudowane na nowym, wyżej położonym miejscu. [przypis edytorski]

mogła się oprzeć, tylko nie temu dziecięcemu kwileniu. Rzekła więc: „Jeżeli wam uda się wyciągnąć moich synów do tej roboty, to nie będę się sprzeciwiała. Nie możecie więc jej żądać od matki”.

A wtedy ujrzała one Czterolatki tańczące i przelatujące jako małe, zielone ogniki wkoło niej, aż jej się w głowie poczęło mącić; posłyszała, jak tętniły i tupotały tysiącem małych nóżek; posłyszała srogie kanterberskie dzwony i wielką powódź przyływu, bijącą z hukiem o tamę. Tymczasem Czterolatki ulepiły senne przywidzenie, co miało obudzić jej obu synów. Kiej tak stała, gryząc palce, obaczyła, jak obaj jej rodzeni synaczkowie wyszli z chałupy i minęli ją, nie mówiąc ani słowa. Płacząc żałośliwie, poszła za nimi aż do miejsca, gdzie przy tamie była przywiązana stara łódka. Wzięli tę łódkę i zbiegli z nią ku morzu.

Gdy już ustawili maszt i rozpięli żagiel, syn niewidomy tak się odezwał: „Matko, czekamy twego zezwolenia i twej życzliwości, byśmy mogli ich przewieźć na drugi brzeg”.

Tu Tom Shoesmith odrzucił w tył głowę i przymrużył oczy, po chwili zaś rzekł:

— Hej, dzielna to była a mądra kobieta, ta wdowa Whitgift! Trzęsła się jak osiczyna, ale stała czas jakiś na brzegu, nawijała na palce końce swych długich warkoczy i rozmyślała se, co ma zrobić. Czterolatki wkoło niej uciszyły z płaczu swą dziatwę i czekały w głuchym milczeniu: od niej jednej cały ich los zależał... Ona była matką, a bez jej zezwolenia i przychylności nie mogły wyjechać... Trzęsła się więc jak osiczyna i rozmyślała, co ma zrobić. W końcu zdobyła się na odpowiedź i wyrzekła przez zaciśnięte zęby: „Jedźcie! Jedźcie z mym pozwoleniem i życzliwością...”

Wtedy obaczyłem... to jest, opowiadają, że nagle zachwiała się i musiała szukać oparcia, jak gdyby wypadło jej kroczyć przez wzbierającą wodę, albowiem w tejże chwili przelatując koło niej poczęły spieszące ku łodzi nieprzeliczone gromady Czar... Czterolatek... Nie wiem, wiele ich tam było: i żon, i dzieciów, i różnej majętności... Jako to wszystko uciekało z okrutnej Starej Anglii! Słychać było brzęczenie śrybła i stuk małych tłumoczków rzucanych na dno łodzi, i chrzęst małych mieczyków i puklerzyków, i chrobotanie małych paluszków drapiących się śpiesznie na burty łodzi, gdy synowie wdowy już odbijali od brzegu. Łódź zapełniała się i zagłębiała coraz bardziej w wodę, ale wdowa nic nie widziała, ino tych dwóch synów swoich, jako z trudnością posuwali się wśród ław, żeby dostać się do lin masztowych. Rozwinęli żagiel; łódź, obciążona jak wielki galar, ruszyła w dal i niebawem znikła w siwych mgłach pobrzeżnych... A wdowa usiadła na brzegu i siedziała tak do ranka, pocieszając się w żałosci...

— Słyszałem przecie, że nie została zupełnie sama — wtrącił się Hobden.

— Owszem, i to pamiętam. Jeden z tych Czar... jak ich tam zwali... ten, któremu na imię było Robin, jak opowiadają, pozostał przy niej. Ale ona była tak strapiona, że ani jej się śniło słuchać, co on tam do niej gadał i obiecywał.

— E, ona przecie powinna się była przedtem z nimi potargować! — zawołał Hobden. — Zawdy mówiłem to mojej kobiecie.

— O nie! Ona ze szczerego serca, a nie dla nijakiego zysku oddała im swoich synów. Odczuwała tę niedolę, jaka chodziła po Żuławach, a więc z dobrowoli pragnęła jej ulżyć.

Tu Tomasz zaśmiał się z cicha.

— Tak! I sprawiła to, co zamierzała! Dopięła swego! Ledwo one... Czterolatki odleciały, od Hithe do Bulverhithe każdy człek, czy chłop, czy baba, dziewczyna czy dziecina, odczuł w powietrzu jakąś wielką odmianę na lepsze. Ludziska odświeżeni i rześcy wyleźli z chałup jako ślimaki po deszczu. A tymczasem wdowa Whitgift siedziała w smutku ciągiem na tamie, choć powinna była uwierzyć nam... to jest zaufać, że jej synowie powrócą! Ale też było co niemiara radości i krzyku, gdy po trzech dniach łódka przybiła do brzegu.

— Zapewne obaj synowie wrócili uzdrowieni? — napytała Una.

— E, gdzie! To byłby już cud! Powrócili tacy sami, jacy wyjechali. Ciemniaczek nic nie obaczył, a niemowa, ma się rozumieć, nie mógł opowiedzieć tego, co widział. Przypuszczam, że właśnie z tej przyczyny Czterolatki wynajęły ich do tego przewozu.

— A co ty... Co Robin obiecywał wdowie? — zapytał Dan.

— Co on jej obiecywał? — odpowiedział Tomasz udając, że usiłuje sobie przypomnieć. — Ale... ale! Przecież twoja kobieta, Ralfie, była z domu Whitgiftówna. Czy ona ci nikię nie mówiła nic o tym?

— Opowiadała mi różne niestworzone rzeczy, kiedy ten smyk się urodził — odrzekł Hobden wskazując na syna. — Mówiła, że zawsze wśród nich musi być jeden taki, co będzie umiał przez kamień młyński patrzeć w daleką przyszłość...

— To ja! To ja! — krzyknął pszczelarczyk tak gwałtownie, iż wszystkich pobudził do śmiechu.

— Teraz już wiem! — zawołał Tomasz klepiąc się po kolanie. — Robin obiecał, że dopóki będzie trwać w świecie krew Whitgiftów, zawsze w tej rodzinie będzie jeden taki, którego nie dotknie żadna zgryzota, do którego nie będzie wdychała żadna dziewczyna, którego żadna noc nie przejmie lękiem, żadna trwoga nie ukrzywdzi, żadna krzywda nie powiedzie do grzechu i żadna kobieta nie wystrychnie na dudka.

— I cóż? Czy to nie ja? — zapytał pszczelarczyk, siedzący pośrodku czworokątnej smugi księżycowej, wkradającej się w pełni jesiennego blasku przez uchylone drzwi suszami.

— Rychtyk, takie były słowa mej nieboszczki, gdyśmy się przekonali, że chłopak nie jest taki jako inni. Ale dziwi mnie, skąd ty o tym wiesz? — rzekł Hobden.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się Tomasz. — Niech ci się, Ralfie, nie wydaje, że mam pod czapką ino kołtuny i nic więcej! Gdy odprowadzę tych dwoje malców do domu, to my sobie we dwóch przypomnimy dawne dobre czasy i będziemy sobie przez noc całą opowiadali różne stare bajdy. Ale czy panicz daleko mieszka? — zwrócił się do Dana. — A jak panienka myśli? Czy tatuś poczęstuje mnie kufelkiem piwa, gdy was zaprowadzę do domu?

Dzieci tak się ubawiły tymi jego słowami, iż musiały wybiec na dwór, by wyśmiać się do woli. Tomasz podniósł ich oboje w górę, posadził Dana na jednym ramieniu, a Unę na drugim i maszerując tęgim krokiem, poniósł ich przez zarosłe paprocią pastwisko, omijając krowy zionące na nich w poświacie księżycowej kłębam mlecznobiałej pary.

— Ach, Puku, Puku! Jakże mogłeś tak z nami postąpić! Przecież ja od razu cię poznałam, ledwo zaczęłaś mówić o soli! — zawołała Una bujając się z zachwytem na jego szerokim ramieniu.

— Jakże to postąpiłem? — zapytał Tomasz wdrapując się na schodki koło dębu, mocno ogołoczonego z gałęzi.

— Udawałeś, że jesteś Tomaszem Shoesmith! — zawołał Dan.

W tejże chwili wszyscy troje schylili głowy, by nie uderzyć się o gałęzie dwóch małych jesionów rosnących przy mostku nad półtociem. Tomasz przyspieszył kroku, niemal pędził.

— Tak, przecie to moje imię, paniczu — odparł Tomasz biegnąc przez cichą, księżycem osrebrzoną łąkę, gdzie przy wielkim, oszronionym głogowcu koło boiska krokietowego trwożnie przycupnął duży królik. — A oto już jesteście w domu!

To mówiąc wkroczył na stare podwórze, od strony kuchni, i zsadził ich na ziemię właśnie w chwili, gdy z domu wybiegła Helenka, by dowiedzieć się, kto przybył i co się stało.

— Nająłem się do roboty przy chmielu w suszami — wyjaśnił jej Tomasz. — O nie, panienko, nie jestem obcy. Znałem te okolice, jeszcze zanim matka panny na świat przyszła... O tak, gorąco było przy tym chmielu i w gardle mi zaschło!... O dziękuję...

Helenka poszła do kuchni po kufelek piwa, a dzieci weszły do mieszkania — zaczęrowane znowu listkami dębu, głogu i jesionu...

Zakochany jestem w trzech tych rzeczach wraz:  
kocham wzgórze nadmorskie, żuławę i las.  
Co miłuję najwięcej? Zdać trudno mi sprawę:  
czy wapienne wybrzeże, czy las, czy żuławę...

Ojczyzna

Pochowałem me serce pośród leśnych wzgórz,  
wśród paproci i chaszczy, nad wąwozem tuż...  
Żółta chmielu lodygo! Mgły błękitne, śróddrzewne!

Wy dacie sercu memu spoczynek zapewne!

Rozpuściłem me myśli hen, w daleki gon  
po żuławie, co starsza niżli królów tron!  
O romneyska równino, brenzecki szuwarze!  
Wam wiadomo, co myślę, za czym tęsknię, co marzę!

Połoninom trawiastym dałem duszę mą,  
owym wzgórkom, gdzie wszędy dzwonki owiec brzmią.  
O Firle! O Ditchlingu! Białe żagle wśród morza!  
Wam na zawsze oddała mą duszę dłoń Boża!

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kipling-puk-z-pukowej-gorki>

Tekst opracowany na podstawie: Rudyard Kipling, Puk z Pukowej Górki, tłum. Józef Birkenmajer, Wydawnictwa Alfa, Warszawa 1985

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: MANG SING LOUIS@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0351-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie [wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).